



PIŁKA NOŻNA NA CELOWNIKU

**Tęczowa inwazja LGBT
podczas Euro 2024 w Niemczech**

**Tragedia i skandal na granicy
- Warzecha ostro
o Tusku i Bodnarze**

TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZEC**

NR 24/582 10-16 CZERWCA 2024

CENA 11,90 zł (W TYM 8% VAT)

**DOBRE RADY
PARTNERKI
AMBASADORA
USA W POLSCE**



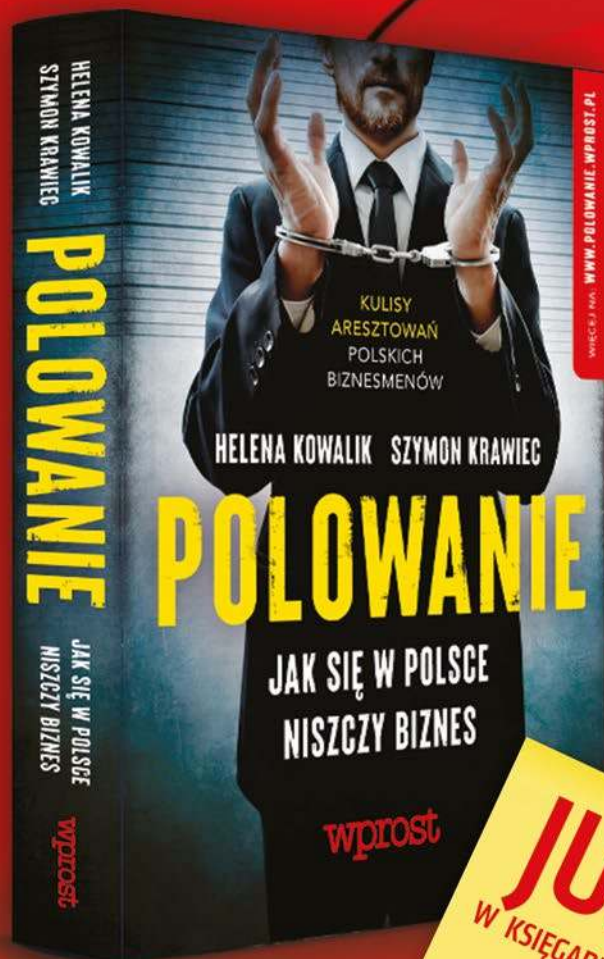
**Kościół bez Mszy i księży?
- przybywa synodalnych „nowinek”**

Adwokat Judasza

**KAJA GODEK I PIOTR SEMKA
O METAMORFOZIE
TOMASZA TERLIKOWSKIEGO**



SENSACYJNA, OPARTA NA FAKTACH



KULISY
GŁOŚNYCH
SPRAW
I ARESZTOWAŃ

WSTRZĄSAJĄCE
RELACJE

ROZMOWY
Z EKSPERTAMI
I LUDŹMI
Z WYMIARU
SPRAWIEDLIWOŚCI

PONAD
500
NAZWISK
I FIRM

AUTORAMI SĄ
DOŚWIADCZENI
DZIENNIKARZE
ŚLED CZY

JUŻ
W KSIĘGARNIACH

Bezprawne areszty, popisowe zatrzymania, stawianie zarzutów bez pokrycia w dowodach. Tasiemcowe rozprawy sądowe, prawdziwe historie o twardym zetknięciu się z więziennymi realiami.

Bohaterami tej książki są ludzie sukcesu, rozpoznawalni biznesmeni z pierwszych stron gazet, jedni z najbogatszych Polaków, którzy w jednej chwili znaleźli się w środowisku zupełnie dla siebie obcym, znanym im dotąd jedynie z filmów kryminalnych.



Zamawiając książkę wraz z PDF na stronie

KSIAZKA.WPROST.PL

Otrzymasz gratis praktyczny poradnik stworzony w oparciu o porady adwokatów i osobiste relacje osób zatrzymanych.

W przypadku chęci zakupu większej liczby książek, prosimy o kontakt
+48 539 953 631, +48 508 040 664



PARTNERZY:



Polska
Rada
Biznesu



ZPP
Związek Przemysłowców
i Pracywłóciarek



WEI
Wielkopolski
Entertainment
Institute



Fundacja
Court Watch Polska



FUNDACJA
POMYŚL
O PRZYSZŁOŚCI

Comparic.pl



MY
COMPANY



Towarzystwo
Biznesowe

BRIEF

Trzaskowski czy Morawiecki?

A może ktoś inny



PAWEŁ LISICKI

Do wyborów prezydenckich pozostał niecały rok, nic dziwnego zatem, że częściej zaczynają się pojawiać badania, które mają wskazać potencjalnego zwycięzcę. Według ostatniego sondażu United Surveys dla Wirtualnej Polski obecnie największym poparciem wyborców cieszy się Rafał Trzaskowski (29,2 proc.). Zmierzyłby się on w drugiej turze z byłym premierem Mateuszem Morawieckim (25,6 proc.). Na trzecim miejscu znalazł się marszałek Sejmu Szymon Hołownia (10,2). Największym zapewne zaskoczeniem jest czwarte miejsce, które zajęła dziennikarka Polsatu Dorota Gawryluk (8,2). Biorąc pod uwagę, że nie ogłosiła ona wcale swojej kandydatury i być może w ogóle nie zamierza tego zrobić, to wynik dobry.

Do niedawna mogło się wydawać, że praktycznie pewnym kandydatem Platformy będzie Rafał Trzaskowski. Powodów jest kilka. Przede wszystkim niewiele mu brakowało do zwycięstwa z Andrzejem Dudą już w 2020 r. Wygrał niedawno z ogromną przewagą wybory w Warszawie. Cieszy się poparciem dominujących w Brukseli lewicowych liberałów, ma także wyraźne wsparcie Marka Brzezińskiego, czyli Ambasady USA. W ewentualnej rozgrywce będą go wspierały wszystkie ośrodki rządowe i większość samorządowych, że nie wspomnę o dominujących, tak publicznych, jak prywatnych mediach. To ogromny kapitał. Jednak Trzaskowski popełnił ostatnio bardzo poważny błąd. Dał sobie przykleić wizerunek lewackiego ekstremisty, który to będzie toczył wojnę z Kościołem. Nakaz zdjęcia krzyży i innych symboli religijnych ze ścian urzędów i biur, z którego to zresztą próbuje się niezbyt przekonująco wycofać, czyni z niego radykała. Może się on podobać mieszkańcom Miasteczka Wilanów

lub nawet większości Warszawy, ale ogranicza jego szanse w wyborach prezydenckich. Szczególnie w drugiej turze, gdzie trzeba walczyć o niezdeterminowanych, Trzaskowski zamknął sobie drogę do zdobycia wyborców, którzy nie chcą wojen religijnych i wzrostu napięcia.

Dlatego, mimo że sam się od tego odżegnuje, nie można wykluczyć, że w ostatniej chwili zastąpi go Donald Tusk. Ta opcja wydaje się możliwa tylko w jednym przypadku – kiedy to obecny premier będzie pewny zwycięstwa. W przeciwnym przypadku ryzyko jest zbyt duże: Tusk jako premier i szef partii i tak kontroluje całą politykę państwa. Ewentualna przegrana mogłaby pociągać za sobą polityczną katastrofę, być może nawet przyspieszone wybory parlamentarne.

Co to znaczy konkretnie „pewność zwycięstwa”? Tusk zdecydowałby się na start tylko wówczas, jeśli skutecznie wcześniej zneutralizowałby opozycję. To zaś oznaczałoby np. delegalizację Prawa i Sprawiedliwości, wcześniejszą delegalizację Suwerennej Polski, a także, czego nie można wykluczyć, aresztowanie niektórych polityków opozycji. To całkiem prawdopodobny scenariusz. Tusk mógłby go zrealizować, jeśli wybory do PE pozwolą zachować lewicy i liberałom pełną kontrolę nad instytucjami unijnymi. Wtedy może być pewien, że ewentualna likwidacja opozycji w Polsce zostanie nazwana „przywracaniem praworządności”. Jest to scenariusz ryzykowny: mimo propagandowego wsparcia medialnego jego realizacja mogłaby wywołać opór społeczny. Dlatego to start Trzaskowskiego wciąż jest bardziej prawdopodobny.

Czy kandydatem PiS zostanie Mateusz Morawiecki? On sam chyba tego chce. Zapewne może też liczyć na wsparcie prezesa Kaczyńskiego.

Nic nie wskazuje jednak na to, żeby taki kandydat miał szansę na zwycięstwo. Morawiecki może liczyć tylko na elektorat samego PiS (a i to nie cały). Polityka, którą prowadzi – podpisanie się pod Zielonym Ładem i mechanizmem „pieniądze za praworządność” – nie pozwala widzieć w nim przywódcy obozu suwerennościowego. Ponadto, co pokazała kampania do Sejmu, stracił też wizerunek centrowego technokraty. Kandydowanie zapewni mu kontrolę nad PiS, ale odda całą władzę w Polsce w ręce układu liberalno-lewicowego.

W tej rozgrywce słabnie Szymon Hołownia. Najwyraźniej nie posłużyło mu marszałkowanie w Sejmie: stracił dawne świeżość i powab. Okazało się, że został ograny i wykorzystany przez Tuska. Po tym, jak wziął udział w operacji wyrzucenia z Sejmu Mariusza Kamińskiego, nikt o zdrowych zmysłach nie może utrzymywać, że jest on alternatywą dla dwóch głównych graczy, czyli PO i PiS.

Wszystko to pokazuje, że gdyby Dorota Gawryluk zdecydowała się na start, mogłaby przynajmniej poważnie namieszać. Jej największym problemem jest to, jak wejść do drugiej tury. Można przyjąć, że znajdzie się w niej kandydat lewicowo-liberalny, najpewniej Rafał Trzaskowski. W starciu z nim Dorota Gawryluk miałaby większe szanse na zwycięstwo niż którykolwiek kandydat PiS. Wszakże żeby polscy wyborcy stanęli przed takim wyborem, Gawryluk musiałaby zdobyć drugie miejsce w pierwszej turze. Biorąc pod uwagę lojalność partyjną elektoratów, wydaje się to skrajnie trudne. Tyle że kampania prezydencka rządzi się swoją logiką. Jest ona bardzo mocno spersonalizowana. I kto wie, jak zachowaliby się wyborcy, gdyby dziennikarka Polsatu jasno zadeklarowała start? ©



TEMAT TYGODNIA

14 PIOTR SEMKA

**ŚWIECKI BISKUP KOŚCIOŁA
BEZ NADZIEI**

Adwokat Judasza

18 KAJA GODEK

**KIEDYŚ WSPÓLNIE STALIŚMY
NA TEJ SAMEJ BARYKADZIE**

KRAJ

22 ŁUKASZ WARZECHA

GRANICA ODPOWIEDZIALNOŚCI

Tragedia i skandal

25 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

OSTATNI Z MAGDALENKI

28 JAN FIEDORCZUK

MODA NA EUROSCPTYCYZM

30 ANDRZEJ KRZYSTYNIAK

**MARSZ LUNATYKÓW,
CZYLI WSPARCIE DLA SEPARATYSTÓW**

32 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

AMBASADOROWA

34 ŁUKASZ ZBORALSKI

KREDYTOWE POKOLENIA

KULTURA



36 PIOTR GOCIEK

SIARA – I WSZYSTKO JASNE

Pożegnanie Janusza Rewińskiego

38 PIOTR BIES

DZIWNY JEST TEN ŚWIAT (SZTUKI)

NIE PRZEGAP

40 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

46 KRYSZTOF KRATIUŁ

EURO LGBT

Piłkarska promocja homoseksualizmu

49 PIOTR CIOMPA

MAŁY ATOM, DUŻY PROBLEM

52 ROZMOWA Z PROF. GRZEGORZEM GÓRSKIM

TYLKO TRUMP MOŻE URATOWAĆ USA

54 PAWEŁ CHMIELEWSKI

KOŚCIÓŁ BEZ MSZY I KSIĘŻY?

HISTORIA



56 RADOSŁAW WOJTAS

W KIESZENI SZEREGOWCA RYANA

Książki na wojnie

ŚWIAT

60 MACIEJ PIECZYŃSKI

KTO ZDRADZIŁ ROSYJSKĄ OPOZYCJĘ

Narodziny dyktatury z ducha liberalizmu

63 AGNIESZKA GOLAŃSKA-BAULT

**DEZINTEGRACJA FRANCUSKICH
KONSERWATYSTÓW**

66 PIOTR WŁOCZYK

MILIARDY NA DNI

EKONOMIA

70 JACEK PRZYBYLSKI

**WIELKIE WYMIERANIE
ZACHODNIEGO ŚWIATA**

Dziennosc spada jeszcze szybciej niż prognozowano

STYL

74 JOANNA BOJAŃCZYK

KUP TERAZ. ZARAZ WYRZUĆ

Odzieżowe chwilówki



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Afrikanskij korpus

Rząd Porozumienia Narodowego w Libii uskarża się, że jego kraj zalewany jest przez drukowane w Rosji fałszywe banknoty. Autorem tej operacji, która ma zdestabilizować Libię, jest konkurencyjny rząd (bo kraj jest podzielony na dwa minipaństwa) z siedzibą w Bengazii pod wodzą gen. Chalifa Haftara. Ten libijski watażka już od 2018 r. wspierany jest przez najemników rosyjskich.

Dlaczego Rosja wdała się w walkę o zdobycie wpływów w Libii? Odpowiedź może nie zabrznieć najlepiej dla Europy. Jeżeli wspierany przez Moskwę gen. Haftar opanuje cały kraj, to z wybrzeży Libii można rozpocząć operację wysyłek już nie setek, a tysięcy łodzi z uchodźcami. Swego czasu brytyjscy dyplomaci głosili, że jeżeli Niemcy czy też Francuzi zdobędą kontrolę nad Belgią, to będzie to pistolet wymierzony w podbrzusze Anglii. Opanowanie Libii oznaczać może rosyjski pistolet wymierzony w podbrzusze Europy.

Ale Libia ma być tylko zwieńczeniem całego pasa państw,

w których rządzić będą kontrolowani przez Moskwę watażkowie. Już w tej chwili Rosja mniej lub bardziej kontroluje reżimy w Burkina Faso, Republice Mali, Nigrze i Republice Środkowoafrykańskiej. Jeśli Rosjanie jeszcze wydrą Republikę Czadu z zachodniej strefy wpływów w Afryce, to będą kontrolowali większość obszaru Sahelu. A jak już ten teren zaczną kontrolować, to będą mogli grozić Europie otwieraniem lub zamykaniem fali uchodźców z czarnej Afryki, prących ku wybrzeżom libijskim w celu dostania się do europejskiego raj. Rosjanie nie mogą konkurować z zachodnimi koncernami pod względem jakości inwestycji gospodarczych, ale mają za to cenną w oczach wielu afrykańskich dyktatorów broń – rosyjskich najemników, z dobrej wagnerowskiej szkoły Jewgienija Prigożyna. Ci są chętni do pomocy i nie krępują ich żadne „humanitarne” przesady. Bez mrugnięcia okiem spacyfikują zbuntowane prowincje lub stłumią każdą próbę zamachu stanu.

Taktyka Putina przypomina wczesną fazę kolonializmu

europejskiego w Afryce czy Azji. W tej początkowej fazie Portugalczycy, Holendrzy czy Anglicy nie kolonizowali wielkich obszarów egzotycznych krajów. Oferowali raczej swoją technologię wojskową i swoich najemników jako atut tubylczym władcom w ich walce z politycznymi konkurentami. Naiwni kacykowie korzystali z pomocy białych, przekonani, że wykorzystają europejskich przybyszów jedynie do umocnienia swojej władzy. A Europejczycy, gdy już poczuł się pewnie, prokurowali pałacowy zamach stanu i zastępowali jednego radcę czy sułtana innym – o wiele bardziej wygodnym.

Można się spodziewać, że tak samo Rosjanie będą działać w krajach Afryki. A gdy już zdobędą odpowiednio dużo wpływów – użyją swej władzy dla zaszantażowania Europy, na zasadzie: albo dostaniemy, co chcemy, albo zalejemy was rzeką uchodźców. Nasz kontynent stanie wtedy wobec zagrożenia już nie tylko ze wschodu, lecz także od południa.

Zbyt ponura wizja? Ale przecież to dzieje się na naszych oczach. ©



FOT. JOSE L. MARTIN / FOTOGRAFAS ARCHIMORDES

PUCHAR LIGI MISTRZÓW DLA... MATKI BOSKIEJ

Piłkarze, trener oraz prezes Realu Madryt, tegorocznego zwycięzcy piłkarskiej Ligi Mistrzów, po powrocie z Wielkiej Brytanii przybyli do katedry w Madrycie, aby zgodnie z tradycją podarować zwycięski puchar patronce miasta, Matce Bożej z Almudeny. W świeckiej Hiszpanii na piłkarzy przed katedrą i w samej świątyni oczekiwały tłumy. Piłkarze Realu Madryt puchar Ligi Mistrzów ofiarowali Matce Boskiej już kolejny raz.

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:

Cezary Gmyz, Piotr Gociak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiakiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:

Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz,
Wojciech Ciejrowski, Wiesław Chelminiak, Dominika Ćosić (Bruksela),
Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Łukasz Czarnicki,
Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek,
Jerzy Karwelski, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalcuk (Rzym),
Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk,
Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz,
Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz,
Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta,
Błażej Torzański, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Dariusz Wieroniewicz,
Jakub Wozniński, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL redaguje: Karol Gac z zespołem: Zuzanna Dąbrowska-
Pieczyńska, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin
Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid
Sienkowski, Łukasz Żygadło

STUDIO GRAFICZNE: Wojciech Niedziółko (kierownik studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład), Jacek Nadratowski (obrobka zdjęć)
Fotoredakcja: Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk
Korekta: Anna Zalewska, Magdalena Zubrzycka-Wemerowska,
Agata Błaszczak-Stefaniak

RYŚOWNICY: Andrzej Krauze, Cezary Krzysztopa
Okładka: Michał Woźniak/East News

WYDAWCA: Orle Pióro SA

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, Orle Pióro SA, wchodzący w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kłoc

Zarząd Spółki Orle Pióro SA:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: Piotr Pech tel.: +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl, tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzecki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: Walstead Starachowice

PRENUMERATA WYDAWNICZA:

Joanna Gosek, Joanna Nowakowska

+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00

e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:

Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88

e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl

Carmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczta.pl,

www.poczta.pl/prenumerata#prasa

GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl

Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500

Nr indeksu 288 829 Nakład: 51 500 egzemplarzy



Sprzedają egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena
detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji
tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
autorskiego wydawca wyrażnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© Wszelkie materiały w tygodniku chronione są prawem
autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

A miało być tak pięknie

Szanowna Redakcjo,
jakiś czas temu ukazał się raport o zatrważającym stanie psychicznym młodzieży małopolskiej. Myślę jednak, że problem jest ogólnopolski, a może nawet jeszcze szerszy.

Ponieważ mam troje dzieci o dość sporej różnicy wieku, miałam okazję zaobserwować różnice w wychowaniu i ogólnej atmosferze społecznej od lat 80. XX w. do 20. XXI w.

Po pierwsze: w czasie głębokiej komuny niemal wszystkie dzieci były chrzczone i chodziły na religię. Nawet członkowie PZPR posyłali potomstwo do kościoła w obawie przed swego rodzaju wykluczeniem „towarzyskim” i rodzinnym.

Po drugie: szkoła i rodzice mówili jednym głosem. Wspólnie piętnowali złe zachowanie (np. podnieś papierek z podłogi, ustąp miejsca starszemu), lenistwo, „pyskowanie”, złe oceny itd.

Uwaga w dzienniczku, wezwanie rodziców do szkoły powodowały prawdziwy stres. Najgorszym dniem w semestrze była wywiadówka, kiedy wychowawca omawiał z rodzicami, co zrobić z danym delikwentem.

Cała trójka – Kościół, szkoła, rodzice – wyrażała zdroworozsądkowe wartości, z którymi należało się liczyć.

W latach 90. nastała moda na wychowanie bezstresowe, a wraz z nią era oszalałego indywidualizmu, czego efekty widać do dzisiaj. Dziecko nie tylko może się nie uczyć czy zmieniać płęć; ma również prawo wyrażać najgłupsze nawet zdanie, którego należy wysłuchać z najwyższą powagą, bo inaczej może donieść odpowiednim instytucjom i założyć nam „niebieską kartę”.

Miało być tak fajnie i szczęśliwie. Tylko dlaczego jest tak źle? Coraz więcej i coraz młodszych ludzi potrzebuje psychoterapii, psychotropów i coraz częściej myślą o samobójstwie, zasadniczo nie widząc sensu życia. Może rację miał Diderot, czołowy francuski ateista doby oświecenia, który ostrzegał, żeby nie odbierać „ludowi” religii dopóty, dopóki nie ma się pomysłu, czym ją zastąpić?

Z poważaniem
Ewa Kowynia

Kto nie docenia „europejskiego”
modelu wolności i demokracji,
hände hoch!!!



c e z a r y k y s t o n j

List otwarty

do Prezydenta Miasta Stołecznego Warszawy Rafała Trzaskowskiego, Rady Miasta Stołecznego Warszawy, Władz Miasta Stołecznego Warszawy, jego Dzielnic i Służb

Ogłoszono, niestety niestaranie i nieprecyzyjnie, w środkach masowego przekazu o decyzji usuwania krzyży w biurach urzędników m.st. Warszawy. W związku z powyższym informuję, że jako obywatel Warszawy nie byłem w tej tak ważnej sprawie konsultowany. Choć nie wiem, na jakim etapie procedowania jest ta, zaskakująca nie tylko mnie, haniebna decyzja, pozwalam sobie z ludzkiej i obywatelskiej powinności zwrócić uwagę na następujące kwestie:

1. 28 stycznia 1573 r. Sejm konwokacyjny uchwalił Akt Konfederacji Warszawskiej, w którym skodyfikowano, po raz pierwszy w historii ludzkości, podstawy tego, co w XX w. nazwano „prawami człowieka”. UNESCO w 2003 r. wpisało tekst Aktu do światowego dziedzictwa „[...] jako przykład ludzkiego geniuszu – jeden z najważniejszych tekstów w historii ludzkości...”. W związku z tym, że wszyscy królowie Polski od tego czasu w związku z koronacją przysięgali przestrzeganie Aktu Konfederacji Warszawskiej, a obecne państwo polskie uznaje swoją ciągłość z I i II Rzeczpospolitą, uważam, że jest on wciąż i w pełni w Polsce obowiązujący, zgodnie zresztą ze swym zapisem: „[...] obiecujemy to sobie wspólnie za nas i za potomki nasze na wieczne czasy...”. Przypominam, że najważniejszym nurtem tego dokumentu były ustalenia dotyczące tolerancji wzajemnej obywateli i ich wolności religijnej.

Uważam, że decyzja o usuwaniu krzyży nie tylko jest głęboko niemoralna, lecz także jest wprost rażąco sprzeczna z duchem Aktu Konfederacji Warszawskiej, bezsprzecznie uderza w zasady tolerancji wzajemnej i wolności religijnej, łamie prawo obecności Krzyża w przestrzeni publicznej. Akt Konfederacji Warszawskiej nałożył na obywateli polskich obowiązek sprzeciwu wobec jakiegokolwiek władzy dopuszczającej się łamania jego ustaleń. Wypełniając ten obowiązek, sprzeciwiam się powyższej decyzji ratusza warszawskiego i oczekuję od Władz miasta wycofania się

z tej haniebnej decyzji, decyzji przynoszącej wstyd Warszawie. Przypominam też, że Akt Konfederacji Warszawskiej zakazuje obywatelom polskim udziału w realizacji jakiegokolwiek decyzji jakiegokolwiek władzy, które byłyby sprzeczne z jego ustaleniami, a te w Polsce łamane były tylko przez jej zaborców lub okupantów.

2. Przypominam też, w formie dopowiedzenia, treść jednego z zapisów Ustawy Generalnej tegoż Aktu Konfederacji Warszawskiej. Ustala ona, że obywatele polscy są zobowiązani do posłuszeństwa władzy, ale wszelkie władze w Polsce są zobowiązane do posłuszeństwa prawu „[...] z przytomnością wszelakich skutków z naszego domówienia wychodzących”.

3. W odnośzeniu się do tej niemożliwej do zaakceptowania decyzji warszawskiego ratusza należy przypomnieć istnienie aneksu do Konwencji w sprawie zapobiegania i karania zbrodni ludobójstwa penalizującym działania wyniszczające pamięć i kulturę narodów. Konwencja ta została przyjęta w Paryżu 9 grudnia 1948 r. przez Zgromadzenie Ogólne Narodów Zjednoczonych, a ratyfikowana przez Polskę 22 września 1950 r. Z powodu sprzeciwu Związku Radzieckiego, Chin i innych państw dyktatorskich zapis ten nie zaistniał jako osobny dokument ONZ, lecz w formie aneksu do ww. tekstu. Nie mam najmniejszej wątpliwości, że decyzja o usuwaniu krzyży z przestrzeni publicznej w Polsce jest działaniem skutkującym wyniszczaniem pamięci narodowej Polaków i kultury życia publicznego w państwie polskim, stąd sprzeciwiam się tej decyzji i oczekuję zaniechania jej realizacji.

4. Wydawać by się mogło, że artykuł 30 Konstytucji RP: „Każdemu zapewnia się wolność sumienia i religii. Wolność religii obejmuje wolność wyznawania lub przyjmowania religii według własnego wyboru oraz uzewnętrzniania indywidualnie lub z innymi, publicznie lub prywatnie, swojej religii...” jest bardzo klarownym zapisem. Podobnie klarowne są ustalenia prawne

Unii Europejskiej w tym zakresie. Wydawać by się mogło, że jasne są też ustalenia obowiązującego dziś konkordatu między Rzeczpospolitą Polską a Państwem Watykańskim co do wolności religijnej. Nie dopuszczam myśli, że Prezydent czy Radni m.st. Warszawy mogą łamać obowiązujące ich zapisy prawa, stąd proszę resort edukacji, by zwrócił uwagę na istotny problem, że niektórzy z naszych obywateli mają trudności z poprawnym odczytywaniem treści prawa podstawowego. Z powodu łamania przez tę decyzję aktualnie obowiązujących zapisów prawa stanowionego sprzeciwiam się jej i oczekuję jej unieważnienia.

5. Jeżeli Władze Warszawy nie wycofają się z decyzji uderzającej w samą podstawę wszystkich innych wolności obywatelskich, to obywatele polscy bez względu na wyznanie, narodowość, przynależność partyjną czy światopogląd mają w sumieniu obowiązek sprzeciwu wobec tej decyzji. Jeśli Władze Warszawy będą uporczywie trwać w błędzie uderzającym w prawo obecności Krzyża w przestrzeni publicznej, to obywatele polscy z obawy przed skutkami przewrotności ludzkiej, dla uniemożliwienia inicjacji procesu zniewalania wewnętrznego, będą mieli w pełni uzasadnione prawo do nieposłuszeństwa obywatelskiego.

Reasumując, podjęcie decyzji uważam za błąd, a ponieważ błędzić to rzecz ludzka, oczekuję od Władz mojego miasta wycofania się z błędu. Decyzje o usuwaniu krzyży uważam za głęboko niemoralną, niezgodną z prawem, społecznie destrukcyjną, przeciwną polskim zwyczajom, odbiegającą od tradycji warszawskich, rażąco niespójną z godnością tego miasta. Piszę te słowa jako członek rodziny, która ze strony Taty mieszka w Warszawie od drugiej połowy XVII w., a ze strony Mamy od 1862 r., i jako Kawaler Orderu „Za zasługi dla Warszawy”.

Czytającym pozdrowienie w Panu
ks. prof. Józef Roman Maj
Warszawa, 20 maja 2024 r.



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Wpieranie Putina

Unia Europejska planuje zorganizować konferencję z udziałem przedstawicieli Rosji po szczycie pokojowym w Szwajcarii – doniósł 26 maja Bloomberg. Z uwagą czekałem na „follow up” tej informacji. Na razie się nie doczekałem – ale też nikt opisanej przez Bloomberg krzątanie nie zaprzeczył. Pojawilo się natomiast z jej strony uzupełnienie, że nieformalny szczyt w Szwajcarii ma służyć przygotowaniom do decydującego spotkania na jesieni, w formalnie związanej sojuszem z USA, ale sympatyzującej z Rosją Arabii Saudyjskiej. I że cały „myk” polega na tym, żeby Europa przejęła inicjatywę pod nieobecność prezydenta Bidena, który ma już sztywno rozpisany terminarz

kampanii wyborczej i ani w Szwajcarii, ani w Rijadzie nie będzie się mógł osobiście pojawić.

Powie ktoś: To nic złego, że Unia szuka politycznego rozwiązania i chce doprowadzić do pokoju na Ukrainie. Zgodziłbym się, gdyby nie nasilona kampania propagandowa, którą prowadzi przed wyborami „grupa trzymająca Europę” – nazywam tak sojusz międzynarodówek chadeckiej (obecnie „ludowej”), socjaldemokratycznej i liberalnej, którzy przegłosowuje w PE, co chce i jak chce, oraz kontroluje Komisję Europejską i TSUE. Ta kampania przecież oparta jest wyłącznie na straszeniu Putinem i – że tak powiem – wpieraniem tego Putina w brzuch wszystkim przeciwnikom przekształcenia dotychczasowej Unii w niemieckie,

centralnie zarządzane państwo europejskie. Państwo unijne przedstawiane jest jako jedyny sposób, by stawić Putinowi opór. Tymczasem, gdy przychodzi do konkretów, owo postulowane państwo europejskie ma powstać bynajmniej nie po to, by Putina powstrzymać, ale żeby się z nim dogadać – tak jak przez wiele lat dogadywała się nim, w duchu bismarckowskiej geopolityki, Angela Merkel. Z wykorzystaniem, jako atutu, wspólnej niechęci Rosji i Niemiec oraz Francji do USA.

Kto nie jest za UE, ten jest za Putinem – krzyczy „proeuropejska” propaganda. Nie dajmy sobie robić wody z mózgow. UE nie jest w tej chwili obroną przed Putinem – jest jego sojusznikiem i „pożytecznym idiotą”. ©©



MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Analiza po omacku

Wodróżnieniu od czytelników ja wyników wyborów jeszcze nie znam. Tym niemniej chcę napisać o kryteriach, które mogą pomóc w ocenie znanych już, wstępnych rezultatów. Uważam to za zupełnie uprawnione, bo przecież realistyczną ocenę należy formułować, opierając się na niezależnie sformułowanych kryteriach, a nie – kryteria formułować zależnie od wyników.

Przed wszystkim trzeba mieć świadomość tego, na co nasze decyzje wyborcze mogą wpłynąć. Na politykę samego Parlamentu można oddziaływać lepiej lub gorzej (o czym napiszę już za tydzień), ale na układ sił w PE nasz wpływ (wybór jednej dwunastej składu

w podzielonym wewnętrznie głosowaniu) będzie bardzo ograniczony. Choć oczywiście byłby bardzo znaczny, w negatywnym sensie, gdybyśmy z niego z góry zrezygnowali. Najmocniej jednak wynik wyborów europejskich w Polsce wpłynie na postawę władzy i opozycji, na samą polską politykę. Szczególnie wyniki PiS i PO zadziałają jak pedał gazu lub hamulec w aucie. Jeśli PO wygrała – to będzie eskalować wywrotową politykę odwetu. Jeśli przegrała z PiS – to będzie musiała rozważyć przynajmniej nieeskalację dotychczasowego kursu.

Równie ważne są wyniki średnich ugrupowań. Im wyższy wynik Konfederacji – tym bardziej PiS będzie się musiał liczyć z opinią

prawicową w kwestiach suwerenności i moralno-ustrojowych. Im słabszy – tym częściej będzie zakładał, że konserwatywnymi wyborcami nie trzeba się za bardzo przejmować, bo i tak dobrej alternatywy nie mają. Tak samo ważny jest stosunek sił między Trzecią Drogą i Nową Lewicą, między umiarkowanym i skrajnym skrzydłem dzisiejszej władzy. To w dużym stopniu określi orientację polityki PO i charakter koalicji. Z tych teoretycznych założeń płyną całkiem praktyczne wnioski. W dzisiejszym stanie nastrojów optymalna byłaby kolejność wyników: PiS, PO, Konfederacja, Trzecia Droga, Lewica. Im bliżej tego jesteśmy, tym dla Polski lepiej. ©©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZYK
Z RYZMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Festiwal przemocy

Włoska młodzież, górna i chmurna, w imię pokoju, zdrowego powietrza i obrony demokracji przed faszystowskimi zakusami rządzącej prawicy uzurpuje sobie prawo do przemocy w jej wszystkich odmianach, fizycznej i werbalnej. Ma na to przyzwolenie lewicowych elit, partii politycznych i mediów.

Na uniwersytetach, a także w gimnazjach co chwila dochodzi do strajków okupacyjnych, nierzadko połączonych z dewastacją budynków. Nazywa się to intifadą uniwersytecką, bo rzecz jasna chodzi o sprawę palestyńską. Okupującym studentom często towarzyszą wspierający ich wykładowcy. Co rusz odbywają się młodzieżowe propalestyńskie demonstracje „na mieście”, któ-

rych głównym celem jest szukanie guza, czyli zboczenie z trasy pochodu uzgodnionego z kwesturą i atak na kordony policyjne chroniące obiekty wrażliwe. Wstępem jest seans nienawiści, a więc lżenie i opluwanie policjantów jako zbrojnego ramienia opresyjnego państwa. A potem następuje atak. Gdy w efekcie bojówkarze nabiją sobie guza, lecą do kamer prezentować odniesione rany. Wieczorem w programach publicystycznych zatroskane gadające głowy utyskują na brutalność policji i ostrzegają, że podobnie było, gdy Mussolini przejmował władzę.

nną plagą ostatnich miesięcy jest zagłuszanie, a nawet rozpędzanie spotkań, konferencji i dyskusji, gdy biorą w nich udział członkowie rządu, Żydzi czy

ludzie w jakimkolwiek sposób związani z centroprawicą. Zagłuszacze zaproszeni na estradę zazwyczaj tłumaczą, że nie po to tu przyszli albo że z ludźmi wyznającymi haniebne poglądy się nie dyskutuje.

Bardzo często padają wulgaryzmy i najgorsze wyzwiska. Trudno się dziwić, skoro tuż lewicowego intelektu w ten sposób publicznie mówią o rządzie, a szczególnie o premier Meloni. Gdy im wypomnieć chamstwo albo podać ich do sądu, lamentują, że oto łamana jest nienaruszalna wolność słowa. Kilka dni temu w restauracji przy autostradzie dotkliwie pobity został chłopak, bo nosił koszulkę młodzieżówki partii Meloni Bracia Włosi. Incydent przemilczeli wszyscy politycy lewicy i jej żałosne media. ©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



ZUZANNA
DĄBROWSKA-
-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

RADY DZIADKA KUBY

Świat pędzi, zmienia się w zawrotnym tempie, ale najstarszy nastolatek w Polsce wciąż pozostaje taki sam. Kuba Wojewódzki zaprosił do siebie idolkę tysięcy polskich nastolatków, influencerkę Julię Żugaj. – Ty mówisz, że uczysz się pracować z dziećmi, napisałaś książkę, że pracujesz z dziećmi. Ty sama jesteś dzieckiem, 24 lata... – zagaił. – Już nie tak bardzo, już mogłabym mieć swoje dzieci – odparła rozsądnie Żugaj. – Ale po co? – nie mógł zrozumieć showman z TVN. – Bo chcę – wskazała influencer-



FOT. PAVEŁ WODZIŃSKI/EAST NEWS

ka. – Już, teraz – mówił pełen zdziwienia Wojewódzki. – No, mogłabym mieć – potwierdziła Julia. Nie dość, że Żugaj chce mieć dzieci, to jeszcze chce wziąć ślub. – Bo ty się chcesz hajtać niedługo – rozpoczął Wojewódzki kolejny, niepojęty dla niego wątek. Gwiazda potwierdziła i powiedziała, że jej naręczony ma prawie 30 lat. – Co, co wam... zobacz na mnie – dziwił się 60-letni prezenter. – Widzę – odparła krótko influencerka, czym wywołała salwy śmiechu wśród publiczności. – Nie zabrzmiało to dobrze. On chce mieć żonę w tobie. Dla mojego pokolenia to jest dziwne, nie chcecie sobie jeszcze pożyć? – nie odpuszczał Wojewódzki, jednak szybko zmienił

temat. Gwoli ścisłości – dialog ten nie znalazł się w rubryce ze względu na postawę Julii Żugaj.

SŁABY ARANŻ

Opole, Opole i po Opolu. Skoro już po festiwalu, to czas na pofestiwalowe żale, smutki i rozliczenia. Do udziału w tegorocznej edycji nie zaproszono Maryli Rodowicz. Dyrektor wydarzenia tłumaczył tę bądź co bądź zaskakującą decyzję tym, że królowa polskiej estrady „nie zmieściła się w formule festiwalu”. Maryla milczała długo, ale w końcu się jej udało. Wokalistce nie podobały się aranżacje znanych hitów, które zaprezentowano podczas koncertu. „Muszę napisać, co myślę o aranżacjach znanych hitów. Muszę, bo się uduszę. Boże, kto wpadł na pomysł, żeby dać debiutantom do zaśpiewania Niemena. To nie jest repertuar do śpiewania przez innych wykonawców. Nie i jeszcze raz nie. To jest po prostu za trudne, niemelodyjne, a już karalne powinny być próby aranżowania na nowo, niby współcześnie, odważnie, na ogół strasznie. Taki zadowolony z siebie aranżer pompuje swoje ego, pisząc nutki kompletnie nieprzystające do melodyki starych kawałków. Po co, ja się pytam?” – pyta oburzona Rodowicz. „To samo się powtórzyło w Opolu. Niemen się przewracał w grobie, nie mówiąc, co czuł Janusz Kondratowicz. Szkoda tych piosenek, szkoda tej publiczności” – przekonuje diwa.

TYLKO PO BOŻEMU

Wpis Maryli spotkał się z szerokim odzewem internautów. Okazało się, że wielu, tak jak ona, nie było zachwyconych nowatorskim podejściem do szlagierów. „Pani Marylo, ja tak samo nie mogłam tego słuchać. To prawda, oryginałów nie powinno się poprawiać. Są piosenki, których nie powinno się tykać i przerabiać na swoją modłę. Tyczy się to zarówno repertuaru Wodeckiego, jak i Niemena. Podczas tych koncertów były momenty, że trzeba było wyciszyć TV, bo uszy bolały” – oto wpisy obserwatorów Rodowicz. Jedna z internatek stwier-

dziła, że „Adam Sztaba [kompozytor i aranżer – przyp. red.] przekombinował niemal wszystkie utwory, robiąc »dziwną« aranżację, uszy krwawią mi do tej pory, a serce pękło”. „Nie wolno majstrować przy czymś, co jest klasyką” – dodała internetowa obserwatorka Maryli Rodowicz. „Otóż to, nie wolno majstrować przy klasykach, to tak, jakby ktoś chciał zaaranżować po swojemu Beatlesów” – odpisała diwa. Piosenkarka podkreśliła, że obroniły się piosenki „zagrane po bożemu”. Po bożemu to wszystko się obroni. Taka prawda.

KABARET ZA KRATY

Teraz o bardziej żenującej części opolskiego festiwalu, czyli Kabaretonie. Wyszło tak, jak można było się spodziewać, czyli słabo i nieśmiesznie. Szczególnie „popisał” się Zenon Laskowik, który postawił na zgraną płytę „walenia w PiS”. – Jeszcze się taki nie narodził, co by wszystkim zaszkodził. No ale już szkodników nie ma – ekscytował się kabareciarz, przypominając, że stało się to 15 października, „a nie 13 grudnia”. – 13 grudnia ponoć prezes spał do południa – kontynuował swój show. Skoro walenie w PiS, to i w prezydenta. – Mądrość mieszka w maksymie „myślę, więc jestem”, a głupota w maksymie „myślę, że jestem... prezydentem wszystkich Polaków” – kpił, a następnie wygłosił „odezwę” do Andrzeja Dudy: „Andrzeju, naszego kraju wodzireju, opanuj się! Andrzeju, prawomocnie skazanych przyjacielu, Andrzeju, Zjednoczonej Prawicy czarodzieju, obudź się!”. Nieciekawie i wtórnie? To czas na cytaty z występu Jerzego Kryszaka, który oprócz naśmiewania się z Jarosława Kaczyńskiego (cóż za świeżość, coż za nowość!) zachęcał do wzięcia udziału w nadchodzących wyborach do Parlamentu Europejskiego i przyszłorocznych wyborach prezydenckich. – To jeszcze raz za tydzień, potem jeszcze raz za rok. I jeszcze jedno. Takie hasło do krzyżówki: Co to jest – albo część nogi, albo koniec prezydenta? Podudzie! – taki żart zaserwował Kryszak opolskiej widowni. Czas powtórzyć znany i słuszny postulat: zdelegalizujmy polskie kabarety! © ©



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, nie wiemy, jak wam to opisać, jak wy będziecie z tym żyć i co będziecie o tym myśleć, ale musimy wam to powiedzieć.

Otóż dowiedzieliśmy się z internetów, iż wyraz „Niemcy” na określenie naszych zachodnich sąsiadów, przyjaciół i dobrodziejów, a nierzadko i ofiar ma etymologię pejoratywną.

Z góry przepraszamy wszystkich urażonych za użycie w jednym zdaniu słów „etymologia” oraz „pejoratywny”.

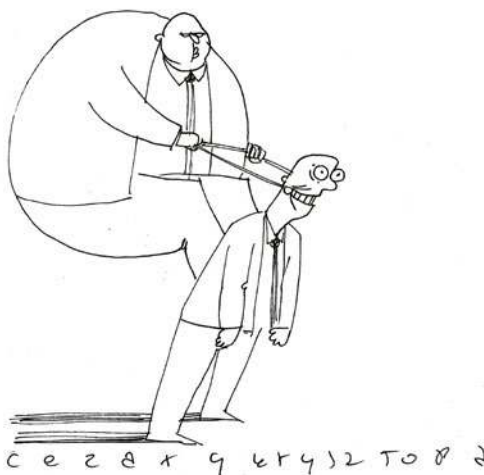
Mówiąc prosto, tak żeby zrozumiał nas przeciętny uczeń współczesnego liceum: nasi przodkowie nazwali ludzi zza zachodniej granicy „Niemcami”, iżby toczyć z nich bekę, naśmiewać się i napiętnować. Było to takie typowo polskie zachowanie, iż miało na celu podkreślić, iż ci „Niemcy” nie mówią po naszymu, a więc są niemowłami.

Strasznie się to czyta z dzisiejszej perspektywy, prawda? Zauważcie zresztą, jak wiele taktu muszą mieć współcześni Niemcy, iż nie domagają się od tego kraju zmiany nazwy ich kraju w języku polskim. Wiemy, iż to pogmatwane, ale mamy nadzieję, iż nadążacie. Generalnie wychodzi na to, iż Niemcy nadal się zgadzają, z uwagi na dobrosąsiedzkie relacje, iżbyśmy nazywali ich Niemcami, mimo iż z pewnością nie jest dla nich to przyjemne.

Zresztą to nie jest jedyna i może nawet nie największa nieprzyjemność, jaką spotyka Niemców ze strony tego kraju. Nie dość, iż rozpętaliśmy wojnę światową, co chwilę szczujemy na nich w Unii, to jeszcze ich przezywamy. Zachowujemy się jak ten wredny dzieciak z podwórka, co lubi wszystkim dokuczać.

Mamy nadzieję, iż wraz z nowym rządem oraz szansą na odsunięcie pis

elegancko, po francusku: l’Allemagne. Rafał Trzaskowski zrobiłby ogólnonarodowe warsztaty z akcentowania tego wyrazu, byłoby to szykowne i postępowe. Jak zawsze: wystarczy tylko chcieć. No ale też wiemy, jak to jest w tym kraju, elity by może i chciały, ale przeciętny janusz zamiast Niemcy zacząłby częściej mówić „Reich” i byłoby jeszcze bardziej niezręcznie, niż jest teraz.



od władzy w Europie (pisząc te słowa, nie znamy jeszcze wyniku wyborów), jednocześnie nadejdzie szansa na to, iżby wprowadzić nową narrację wobec naszego zachodniego sąsiada, zaczynając od zmiany nazewnictwa. Co stoi na przeszkodzie, iżby mówić, jak niemal cała Europa, Germany albo Deutschland? Albo

Apropos wyborów europejskich – nie wiemy, kto wygrał, ale widzieliśmy debatę i tam najwyraźniej wszyscy uczestnicy starali się nie wygrać. Tak, iżby z ich powodu innym nie było smutno.

Nawet nas to nie dziwi, a co więcej – trochę cieszy. Był to dobry przykład, że można wypaść przeciętnie albo kiepsko, ale jeśli wszyscy inni tak wypadają, to jest to OK, bo nikt się nie czuje lepiej od innych. Może na końcu Borys Budka nie musiał się popisywać angielskim na poziomie B2, ale jesteśmy gotowi przymknąć na to oko.

Mamy tylko nadzieję, iż czytając te słowa, wiecie już, iż pis został odsunięty od władzy w Europie i w poniedziałek nie obudziliśmy się pod brunatnym butem fashysmu, ale pod wspólną, świecką, neutralną światopoglądowo flagą z wieniec z gwiazd dwunastu. ©©

f FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Charyzma jakby zbladła

No jak tam, Donek? Słyszałem, że ci nie pykło na tym wiecu ostatnim. Za to pykło mi w październiku, Włodku, ale tobie chyba niekoniecznie.

Październik był i minął. Ale twoja charyzma jakby zbladła.

Żeby zbladła, to musi być. Ja mam. Tobie nie ma co blednąć.

Podobno sondaże masz, że nawet twój beton się zaczyna wściekać, że tylko wciąż jedziesz z PiS-owcami, a nic innego nie umiesz wymyślić.

Ja przynajmniej mam jakiś beton.

No dobra, będę leciał. Tylko pamiętaj, że po dwóch latach to ja wchodzę za Szymka na marszałka.

Wchodzisz albo i nie. Jedno jest pewne: teraz wychodzisz z mojego gabinetu, bo zaraz moje wnusie tu będą.

© © Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Polska ma największą szansę w dziejach, ale pod przewodnictwem Tuska”.

LECH WAŁĘSA, były prezydent, podczas obchodów z okazji rocznicy wyborów z 4 czerwca 1989 r. w Gdańsku

dwaj panowie g

Zginął polski żołnierz. W obronie polskiej granicy. Kilku innych za to, że z narażeniem życia tej granicy bronili, zostało zatrzymanych i skutych kajdankami. Polską rządzi koalicja PO, Trzeciej Drogi i Lewicy. Uprzejmie prosimy o dostrzeżenie prawdziwego znaczenia faktów. Oraz „Faktów”.

Lewica na finiszu zawiesiła kampanię, twierdząc, że to z szacunku dla tragedii na granicy. Niejeden mądry człowiek publicznie nazwał to hipokryzją. Co za czasy. Nawet mądrzy ludzie nie odróżniają hipokryzji od cynizmu. Poza tym Polską rządzi koalicja PO, Trzeciej Drogi i Lewicy. Uprzejmie prosimy o dostrzeżenie prawdziwego znaczenia faktów. Oraz „Faktów”.

Przyglądamy się faktom. Jak już pisaliśmy, Bodnar rozgonił cały pion wojskowy w prokuraturze krajowej, przez co nie ma kto ścigać ruskich szpiegów. Dodajmy, że dodatkowo pogonił też wicedyrektora tego departamentu. Dziwnym trafem to ten sam człowiek, który w krajówce zwrócił uwagę, że sprawa skucia polskich żołnierzy na granicy z Białorusią to nie jest drobiazg, i poprosił szefostwo o nadzór nad tą sprawą. Prokurator Janeczek zlecił taki nadzór. I cóż, okazało się, że było to ostatnie, co mógł zrobić w tej sprawie, bo został odcięty od wszelkich informacji na ten temat. Prokuratora, który zwrócił się o nadzór, na wszelki wypadek odesłano zaś na Dolny Śląsk. Cóż, Polską rządzi koalicja PO, Trzeciej Drogi i Lewicy. Uprzejmie prosimy o dostrzeżenie prawdziwego znaczenia faktów. Oraz „Faktów”.

Dla oburzonych nieustannym przypominaniem, że Polską rządzi koalicja PO, Trzeciej Drogi i Lewicy, oraz uprzejmą prośbą o dostrzeżenie prawdziwego znaczenia faktów oraz „Faktów”, mamy fakt autentyczny z USA. Było to w jednym z programów emitowanych

po śmierci prezydenta Kennedy’ego. Art Buchwald, świetny felietonista i satyryk, jechał niemiłosiernie po Dallas i jego mieszkańców. A gdy miał okazję zmienić temat, to nie zmieniał, tylko jechał niemiłosiernie po Dallas i jego mieszkańców. Wreszcie prowadzący nie zdzierzył i mówi: „Proszę pana, czemu pan tak jedzie po Dallas? Przecież taka tragedia mogła się zdarzyć wszędzie”. Z morderczą konsekwencją Art Buchwald odparł: „Ale się nie zdarzyła”.

Natomiast w cieniu tragedii minęła wyborcza niedziela. No i po kampanii. Było fajnie. Fajnopolacy wyzywali ciemnopolaków od rusków. Ciemnopolacy żegnali na wiecach fajnopolaków słowami „auf Wiedersehen”. Robotnicy fabryki Volkswagena pod Poznaniem zapytani, na kogo chcą głosować, powiedzieli jednemu z kandydatów: „My to chyba na SPD” (true story). Zaiste, jesteśmy krajem w pełni europejskim. Najbliższe wybory już za rok. Prezydenckie. Nie możemy się doczekać.

Kto będzie walczył w 2025 r. o prezydenturę? Niejaki Masta, czyli Marcin Mastalerek, twierdzi, że jest namawiany, by kandydować. Zamiast sztydzić z tych słów, wolimy zastanowić się nad jego kontrkandydatem. Odpowiedź jest prosta – już w 2009 r. Jarosław Kaczyński mówił w wywiadzie dla „Faktu”, że w 2025 r. kandydatem PiS może być Marek Migalski (albo Ziobro, gwoili ścisłości). Oczekujemy realizacji tej koncepcji. Pozostaje pytanie, której partii kandydatem miałyby być w tej fantazji Mastalerek, jeśli Migalski będzie kandydatem PiS. W sumie nie wiemy. Może tak, jak w realu: żadnej?

Główną atrakcją ostatniego tygodnia kampanii miał być Wiec Miliardów organizowany przez Złego Donalda z Sopotu na placu Zamkowym w Warszawie. Niestety, na wiecu stało się ledwie 0,15 proc. jednego miliarda czystych serc, to znaczy 15 tys. fajnopolaków. Czyli nie był to



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

wiec. Najwyżej wiecyk. Znacnie rządzące językiem polskim zasady zdrabniania. Piec – piecyk. Wiec – wiecyk. Premier – Tusk.

Skoro już o języku polskim. Zły Donald z Sopotu na swoim wiecyku lżył PiS (no bo w sumie co miał robić?) od złodziei, łajdaków i ludzi bez sumienia. Ale ujawnił też, że na co dzień używa innego języka. Niestety, jest to język gorszy. „Gdybyście słyszeli, co ja mówię do moich ministrów co wtorek, to czasami uszy by zwiedły”. Już sobie wyobrażamy te posiedzenia. Coś w stylu: „Ej, ty, ty stary ch...”, siadź na fotelu obok tej k...! Ruchy, ruchy, trzeba j..., nic się, k..., samo nie zrobi!”.

Jeszcze o barwach kampanii. Na finiszu boju o europarlament ciekawej narracji promocyjnej użyła Joanna Kamińska, warszawska kandydatka Zielonych na listach Koalicji Łobywatelskiej. Narracja sprowadza się do tego, że Kamińska zasługuje na fotel w europarlamencie, gdyż już tam pracuje. W sumie podoba nam się ta koncepcja. Na przykład każdy dowolny pracownik biur sejmowych mógłby dzięki temu domagać się miejsc na listach poselskich, argumentując, że przecież i tak już tam pracuje. Możliwości są nieograniczone: można choćby zamykać w więzieniach ludzi, którzy przyszli tam w odwiedziny. No bo skoro już są na miejsu...

Krótki dodatek: kandydatka Joanna Kamińska była chyba jedyną w stolicy, która przedstawiała się jako „dr Joanna Kamińska”. Popieramy. W europarlamencie przydadzą się lekarze.

Pisaliśmy tydzień temu, że całkiem sporo zielonych braci żywi urazę do Władysława Tygrysa Kosiniaka-Kamasza o doprowadzenie Peezelu do skromnego poziomu poparcia. Dziś o innym urazie – mianowicie powszechna jest w Peezel wściekłość na Trzecią Drogę. Nie myślcie jednak, że chodzi o jakieś sprawy ideolo. Nie – tym, co naprawdę rozgrzewa włosciańskie głowy, są stare, dobre piniondze. Otóż chodzi o to, że w Trzeciej Drodze zapanowała – delikatnie mówiąc –

**Na wiecu w Warszawie
stawiło się ledwie
0,15 proc. jednego miliarda
czystych serc, to znaczy
15 tys. fajnopolaków**

nierówność. To znaczy kandydaci Peezel wydają kasę na kampanię, wieszają banery i plakaty i w ogóle wyłają ze skóry. Tymczasem kandydaci Polski Szymona 2050 – niespecjalnie. No, może poza Koboską, ale on to menedżer z Warszawy, tacy zawsze mają piniondze.

Przyznajemy – bardzo zainteresowała nas wieść podawana przez media, że PiS zamierza zmienić nazwę. Niestety, okazało się, że jednak nie zamierza. Tak oświadczył szeregowy

ma akceptacji prezydenta, odmówiła złożenia pisma. Wściekły Radek kazał wysłać pismo do włoskiej ambasady. Ta zaś przekazała je do włoskiego MSZ. Włoskie MSZ, nienawykłe do takiej procedury, odesłało list do ambasador Anders. I kółko się zamknęło.

No może nie do końca. Zaraz potem bowiem prezydent Andrzej Sebastian ogłosił, że nie zaakceptuje żadnego kandydata na ambasadora z tzw. konferencji ambasadorów. W przewadze chodzi o czerwonych ambasadorów, takich jak niejaki Nowak, znany też jako ucho bezpieki o pseudonimie Emeryk. Ale w tym zacnym gronie jest również Schnepf. Radek się mimo to upiera, żeby wysłać go choć w randze chargé d'affaires, czyli takiego pełniącego obowiązki. Na to zgody nie trzeba. Ale dodajmy, że chodzi też w tym całym dealu o jeszcze jedną osobę. A mianowicie Dorotę Wysocką-Schnepf, która chciałaby być

**Dorota Wysocka-Schnepf chciałaby być nie tylko
ambasadorową, lecz także korespondentką TVP w Rzymie.
I proszę nam wierzyć, że swego dopnie**

poseł nadpremier Jarosław Kaczyński, a on zwykle wie, co PiS robi, a czego nie. Na wypadek, gdyby zmienił zdanie, poddajemy pod rozważę własny pomysł. Jest to nazwa nowa, a zarazem zastępująca do historii. Neutralna, a jednocześnie oddająca sedno polityki partii w ostatnich latach. Oto ona: Niezrozumienie Centrum.

Na koniec sprawy zagraniczne. Zdradzimy, jak to było z odwołaniem Anny Marii Anders z funkcji ambasadora w Rzymie. Otóż Radek postanowił córkę gen. Andersa zastąpić synem komunistycznego trepa. W tym celu wysłał do ambasady w Rzymie pismo, żądając, by pani Anders złożyła je we włoskim MSZ. Pismo miało być wnioskiem o tzw. agrément dla Schnepfa. Czyli o zgodę na przyjęcie go jako ambasadora. Pani Anders, sprawdziliśmy, że kandydatura nie

nie tylko ambasadorową, lecz także korespondentką TVP w Rzymie. I proszę nam wierzyć, że swego dopnie.

Zaczelismy poważnie, to i skończymy poważnie. Minister finansów dyskretnie ogłosił, że grozi nam tzw. procedura nadmiernego deficytu. Nasze brukselskie wiewiórki twierdzą, że nie tylko grozi – decyzja jest już klepnięta. Ale ma być ogłoszona po wyborach, żeby nie szkodzić Tuszkowi. Temu samemu, którego w Brukseli miał nikt nie ograć. Przypomnijmy: owa procedura to narzędzie do dojeżdżania słabszych partnerów unijnych. W przeszłości używana wobec Grecji czy Włoch. Dziwnym trafem na samym końcu zawsze zarabiają Niemcy. Na przykład na tzw. pomocy Grecji zgarnęli na czysto 5 mld euro. I dziwnym trafem nigdy ta procedura nie jest używana, gdy chodzi o Niemcy czy Francję. Dlaczego? Bo nie. ©©



Piotr Semka

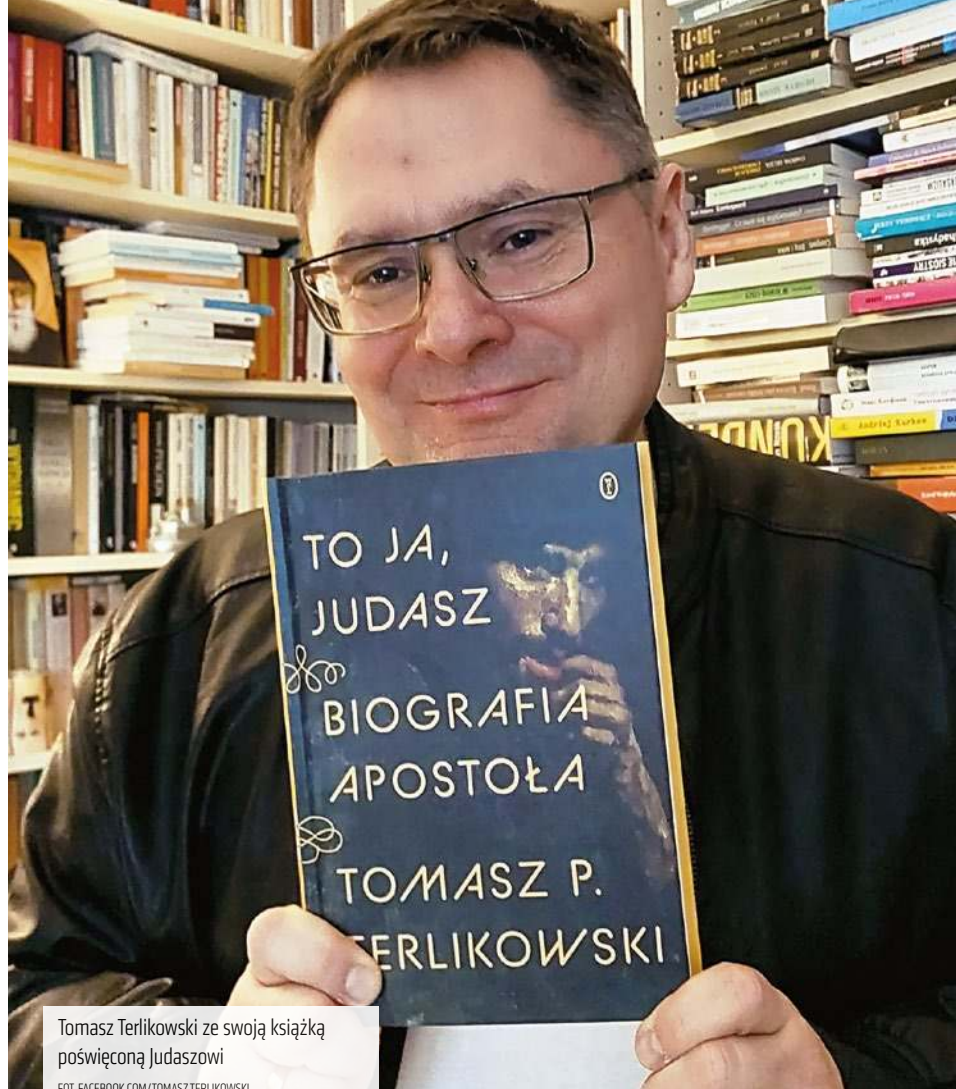
Wielu krytyków Tomasza Terlikowskiego wieszczy, że za jakiś czas przejdzie on na protestantyzm lub wręcz odejdzie od wiary. To nieporozumienie. Tomasz Terlikowski nie chce opuszczać wspólnoty katolików, tylko chce wskazać jej drogę według przesłanek, które on uważa za najlepsze i najważniejsze. Nie będzie się liczył z tradycyjną strukturą Kościoła złożoną z episkopatów, biskupów i proboszczów, a raczej przyjmować będzie rolę kogoś, kto poucza hierarchów

Gdy w styczniu 2023 r. opublikowałem na łamach „Do Rzeczy” [nr 3/2023] artykuł o Tomaszu Terlikowskim zatytułowany „Gdy sól traci smak”, jego przemiana z wyrazistego publicysty konserwatywnego w samozwańczego reformatora Kościoła była stosunkowo świeża. Dziś wielu wskazuje, że ma on ambicje stania się kimś w rodzaju świeckiego biskupa.

Sam Terlikowski pośrednio potwierdził, że coś jest na rzeczy, pozwalając się sfotografować na okładkę magazynu „Press” w tiarze z krzyżem zrobionym z kartonu.

W wywiadzie wewnątrz numeru dziennikarz zaczął rozmowę z nim od słów: „Laudacja o panu podczas (wręczania) Medalu Wolności Słowa brzmiała: »rewiduje własne poglądy na społeczność LGBT i walkę kobiet o swoje prawa. Rozlicza się z wykluczającym językiem Kościoła i politycznym uwikłaniem biskupów«. Ale przez lata był pan po drugiej stronie. Szawel zamienił się w Pawła?”. Terlikowski odpowiedział: „Niektórzy powiedzieliby raczej, że apostoł”.

Jeśli Terlikowski chciał być apostołem „postępowych” zmian w Kościele, to



Tomasz Terlikowski ze swoją książką poświęconą Judaszowi

FOT. FACEBOOK.COM/TOMASZTERLIKOWSKI

Świecki biskup Kościoła bez nadziei

można powiedzieć, że odniósł sukces. Był jedną z głównych twarzy dyskusji o domniemanych przewinach Jana Pawła II po ukazaniu się oskarżycielskiej książki „Maxima Culpa. Jan Paweł II wiedział” autorstwa Ekke Overbeeka. Liczne media – od RMF do TVN24 – czy portale – takie jak Wirtualna Polska czy Onet – zamawiają u niego teksty. W nagłówkach skwapliwie podkreślają, że są to opinie „katolickiego publicysty”.

Terlikowski jest obecnie najbardziej rozchwytywanym przez liberalne media świeckim publicystą, który komentuje i wydaje werdykty na temat spraw Kościoła. Dawno już zepchnął w cień takie postacie jak ks. Adam Boniecki czy np. Adam Szostkiewicz z tygodnika „Polityka”. Doszło nawet do paradoksu. Terlikowski jest o wiele bardziej popularny niż którykolwiek z dawnych świeckich krytyków Kościoła, takich jak Jan Turnau, Jarosław Mikołajewski czy Mikołaj Lizut. Być może wynikało to stąd, że starsza generacja komentatorów „GW” wykrusza się wraz z wiekiem, a młodszy dziennikarze, którzy trafiają do redakcji z Czerskiej, po prostu są już zupełnie odlegli od wiary.

Jednocześnie w tym samym czasie rozluźniły się lub wręcz całkowicie ustały ostatnie kontakty Terlikowskiego z wydawnictwami i mediami katolickimi. Nawet bardzo liberalny portal jezuitów Deon w atmosferze konfliktu rozstał się z warszawskim publicystą. Wydaje się, że jego stałym miejscem będzie portal Więź, gdzie umieścił swój podcast „Wciąż tak myśle”, i dodatkowo „Tygodnik Powszechny”.

Nic nie pokazuje lepiej skali metamorfozy Tomasza Terlikowskiego niż apologia Judasza jego autorstwa, zatytułowana „To ja, Judasz. Biografia apostoła”, przedstawiająca go jako skrzywdzonego, odrzuconego przez innych braci w apostołstwie. O książce tej tak napisał Krystian Kratiuk w „Do Rzeczy” nr 14/2024: „Autor wprost wyraża w niej pretensje do... ewangelistów, gdyż ci potraktowali postać Judasza jednomyślnie. Terlikowski zdaje się traktować zapisy Nowego Testamentu jako jedną z możliwych wersji wydarzeń, ale wcale nie konieczną do przyjęcia – argumentuje bowiem, że w XXI w. wiemy już dobrze, jak działa ludzka pamięć, wobec czego spisujący cztery Ewangelie mogli wyraźnie mylić się co do tego, jak wyglądały los i motywacje Iskarioty, gdyż



Tomasz Terlikowski na okładce magazynu „Press”
FOT. PRESS.PL

»nałożyli na to własne interpretacje«. O ile we wspomnianych tu wcześniej (a także w wielu niewspomnianych) dziełach kultury próby psychologizowania oraz niuansowania uczynku Judasza już występowały i są przez Terlikowskiego powtarzane, o tyle pewną nowością jest interpretacja polskiego publicysty, wedle której to przede wszystkim Judasz został zdradzony nocą z Wielkiego Czwartku na Wielki Piątek”.

Co jeszcze się zmieniło? W najbliższym czasie ukazać się ma nowa książka Terlikowskiego o nazwie: „Arcybiskup. Kim jest Marek Jędraszewski?”. Znak, który wydaje to dzieło, tak zapowiada tę pozycję: „Kariera, władza, zmowa. Jakie tajemnice skrywa Marek Jędraszewski [...]”. Tomasz Terlikowski śledzi kulisy kościelnej kariery abp. Jędraszewskiego oraz jego powiązania z najważniejszymi i najbardziej wpływowymi osobami w Kościele. To dziennikarskie śledztwo, które pozwala spojrzeć szerzej na Kościół z jego pełną zależnościami strukturą. Opowieść o tym, jak ludzie dochodzą do władzy w Kościele, kim są, jakim kosztem się to odbywa”.

Te zapowiedzi sugerują, że bohater tego tekstu powoli przesuwają się w kierunku produkcji znanego antyklerykalnego duetu: Artur Nowak i Stanisław Obirek. Ich książki to tak naprawdę opowieści o nikczemności Kościoła, w których brak jest jakiegokolwiek wysiłku dla zrównoważenia kreowanych sylwetek hierarchów Kościoła. U Nowaka i Obireka wszystko jest jednoznacznie czarne i nikczemne. Świadczą o tym zresztą tytuły i podtytuły ich pozycji: „Babilon. Kryminalna historia Kościoła” i „Gomora.

Władza, strach i pieniądze w polskim Kościele”.

Jak rozłożyły akcenty Terlikowski, w pełni wypowiedzieć będzie się można dopiero, gdy książka pojawi się w księgarniach. Ale na podstawie fragmentów publikowanych na Więź.pl można uznać, że w życiu Terlikowskiego zakończyła się faza książek o świętych, a zaczęła się faza książek tzw. demaskatorskich. To jednak pewien nowy etap w rozwoju pisarskiej twórczości Terlikowskiego.

WSZYSTKO SKOŃCZONE, POZOSTAJE POKUTA

Swoistym tekstem programowym na temat aktualnego spojrzenia Terlikowskiego na sytuację Kościoła w Polsce jest artykuł „Za późno, żeby zatrzymać laicyzacyjne wahadło”, który ukazał się 1 czerwca na portalu Wirtualna Polska. Terlikowski stawia w nim tezę: „Za sojusz ołtarza z tronem, za polityczne, ale także finansowe korumpowanie wspólnoty wiary przez poprzednią władzę, zapłaci – jak zawsze – Kościół”. Ta fatalistyczna konstatacja jest wstępem do krytyki Kościoła w Polsce za wyrażanie rozczarowania linią rządu Donalda Tuska wobec kwestii dotyczących osób wierzących.

Charakterystyczny jest wręcz sztydery ton, którego używa Terlikowski. „Od kilku miesięcy trwa festiwal żalów Kościoła hierarchicznego. Hierarchie, poszczególne komisje i zespoły Konferencji Episkopatu Polski żalą się na zmiany, które przynosi nowe prawo, a część duchownych wskazuje na to, moim zdaniem nieprawdziwie, że sytuacja katolików w Polsce zdecydowanie się pogarsza”.

Terlikowski zdaje się nie zauważać, że strona rządowa od wielu miesięcy nie znajduje czasu na spotkanie komisji wspólnej Episkopatu i rządu. Nie zauważa też, że minister edukacji Barbara Nowacka ogłasza nowe rozwiązania, które zmuszają katechetów do uczenia dzieci z bardzo różnych poziomów klas w ramach tych samych lekcji religii. Nowy ton Terlikowskiego to łajanie Rady Episkopatu ds. Społecznych za to, że ta nie gnie pokornie karku przed arogancją urzędników nowego rządu. Terlikowski pisze: „Analiza Rady KEP ds. Społecznych zdaje się nie dostrzegać, że emocja społeczna, która stoi za

decyzjami (choćby w sprawie symboli religijnych w warszawskich urzędach) wywołującymi oburzenie Episkopatu, nie wzięła się znikąd, ale jest efektem ośmiu lat rządów PiS i ośmiu lat korumpowania przez tę partię Kościoła”.

Jakie są w opinii Terlikowskiego przykłady takiej korupcji? „Ogromne dotacje na kościelne instytucje, pisanie konkursów pod konkretne kościelne instytucje, przyznanie pismom związanym z uczelniami kościelnymi punktacji wyższej lub porównywalnej niż tym z punktacją za tekst w »Nature« [prestizowy brytyjski magazyn naukowy – przyp. P.S.] – to wszystko wpłynęło na postrzeganie Kościoła”. To ostatnie zdanie brzmi tak, jakby zostało wyjęte np. z antyklerykalnego portalu Krytyki Politycznej. Dla Terlikowskiego jest oczywiste, że jakikolwiek tekst w pismach związanych z uczelniami kościelnymi nie może być nawet porównywany z prestiżowym brytyjskim magazynem. Coś na zasadzie: katolickie znaczy ciemne i zacofane.

Terlikowski nie chce też zauważyć, że w poprzednich latach – za rządów PO, a wcześniej SLD – kościelne instytucje bardzo często były właśnie na skutek antyklerykalnych uprzedzeń pomijane w konkursach lub wręcz trwale pozbawiane dotacji. Cały ten rachunek win skonstruowany jest ze swoistą doktryną: „Czemu Kościół się dziwi, że jest opito- wywany? Przecież lewicy to jak najbardziej się opłaca”.

Zauważmy, że o ile surowe oceny Terlikowskiego wobec Episkopatu zbudowane są na surowej ocenie moralnej, o tyle w wypadku wyjaśniania motywów działania polityków liberalnych i lewicowych znany publicysta zdaje się głosić zasadę „no i co w tym dziwnego”. Terlikowski pisze: „Rada KEP ds. Społecznych wyrażnie nie dostrzega bardzo przyziemnych, a związanych z interesami politycznymi przyczyn takiej, a nie innej polityki (a bardziej retoryki) polityków związanych z Koalicją Obywatelską. Autorzy dokumentu [tj. biskupi – przyp. P.S.] – co niestety nie zaskakuje – tego elementu bieżącej polityki nie widzą, a całą odpowiedzialność za zmianę składają na... ideologię laicyzmu”. Znowu Terlikowski uważa, że wszelkie zauważanie tendencji laicyzatorskich, których przecież politycy lewicy nawet specjalnie nie kryją, jest tak wielką bzdurą,

Terlikowski nie przedstawia jakiegokolwiek wizji, jak Kościół miałby sobie radzić wobec konkretnych wyzwań, które tworzy nowy rząd. Kościół ma słuchać, dostosowywać się do poleceń i pokutować latami za poprzednie grzechy

że nawet nie trzeba poświęcać miejsca w tekście, aby wyjaśnić, dlaczego uważa to za absurd.

I wreszcie pojawia się pouczenie: „Kościół, gdyby zamiast popadać w polityczne emocje, spojrzeć na sprawę głębiej, jak ognia unikałby teraz włączania się w opisaną walkę polityczną [...]. Zamiast wydawania kolejnych oświadczeń trzeba rozpocząć proces rozmów z władzą, szukać przestrzeni kompromisu i głęboko przemyśleć wcześniejszą postawę. Ucieczka od polityki, a nie zaangażowanie w nią jest najlepsza dla Kościoła”.

Terlikowski poucza więc Kościół, że ma w milczeniu akceptować demonstracyjny wręcz lekceważenie, przyjmować posłuszenie wszystko to, co ministrowie i ministery poleca, i skupić się na pokutowaniu za wcześniejsze grzechy. A wszystko to na zasadzie szantażu. Jeśli nie będziecie grzeczni, to włączycie się w walkę polityczną.

Czy Terlikowski krytykuje jakieś konkretne wezwania Kościoła do głosowania np. na PiS w wyborach europejskich? Nie może tego zrobić, bo Kościół już od dawna powstrzymuje się od takich zaleceń. W logice Terlikowskiego każda próba choćby dyskusowania z poleceniami rządu to mieszanie się do polityki. Kończy swój tekst solennym pytaniem: „Czy Kościół jest gotów na wyruszenie w taki proces zmiany?”. I odpowiada: „Niestety nie sądzę”.

Co charakterystyczne, znany publicysta nie przedstawia jakiegokolwiek wizji, jak Kościół miałby sobie radzić wobec konkretnych wyzwań, które tworzy nowy rząd. Kościół ma słuchać, dostosowywać się do poleceń i pokutować latami za poprzednie grzechy. Na podobnej zasadzie w okresie stalinizmu publiczności

partyjnej prasy żądali, by Kościół akceptował wszystko to, co zrobi nowa ludowa władza, i pokutował za przedwojenne czasy, w których to – jak mu wytykano – miał wielkie majątki ziemskie, a sanacyjna władza pośrednio wspierała jego dominację w sferze duchowej.

POLITYCY DOBRZY I ŹLI

W grudniu 2022 r. Terlikowski stworzył nową doktrynę. Było to ostrzeżenie przed – jak to sam nazwał – eklezjalną pokusą populizmu. Jak wyjaśniał: „Populizm, choć jest zjawiskiem przede wszystkim politycznym, naznacza głęboko także przeżywanie i głoszenie Kościoła. I choć tego typu działanie może przynosić »sukcesy«, to głęboko naznaczony jest czymś, co określić można mianem »demonizmu«”. Jak tłumaczy Terlikowski, partie populistyczne cechuje udzielanie prostych odpowiedzi na trudne pytania, jasne określanie wrogów, którzy są odpowiedzialni za zachodzące w przestrzeni społecznej zjawiska, i cyniczne wykorzystywanie realnych lęków, których doświadczają ludzie obserwujący, jak ich świat głęboko się zmienia, a niekiedy rozpada”.

I natychmiast znajduje analogię z trendami, które niepokoją go w obecnym Kościele. Jak pisze: „Identyczne elementy znajdziemy w działaniach niektórych hierarchów czy duchownych, którzy na głęboki kryzys religijności wiary, a także na dynamiczną i w kompletnie niekontrolowany sposób zmieniającą się rzeczywistość instytucji Kościoła odpowiadają jasnym wskazaniem przeciwników czy wrogów. Może to być »tęczowa zaraza«, ideologia »gender«, lewicowi politycy, ludzie pragnący odebrać dzieciom wartości i wprowadzić ich w przestrzeń nihilizmu”. Terlikowski kończy swoje wywody wezwaniem wszystkich wierzących chrześcijan, w szczególności katolików, do trzymania się jak najdalej od partii populistycznych.

zupełnie inny ton bohatera tego tekstu przyjmuje przy opisywaniu partii liberalnych i lewicowych. Gdy w lipcu 2021 r. Donald Tusk wrócił do kraju, ogłosił on, że z Kościołem w Polsce dzieje się coś strasznego i obowiązkiem każdego jest w jakimś sensie ochrona Kościoła przed nim samym. Terlikowski, komentując te słowa, ocenił, że Tusk jest zdania, iż polski

model laicyzacji będzie modelem post-katolickim, zakorzenionym głęboko w języku i emocjach religijnych, i nie będzie wytwarzał świeckich modeli myślenia, obojętnie utylitarnych, pragmatycznych czy ortodoksyjnie liberalnych. Jak napisał Terlikowski, dla Tuska Kościół będzie nadal wartością. I dodawał: „Tusk nie jest rewolucjonistą”. I dalej: „Tusk w tej sprawie bada, moim zdaniem, jeszcze teren i nie będzie w żaden sposób wysuwał się przed szereg. W dziedzinie obywatelskiej nie jest on rewolucjonistą ani reformatorem”.

Czas brutalnie zweryfikował prognozy publicysty Radia RMF. Tusk, gdy tylko zobaczył, że jest szansa zdobyć elektorat lewicowy, jak najbardziej został rewolucjonistą. Poparł aborcję na żądanie oraz dał zielone światło do rugowania lekcji religii ze szkół. Czy ten wyraźny skręt w lewo lidera Platformy Obywatelskiej jakoś zmitygował Terlikowskiego? W żaden sposób.

Gdy parę tygodni temu prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski ogłosił polecenie zdejmowania symboli religijnych w urzędach, w odpowiedzi Terlikowski zaczął na wyścigi wyszukiwać okoliczności łagodzące. Pisał: „Jeśli uważnie przeczytać się w zasady zaprezentowane przez urząd m. Warszawy – to fundamentalne prawo do obecności symboliki religijnej w przestrzeni biurka pracownika nie zostało naruszone [...]. Zakaz dotyczy nie biurów w ogóle, ale miejsc, w których obsługiwani są petenci, a mowa jest nie o obecności, a o eksponowaniu”.

I natychmiast zaczyna pośrednio usprawiedliwiać nowe zarządzenie: „Źródła tej zmiany są dość oczywiste. Z jednej strony jest szybka laicyzacja i sekularyzacja, która sprawia, że w niektórych społeczeństwach zachodnich chrześcijaństwo (bo mowa akurat o symbolach chrześcijańskich) nie stanowią już nawet połowy obywateli [...], z drugiej (bo i o tym trzeba pamiętać) – do eksponowania symboli religijnych niezgodnie z ich przeznaczeniem, czyli jako elementów tożsamości politycznej skierowanej przeciwko komuś”. Całą swoją analizę wreszcie Terlikowski kończy uspokajającym przesłaniem: „Wygląda to raczej – szczególnie jeśli przeczyta się wszystkie zasady – na swoistą ideową i polityczną nadgorliwość urzędu”.

Widzimy więc Terlikowskiego w nowym wcieleniu. Kogoś, kto uspokaja, że zmiany wcale nie są radykalne; kogoś, kto rozumie, że dzisiejsza metamorfoza Zachodu prowadzi w kierunku nieuchronnej laicyzacji, i, wreszcie, rozumie, że ktoś może widzieć w małym krzyżku demonstrację wrogości wobec osób wyznających inne wartości. A na koniec jeszcze zwalnia Rafała Trzaskowskiego od wszelkiej odpowiedzialności, sugerując, że jest to jedynie nadgorliwość urzędników prezydenta Warszawy.

NOWI ŚWIECCY ZARZĄDCY KOŚCIOŁA

Ostatnim miejscem ideowej podróży Tomasza Terlikowskiego jest strona internetowa Więź. Niedysyjszy publicysta naszego tygodnika trafił więc w miejsce, które coraz wyraźniej chce aspirować do roli ośrodka, który kształtować będzie działania wiernych „otwartych” na zmianę polskiego Kościoła. Zbigniew Nosowski, redaktor naczelny „Więzi”, w rozmowie z Arturem Sporniakiem z „Tygodnika Powszechnego” formułować zaczyna coraz wyraźniej ideologię ignorowania struktur Kościoła hierarchicznego. Niezdolnych do naprawy. Tak zepsutych, że wierni muszą zastanowić się nad samodzielnym poszukiwaniem swojej drogi do Boga równoległe albo wręcz poza formułą Kościoła.

Zdaniem Nosowskiego „może Bóg chce, byśmy odrzucili pewne przywiązania, zwyczaje czy wzorce postępowania. On ogołaca Kościół, by zobaczyć go piękniejszym”. Nosowski zdaje się wpaść w samą wiarę Chrystusa. Jak mówi: „Problemem jest nie tylko sam Kościół, trzeba zejść także głębiej. Wyczerpała się żywotność chrześcijaństwa. Tego nie uzdrowią reformy strukturalne [...]. Problem władzy i biskupstwa jest jedną z najważniejszych kwestii doktrynalnych, które trzeba uporządkować w tym wielkim procesie katolickiej reformacji”. I dodaje: „Ktoś nam ukradł Kościół”.

Nosowski wskazuje na konkretne sposoby działania. Jak mówi: „Możemy podejmować działania bez czekania na zgodę biskupów. Dlatego proponuję raczej rozwijać małe wspólnoty kościelnej wiarygodności niż grupy dyskusyjne o reformie Kościoła. Skupmy się nad tym,

co pierwotne: na ocaleniu i odradzaniu chrześcijaństwa w sobie i wokół siebie. Z tego może kiedyś wyniknie także reforma Kościoła”. Ten zarysowany program działania obok struktur Kościoła z wręcz jawnym wotum nieufności wobec biskupów wydaje się być idealną formułą dla bohatera tego tekstu.

Można wyobrazić sobie, że wyłaniać się będą grupy postępowych wiernych, które zaczęły oddalać się od struktury parafialnej czy diecezjalnej, a orientować się będą na nowych „medialnych” przewodników. I wtedy Terlikowski naprawdę może zostać kimś w rodzaju świeckiego biskupa. Tym bardziej że – jak wynika z jego wypowiedzi – czuje on w sobie zapał do podjęcia walki o duszę tego kościoła. 25 maja na swoim Facebooku pisał: „Zostałem zaproszony na pewną konferencję, poważną, organizowaną przez jedną z diecezji. Nie na temat Kościoła, ale małżeństwa, rodziny, przekazywania wiary. Okazało się jednak, że z powodu moich wypowiedzi krytycznych wobec hierarchii Kościoła nie mogę podzielić się przekazywaniem wiary dzieciom. Tak właśnie wygląda Kościół w Polsce Anno Domini 2024. I chciałem powiedzieć, że nie dam się wypchnąć z Kościoła. Nigdzie się nie wybieram, nie planuję konwersji, byłem i jestem katolikiem. Nie zamierzam też rezygnować z tego, do czego – jak głęboko wierzę – powołuje mnie Pan”.

To ostatnie zdanie pokazuje, jak niefortunne są niekiedy uwagi niektórych katolików, którzy spekulują, że Terlikowski przejdzie na protestantyzm albo wręcz odejdzie od wiary. To zupełnie nieporozumienie. Terlikowski nie chce opuszczać wspólnoty katolików, tylko chce wskazać jej drogę według przesłanek, które on uważa za najlepsze i najważniejsze. Nie jesteśmy w stanie stwierdzić, co jeszcze jego sumienie wskaże mu w ramach tego, do czego – według jego przekonania – „powołał go Pan”. Jedno jest pewne. Że na tej drodze nie będzie się liczył z tradycyjną strukturą Kościoła złożoną z episkopatów, biskupów i proboszczów, a raczej przyjmować będzie rolę kogoś, kto poucza hierarchów. I ponad ich głowami będzie się starał dotrzeć do serc i uczuć polskich katolików. Pytanie, ilu z nich odpowie na te syrenie śpiewy.



Kaja Godek

Tomasz Terlikowski wywołał mnie do tablicy. Pouczył, że katolik nie może być homofobem (cokolwiek to oznacza), a obrońca życia ma szanować transseksualistów i nie może się dystansować od transobrzydlivosti. Nie siliłabym się na żadną polemikę, gdyby nie to, że Terlikowski kolejny raz próbuje pisać nową teologię – pod dyktando ruchu, którego celem jest zniszczyć człowieka, cywilizację i sam Kościół

Tomasz Terlikowski znowu atakuje. Czy to potrzeba ciągłego uwiarygodniania się przed lewicowo-liberalnym salonem? Czy wyrzut sumienia, który trzeba zwalczyć, bo przecież kiedyś wspólnie staliśmy na tej samej barykadzie? Trudno jednoznacznie rozstrzygnąć o motywacjach. Warto jednak przyjrzeć się temu, co ów – niegdyś katolicki – publicysta postuluje. Odkładając na bok ataki personalne, trzeba skupić się na tym, jaka wizja rzeczywistości realnie się za nimi kryje.

„CZY PANI MENSTRUUJE?”

Rozprawmy się najpierw z samym wydarzeniem, które tak wzburzyło Terlikowskiego, że napisał o tym w Wirtualnej Polsce.

Po Sejmie chodzi człowiek z dokumentami wystawionymi na nazwisko Angela Getler. Transwestyta zatrudniony w Polskiej Agencji Prasowej na stanowisku dziennikarza. Podtyka mikrofon młodym kobietom i wypytuje: „Czy pani menstruuje?”. Nie oszczędza nawet księżdz w sutannie – kapłan też jest indagowany, czy miewa miesiączkę. Na twarzy transwestyty malują się przy tym szeroki uśmiech i widoczna satysfakcja. Nagrania lądują na nośnikach, których właścicielem jest PAP; nie wiadomo, przez kogo będą wykorzystane i do czego. Czy te

Kiedyś wspólnie staliśmy na tej samej barykadzie

przedziwne wywiady to tylko realizacja własnych chorych fascynacji? Czy może zlecenie, aby barczysty osobnik wciśnięty w sukienkę i damskie czółenka przekraczał bariery, oswajał to, co nie-normalne, i wysuwał debatę publiczną jak najmocniej w lewo?

W Internecie Getler zbiera pieniądze „na waginę”. Proszę wybaczyć, to był cytat. W opisie samej zbiórki łzawo opowiada o urodzeniu się w niewłaściwej płci na zmianę z określeniami infantrylnymi i wulgarnymi (urodziłam się

bez c.pki itp.). Operacja obcięcia penisa i wyłobienia waginy ma kosztować 125 tys. zł, kwota wysoka, pracownik PAP prosi o datki. Tej części historii nie znajdziemy w mediach warszawskiego salonu. Nie wspomina o niej także Tomasz Terlikowski.

Gdyby np. ksiądz chodził i wypyttywał lewicowe aktywistki o sprawy intymne, oburzeniu nie byłoby końca. Podniosłoby się larum, że Kościół zagląda ludziom do łóżka, a przepytane aktywistki ustawiłyby się w kolejce do kamery, by opowia-



gdzie kobiety są realnie zagrożone przez niewyżytych mężczyzn. Wystarczy, że ogłoszą się oni kobietami.

ZAGROŻENIE DLA KOBIECI

W maju 2021 r. w Stone Bridge High School w stanie Virginia w USA 15-letni chłopak uważający się za dziewczynę wszedł do damskiej toalety i zgwałcił rok młodszą koleżankę. Gdy ojciec ofiary, Scott Smith, zaczął dochodzić sprawiedliwości, sam popadł w kłopoty i został uznany za niebezpiecznego homofoba. Miesiąc po zdarzeniu na posiedzeniu rady szkoły Smith opisywał, co stało się jego córce. Wezwano policję i wyprowadzono go siłą z budynku. Nauczyciele zbyli sprawę, mówiąc, że zagrożenie atakami seksualnymi ze strony osób LGBT nie istnieje. Transseksualny 15-latek zdo-

Po Sejmie chodzi transwestyta z PAP i podtyka mikrofon, pytając kobiety: Czy pani menstruuje?

łał jeszcze zmusić do czynności seksualnych kolejne dzieci, zanim decyzją sądu został przeniesiony do innej placówki. W nowej szkole także wykorzystał seksualnie dziewczynkę z klasy, korzystając z chwili, gdy został z nią sam w pustej sali lekcyjnej. Małżeństwo Smith założyło później sprawę sądową, domagając się 30 mln dol. odszkodowania od organu prowadzącego szkoły w dystrykcie Loudoun w Virginii. W pozwie wskazywali, że za krzywdę ich córki odpowiada polityka równościowa w zakresie toalet i przebieralni w placówkach edukacyjnych.

Od wiosny 2023 r. toczy się sprawa z powództwa transaktywisty Ali Milesa, biologicznego mężczyzny, który chciał korzystać z damskiej przebieralni w niewielkim studio jogi na nowojorskim Manhattanie. Został wyproszony z przebieralni przez klientki studia. Według dokumentów złożonych w sądzie przerażone kobiety zobaczyły, jak w ich obecności rozbiera się do naga mężczyzna, krzyczały, aby wyszedł, i poszły

dać, że były molestowane przez księdza (za opowiedzenie podobnej historii w lewicowym półświatku się punktuje). Natomiast Terlikowski napisałby nie jeden artykuł, a trzy potępiające nadużycia seksualne wśród duchowieństwa i ogłaszałby, że trzeba skończyć z klerikalizmem. Wystarczy jednak ubrać biologicznego mężczyznę w zwiwną damską sukienkę oraz dać mu dokumenty na nazwisko żeńskie i może ingerować w intymność kobiet w swoim otoczeniu. Może zadawać niedyskretne pytania,

naruszać czyjąś przestrzeń osobistą w trakcie konferencji prasowej – właściwie może wszystko.

Pro-liferki obecne w Sejmie na wysłuchaniu publicznym o aborcji czuły się zagrożone i czuły obrzydzenie wobec zachowań Getler. Obrzydzenie, odraza, chęć trzymania dystansu są w takich sytuacjach jak najbardziej normalne i zdrowe. Kuriozalne jest tu bronienie transaktywisty, a nie nagabywanych kobiet. Przyjmowanie optyki poprawności politycznej buduje rzeczywistość,

na skargę do kierownika placówki. Pracownicy studia relacjonują, że chcąc nie chcąc, widzieli Milesa nago i że jest on „na 150 proc. mężczyzną”. Miles domaga się teraz 5 mln dol. odszkodowania od właściciela firmy i robi z siebie ofiarę prześladowań na tle swojej tożsamości płciowej.

Przykłady takie jak powyższe można by mnożyć. Gdziekolwiek dochodzi do głosu tolerancja wobec ideologii LGBT, pojawia się realne zagrożenie dla kobiet i dzieci.

Ktoś powie, że zarówno polityka równościowa w szkołach w Virginii, jak i regulacje dotyczące przebieralni w Nowym Jorku to kwestia obowiązującego prawa. Ale przecież prawo nie napisało

Powstaje mętlik, bo przecież z jednej strony w katolicyzmie potępienie grzechu sodomskiego jest wyraźne (jest on zaliczany do grzechów wołających o pomstę do Nieba), z drugiej – skoro mamy wykazać się delikatnością i zrozumieniem, to dla wszystkich członków ruchu LGBT musimy być mili i uprzejmi.

Trzeba zrobić ważne rozróżnienie: na homo- i transseksualizm oraz homo- i transaktywizm. Bez rozgraniczenia tych dwóch rzeczywistości skazani jesteśmy na zamęt. Otóż Kościół katolicki w swoich dokumentach najczęściej odnosi się do homoseksualistów i transseksualistów, a nie do aktywistów. Osoba o nieuporządkowanych skłonnościach w sferze seksualnej, szczególnie gdy jest świadoma

W akcjach pod hasłem „Jestem LGBT” występowali także heteroseksualiści. Ludzie w normalnych małżeństwach, mający dzieci, nagle ogłaszali, że w obliczu narastającej w Polsce homofobii oni „są LGBT”! Nie chodziło wtedy o opisanie swojej seksualności, a właśnie o publiczny gest przynależności do grupy.

Aktywizm LGBT to podejmowanie działań, aby postrzegano wszystkie możliwe zachowania seksualne jako równe sobie. W tej logice nie ma dobra i zła, nie ma normy i odstępstwa od niej. Seksualność realizuje się na wiele różnych sposobów, a każda jej realizacja zawsze jest dobra i nie może podlegać krytyce. Nade wszystko seksualność jest sprawą publiczną: coming outy, określanie siebie i podobnych sobie jako „społeczności”, tworzenie równoległego świata, klubów, portali, grup dla gejów, noszenie emblematów z sześciokolorową tęczą.

Cytowanie dokumentów Kościoła pisanych w odniesieniu do homo- czy transseksualistów w sytuacji, gdy mamy do czynienia z homo- czy transaktywizmem, jest niedorzeczne. Wynika albo z niezrozumienia, że skłonności seksualne a aktywizm to dwie różne rzeczywistości, albo z chęci celowego mieszania tych dwóch porządków.

Zatrudnienie w agencji prasowej na eksponowanym stanowisku człowieka, który ostentacyjnie podkreśla swój transseksualizm, wysłanie go w kluczowe miejsce, którym jest Sejm, co najmniej przyzwolenie, aby łamał standardy dziennikarstwa, przekraczając granice przyzwoitości – to klasyczna sytuacja, gdy mamy do czynienia z transaktywizmem. Po Sejmie nie chodziła zbłąkana osoba świadoma swojego problemu i szukająca współczucia, ale ktoś, kto miał wychylić debatę w stronę akceptacji agendy trans.

TOLERANCJA W AGENDZIE LGBT

Swoista biblia homoaktywistów to książka amerykańskiego działacza gejoskiego Marshalla Kirka z 1989 r. Nosi znaczący tytuł: „Po balu. Jak w latach 90. Ameryka pokona swój strach i nienawiść wobec gejów”. Zawiera ona opis etapów, które muszą mieć miejsce, aby społeczeństwo uległo wszelkim żądaniom lobby homoseksualnego. Kirk pisze wprost, że na początku nie należy oczekiwać, że

Zatrudnienie w agencji prasowej na eksponowanym stanowisku człowieka, który ostentacyjnie podkreśla swój transseksualizm, wysłanie go do Sejmu i co najmniej przyzwolenie, aby łamał standardy dziennikarstwa, to klasyczna sytuacja, gdy mamy do czynienia z transaktywizmem

się samo. Wprowadzenie w życie konkretnych przepisów zgodnych z żądaniami środowisk LGBT to zasługa wieloletniej, intensywnej kampanii na rzecz uznania, że transseksualizm trzeba zaakceptować. I że transseksualiści to biedna, poszkodowana – a przecież godna najwyższego szacunku! – grupa, która czuje się dyskryminowana, gdy musi korzystać z pewnych pomieszczeń zgodnie z płcią biologiczną.

TRANSEKSEKUALIZM VS. TRANSAKTYWIZM

Gdy pokazuje się prawdziwe oblicze środowiska LGBT, gdy opisuje się bezmiar cierpień osób przez to środowisko skrzywdzonych, gdy stawia się jego członkom zdecydowane granice, salonowe media lubią cytować dokumenty Kościoła katolickiego o konieczności szacunku i delikatności wobec homo- i transseksualistów oraz wobec innych tożsamości LGBT, które nieustannie się multiplikują. Dokładnie ten manewr stosuje Tomasz Terlikowski, dodatkowo wspominając o nauczaniu „ostatnich papieży”, tak jakby Kościół nie liczył sobie 2 tys. lat, ale raptem kilkadziesiąt.

swej kondycji, rzeczywiście wymaga zrozumienia i współczucia. Warto zaznaczyć, że zgodnie z nauczaniem Kościoła osoba ta jest wezwana do życia w abstinencji seksualnej (z możliwością wyjścia z niezdrównej skłonności i zawarcia wówczas normalnego małżeństwa). Samo odczuwanie pociągu do osób tej samej płci nie podlega w ogóle ocenie moralnej, podobnie jak każde inne uczucie, które może zrodzić się w człowieku. O tym, że ktoś zmaga się z tendencjami homoseksualnymi, otoczenie może nawet nie wiedzieć. Seksualność jest sferą intymną i naturalne jest, że otacza się ją dyskrecją.

Czym w takim razie jest homoaktywizm? To dobrowolna i w pełni świadoma decyzja, że dana osoba angażuje się w promowanie i pochwalanie nienaturalnych zachowań seksualnych oraz upowszechnia określony model życia. Aktywista LGBT w ogóle nie musi być homo- czy transseksualistą. Może być hetero, może być w związku heteroseksualnym z długim stażem i mieć biologiczne dzieci. Mimo to czyni z siebie świadomie nośnik ideologii, najczęściej połączonej z postulatami społeczno-politycznymi.

ludzie uznają homoseksualizm za coś dobrego. Należy raczej się starać, aby samo zjawisko po prostu zaczęło być zauważane aż do chwili, gdy ludziom zo- bojętnieje. Radzi, by jak najczęściej mówić o gejach w sposób neutralny lub życzliwy, stwarzać wrażenie, że jest ich mnóstwo i ludzie ich powszechnie akceptują. Zaleca także otwarte prowokacje, np. atakowanie kościołów czy obrzydzanie przeciwni- ków – wszystkie te chwytły powielane są w Polsce przez lewicowych radykałów!

Ciekawostka: Kirk w ogóle nie kryje się z tym, że trzeba się przedostać do naj- bardziej konserwatywnych środowisk, pisze wprost o przenikaniu tam poprzez „pożytecznych idiotów” oraz o dawaniu głosu pseudokatolikom, aby mówili o tolerancji.

I właśnie w tę pułapkę wpadają nie- którzy komentatorzy, gdy usiłują napisać nową teologię katolicką. Tolerancja – dziś tym terminem określa się obojętność na zło. Tymczasem jest ona przedstawiana jako wartość, do której pielęgnowania rzekomo wzywa Kościół. Nic bardziej błędnego! Tolerancja nie jest katolicką

cnotą, Kościół nie uczy, że ma nam być wszystko jedno! Natomiast milczenie na grzech drugiego lub pochwalanie czyje- goś grzechu samo w sobie jest grzechem z kategorii grzechów cudzych – to tak podstawowe sprawy, że uczą się o nich małe dzieci przed I komunią świętą. Gdy zatem aktywiści LGBT próbują zmusić wszystkich, by niezgodne z naturą zacho- wania traktować jako dobre, katolik nie może miło kiwać głową w imię szacunku do osoby, ale ma obowiązek takie zacho- wania piętnować i oprotestować. A nade wszystko chronić przed nimi siebie, swoje dzieci i swój naród.

I ostatnia rzecz: teza Terlikowskiego, jakoby homofobia i transfobia szkodziły sprawie obrony życia. Poczynając od definicji, fobia to strach. Chyba najwięk- szym problemem środowisk homoseks- sualnych oraz służących im publicystów jest właśnie to, że nie wszyscy się boją. Bo celem ruchu LGBT jest ostatecznie zastraszenie ludzi i przebudowa społe- czeństwa w sposób niezgodny z prawdą antropologiczną. Paradoksalnie właśnie tych, którzy nie boją się mówić „NIE”

homoseksualnej agendzie, wyzywa się od homo- i transfobów. Podczas gdy ich działania to właśnie akt odwagi. Ko- niecznej, aby ocalić normalność, wolność myśli i słowa, wolność ku dobru.

Pokazywanie prawdy o ruchu LGBT nikogo nie obraża, a jest niezbędne, by chronić potencjalne ofiary (dzieci zagro- żone pedofilią i przemocą, młodzież ry- zykującą operację zmiany płci). Nie kłóci się też z działalnością antyaborcyjną. Aborcja jest częścią ideologii równocio- wej, gdyż wyzwala kobiety z brzemienia macierzyństwa. Wiele klinik aborcyj- nych na Zachodzie już oficjalnie oferuje także tranzykcje płci. Środowisko czar- nego protestu i parad LGBT, a ostatnio także pseudoeologów to jeden świat. W Fundacji Życie i Rodzina to wiemy, bo kontruując proaborcyjne strajki i parady równości, spotykamy te same twarze. Gdyby Tomasz Terlikowski stanął kiedyś z nami na ulicy, być może wiele by zrozumi- ał.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autorka jest fundatorem Fundacji Życie i Rodzina, pełnomocnikiem społecznych inicjatyw ustawodawczych przeciw aborcji i ideologii LGBT.

REKLAMA



LECZENIE I REHABILITACJA

POBYTY: Zdrowy Kręgosłup, Neurologiczny, Dla Aktywnych, Biodra, Kolana, Bark, Antystresowy, Kardiologiczny z diagnostyką.

Szwedzki stół, 15 albo 20 zabiegów na 7 dni pobytu

- Wstęp na basen z atrakcjami do 90 minut dziennie
- Diagnostyka fizjoterapeutyczna i laboratoryjna
- Specjalistyczne konsultacje lekarskie
- *możliwa dopłata

Pobyty w terminach: 10.06 - 23.06 oraz 23.06 - 29.09.2024

tel. 54 416 70 00

www.podtezniami.pl

Klinika Uzdrowskowa „Pod Tężniami” im. Jana Pawła II, ul. Warzelniana 7, 87-720 Ciechocinek

Po śmierci zaatakowanego przez migranta żołnierza 1. Brygady Pancерnej pojawiły się głosy, aby nie szukać odpowiedzialnych po polskiej stronie. „Nie, za śmierć polskiego żołnierza nie odpowiada ani Tusk, ani Morawiecki, ani Kosiniak-Kamysz, ani jakiegokolwiek inny polski polityk. Odpowiedzialność za to ponosi Białoruś, której na rękę jest obarczanie się głównym przez Polaków” – napisał dziennikarz Wirtualnej Polski Patryk Słowik. W podobnym tonie wypowiadał się marszałek Sejmu Szymon Hołownia: „Wspólny wróg powinien nas łączyć, a nie dzielić. Winę za tę tragedię ponoszą autorytarne reżimy Rosji i Białorusi. To one włożyły nóż w rękę bandyty, licząc na to, że tak podpalą Polskę. Nie dajmy się sprowokować, nie pozwólmy im na to”.

To kusząca propozycja. Może się wydawać, że przyjęcie takiej postawy oznacza dojrzałość i robi z nas państwowców. Tyle że to nieprawda. Każda sytuacja, skutkująca szkodami dla państwa, powinna być powodem do analiz i także rozliczeń, jeśli oczywiście nie zamienią się one w tępą żądzę zemsty, wymierzonej bez uzasadnienia i uwzględnienia fatalnych skutków dla kraju. Z czymś takim mieliśmy do czynienia po wrześniowej klęsce 1939 r., gdy premierem i Naczelnym Wodzem został Władysław Sikorski, a piłsudczycy znaleźli się w niełasce. Ta niełaska objęła również tych, których kompetencje bardzo by Polakom wówczas pomogły, a których udział w reżimie sanacyjnym był marginalny. Ponadto postulat niepodejmowania rozliczeń po tym, jak propaganda nakrywania wroga czapkami okazała się wielkim pitem, byłby absurdem. A przecież i wtedy jakiś Hołownia mógłby stwierdzić: Po co robić rozliczenia? Winny jest tylko Hitler, nie wnioskujmy w to.

ZADZIWIAJĄCA SEKWENCJA ZDARZEŃ

Podobnie jest teraz. Nie chodzi o to, żeby okładać się pałką po głowie, ale jednak winnych po polskiej stronie należy szukać i wskazywać.

W krótkim okresie przed niedzielnymi wyborami przydarzyła się kumulacja wydarzeń związanych z obroną granicy. To z pewnością miało dla wyborców znaczenie. Pokazywał to chociażby sondaż, przeprowadzony na początku maja dla



Granica odpowiedzialności



Łukasz Warzecha

Nie chodzi o to, żeby po śmierci polskiego żołnierza rannego na granicy okładać się pałką po głowie, ale jednak winnych po polskiej stronie należy szukać i wskazywać

Fundacji Batorego na reprezentatywnej grupie ponad 2 tys. osób. Zadano w nim m.in. pytanie: „Kiedy myśli Pan/Pani o tym, czy i jak zgłasza w wyborach do Parlamentu Europejskiego, jak istotne będą poniższe kwestie przy podejmowa-

niu decyzji, na kogo zagłosować?”. Najwięcej – w sumie aż ponad 94 proc. – wskazało na obronność i bezpieczeństwo, w tym ponad 82 proc. uznało to za bardzo ważne. Ponad 80 proc. wskazało na imigrację – przy czym można założyć, że gdyby



Oba kadry (ten i kolejny na s. 24) pochodzą z nagrania ataku migrantów na funkcjonariuszy SG. W tym samym dniu doszło do ugodzenia nożem polskiego żołnierza

FOT. YOUTUBE.COM/STRAŻ GRANICZNA

sondaż przeprowadzano nieco później, wskazani byłoby więcej. Dla porównania: jedynie 67 proc. – najmniej spośród możliwych opcji – wybrało ochronę klimatu i zieloną energię (można było wskazać do trzech problemów).

Najpierw do opinii publicznej, z pewnym opóźnieniem, dotarła informacja o zranieniu polskiego żołnierza. Wkrótce okazało się, że to tylko czubek góry lodowej, a takich przypadków jest o wiele więcej. W ślad za tym zaczęły się pojawiać pytania, dlaczego wojsko nie użyło przeciwko agresywnym migrantom broni. Resort obrony tłumaczył się, że żołnierze mają do tego prawo w samoobronie i że to się zdarza.

Tymczasem niedługo później Onet opublikował porażający artykuł Marcina Wyrwała i Edyty Żemły o brutalnym zatrzymaniu oraz postawieniu zarzutów dwóm żołnierzom za to właśnie, że użyli broni, oddając strzały ostrzegawcze w powietrze, a następnie w ziemię przed grupą nacierających kilkudziesięciu migrantów. Dalej sekwencja zdarzeń była zadziwiająca. Najpierw wszyscy właściwie politycy, z ministrem obrony Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem włącznie, oznajmili, że to oburzające, iż działania

Żandarmerii Wojskowej budzą sprzeciw i że żołnierze muszą móc się bronić. Pan minister stwierdził także, że o sprawie nie wiedział. Wkrótce jednak przyznał, że wiedział, ale nie znał podobno szczegółów – co, gdyby było prawdą, stawiałoby go w fatalnym świetle jako ministra niepanującego nad własnym resortem i armią. Wszak ŻW to służba podlegająca ministrowi obrony. Czyżby pan Kosiniak-Kamysz nie miał pojęcia, co żandarmeria robi w tak istotnych przypadkach?

Z kolei zastępca ministra, pan Paweł Zalewski (Polska 2050), oznajmił, że według jego wiedzy ŻW dochowała procedur. Inna sprawa – powiedział – to pytanie, czy są one słuszne.

Potem jednak odezwała się prokuratura, niejako idąc w zaparte. Jej przedstawicielka wyjaśniła, że uzasadnione było postawienie żołnierzom zarzutów z art. 231 Kodeksu karnego (narażenie człowieka na bezpośrednie niebezpieczeństwo utraty życia albo ciężkiego uszczerbku na zdrowiu, zagrożone karą do trzech lat pozbawienia wolności) w związku z art. 160 k.k. (przekroczenie uprawnień lub niedopełnienie obowiązków, identyczne zagrożenie karą), gdyż z analizy materiału dowodowego miało wynikać, że po oddaniu strzałów ostrzegawczych, gdy migranci już się wycofywali, żołnierze oddali jeszcze kolejne strzały.

ROZDWOJENIE JAŹNI

Zadziwiające jest tutaj to, że prokuratura wydaje się szukać pretekstu, aby postawić żołnierzy przed sądem, kompletnie nie biorąc pod uwagę dynamicznej sytuacji na granicy, stresu oraz braku wykszolenia żołnierzy do działań faktycznych policyjnych. Przede wszystkim jednak trzeba pamiętać, że prokuratura działa według ogólnych politycznych wytycznych. Nadal bowiem nie jest – jak obłudnie często deklarują przedstawiciele obecnej władzy – „niezależna” (ten fałsz powtarzał także pytany o sprawę Zalewski), ale podporządkowana politycznie. Minister sprawiedliwości, Bodnar, jest jednocześnie prokuratorem generalnym. Jego podwładni nie otrzymują co prawda bezpośrednich poleceń w konkretnych sprawach, ale są zobowiązani do realizowania ogólnej linii w polityce karnej. Inaczej mówiąc – bez akceptacji Bodnara prokuratura nie działałaby wobec żołnierzy w taki sposób.

Wiele światła na jej postawę rzuca informacja, potężnie obciążająca obecną rząd, a zwłaszcza ministra Bodnara, o powołaniu 17 kwietnia zarządzeniem prokuratora regionalnego w Lublinie specjalnego zespołu śledczego, który ma badać domniemane naruszenia prawa przez funkcjonariuszy Straży Granicznej, policji i innych służb od września 2021 r. do marca 2024 r. w Białowieży, Bobrownikach i innych miejscach przy granicy polsko-białoruskiej. Ma chodzić o pushbacki oraz „zawracanie do linii granicy państwa uchodźców, którzy znajdowali się w stanie zagrażającym w sposób bezpośredni ich zdrowiu i życiu”. Śledztwo w tej sprawie zostało zapoczątkowane donosem niewymienionego z nazwiska „dziennikarza aktywisty” działającego przy granicy. Oczywiście szef Prokuratury Regionalnej z Lublinie bez akceptacji najwyższego szczebla w prokuraturze nie podjąłby takiej decyzji.

Władza popada zatem w rozdwojenie jaźni. Z jednej strony pan premier deklaruje pełne poparcie dla służb i żołnierzy, w praktyce realizując politykę ochrony granicy podobną do tej, którą realizowała poprzednia władza. Korzystając zresztą ze stworzonej przez nią infrastruktury. Z drugiej strony na zapleczu, po cichu i bez rozgłosu, ale przecież z druzgocącymi skutkami dla morale funkcjonariuszy i żołnierzy, powstaje zespół, którego zadaniem jest ściganie i dręczenie tych, którzy robili dokładnie to samo – tyle że za poprzedniej władzy. Pytanie brzmi: Do jakiego stopnia pan Bodnar realizuje w ten sposób własne plany polityczne, a do jakiego uzgadnia swoje poczynania z szefem rządu?

Jedno powinno być oczywiste: wzięwszy pod uwagę szczególną sytuację na granicy, odpowiedzialność, która spoczywa na strzegących jej ludziach, poziom stresu i obciążenie zadaniami, prokuratura, gdyby działała w interesie polskiego państwa, absolutnie nie musiałaby podejmować w tej sprawie śledztwa. A już na pewno nie byłoby powodu do tworzenia jakiegos specjalnego zespołu – to zdecydowanie ponadprzeciętne zaangażowanie.

Skoro jednak szukamy winnych sytuacji, to są to również politycy Zjednoczonej Prawicy. Kryzys na granicy Białorusi z państwami UE zaczął się w pierwszej połowie 2021 r. Najpierw jego skutki

■ odczuła Litwa. Fale migrantów zaczęły nacierać na Polskę mniej więcej w czerwcu, a już we wrześniu i w październiku zapadły decyzje o wzmocnieniu Straży Granicznej oraz policji siłami Wojska Polskiego, w tym Wojsk Obrony Terytorialnej. Już wtedy pojawiały się wątpliwości, czy wojsko jest odpowiednio przygotowane do wykonywania zadania tak specyficznego jak pilnowanie granicy państwa. To połączenie umiejętności policyjnych, zwiadowczych i szczególnie jedynie dla tej konkretnej dziedziny. Żołnierze nie są do tego standardowo szkoleni.

Od tego czasu minęły blisko trzy lata, w tym od ponad pół roku władzę sprawują inni ludzie. Było to dość, aby wyodrębnić w wojsku oddziały specjalnie przygotowane do wykonywania tego zadania, bo przecież kryzys właściwie nigdy się nie zakończył – powyżej żelaz. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Z artykułu Onetu wynika, że na granicy umieszczani są żołnierze nie tylko bez specjalistycznego wyszkolenia, lecz także całkiem świeży, którzy w obliczu nacierających migrantów



wego Jacek Siewiera przyznaje publicznie, że „polskie prawo nie reguluje kwestii obecności żołnierzy z ich etatowym uzbrojeniem, z wykorzystaniem tego uzbrojenia zgodnie z doktryną, zgodnie z łańcuchem dowodzenia przy granicy”. Można spytać: Co w tej sprawie zrobił PiS przez dwa lata, od 2021 do 2023 r.? Przecież bez problemu można było wówczas odpowiednie regulacje przygotować i uchwalić.

Teoretycznie ustawa o środkach przymusu i broni palnej powinna bez problemu pozwalać im na użycie broni w sytuacjach, które przydarzają się na granicy

Dalej mamy także uprawnienie do użycia broni dla przeciwstawienia się osobie niepodporządkowującej się wezwaniu do natychmiastowego porzucenia broni, materiału wybuchowego lub innego niebezpiecznego przedmiotu, którego użycie może zagrozić życiu, zdrowiu lub wolności funkcjonariusza albo innej osoby. Artykuł 47 mówi zaś, że broni można użyć również do oddania strzału ostrzegawczego.

Skoro jednak wciąż powstają wątpliwości, to być może ustawę należy doprecyzować. Może powinna ona zawierać całkowicie napisany od nowa artykuł, dotyczący użycia broni i środków przymusu bezpośredniego właśnie na granicy państwa. A może w ogóle potrzebny jest nowy akt prawny, specjalnie skupiony tylko na tym zagadnieniu. I znów: było dość czasu, aby odpowiednie rozwiązanie prawne przygotować. Mogli to zrobić – i uchwalić, mając większość w Sejmie i swojego prezydenta – poprzednicy. Mogli to również zaproponować obecnie rządzący. Nic takiego jednak nie nastąpiło.

Patrząc na to, co dzieje się na granicy Polski z Białorusią, można dojść do wniosku, że wciąż aktualna jest niedysydysza diagnoza stanu polskiego państwa, wyrażona na słynnych nagraniach przez byłego już ministra kultury Bartłomieja Sienkiewicza: „ch... i kamieni kupa”. Zestresowani, naciskani przez prokuraturę, niepewni ewentualnych konsekwencji, źle wyszkoleni żołnierze nie tylko nie będą skuteczną ochroną granicy, lecz także – co gorsza – dają naszym wrogom wgląd w to, jaki faktycznie jest stan bezpieczeństwa państwa i naszej armii. Można oczywiście zważyć wszystko na Putina, jak to się ostatnio dzieje rutynowo, ale w ten sposób zamieciemy tylko problem pod dywan.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Z jednej strony premier deklaruje pełne poparcie dla służb i żołnierzy, w praktyce realizując politykę ochrony granicy podobną do tej, którą realizowała poprzednia władza.

Z drugiej strony na zapleczu – w prokuraturze ministra Bodnara, po cichu i bez rozgłosu, ale przecież z druzgocącymi skutkami dla morale funkcjonariuszy i żołnierzy – powstaje zespół, którego zadaniem jest ściganie i dręczenie tych, którzy robili dokładnie to samo – tyle że za poprzedniej władzy

tracą głowę. W sieci krążą filmy pokazujące starcia z atakującymi hordami i nawet przy największej dozie dobrej woli nie sposób tego, co na tych filmach widać, uznać za uporządkowaną, dobrze przygotowaną taktykę.

CO NA TO PRAWO?

Przez cały ten czas nie dostosowano również prawa. Żołnierze działają na granicy na podstawie Ustawy o środkach przymusu bezpośredniego i broni palnej, która reguluje użycie tychże przez policję czy Straż Graniczną. Ale obowiązują ich także wewnętrzne wojskowe regulaminy. Sam szef Biura Bezpieczeństwa Narodo-

niemal codziennie. Te kwestie reguluje jej artykuł 45. Zezwala on na użycie broni dla odparcia bezpośredniego, bezprawnego zamachu na: życie czy zdrowie funkcjonariusza lub innej osoby albo „konieczność przeciwdziałania czynnościom zmierzającym bezpośrednio do takiego zamachu”; ważne obiekty, urządzenia lub obszary; w końcu na nienaruszalność granicy państwowej przez osobę, „która wymusza przekroczenie granicy państwowej przy użyciu pojazdu, broni palnej lub innego niebezpiecznego przedmiotu”. Zwłaszcza ten ostatni fragment nie powinien pozostawiać wątpliwości co do uprawnień żołnierzy.

Ostatni z Magdaleny



FOT. JACEK DOMAŃSKI/REPORTER



Rafał A. Ziemkiewicz

Im większe oczekiwania, tym większy zawód. Bo okazało się, że w nowej sytuacji „obóz demokratyczny” i sam Tusk osobiście nie są już liderami rozwoju, ale jego hamulcowymi

Rocznicę „kontraktowych wyborów” lewicowo-liberalne salony od dawna usiłują wylansować na święto upamiętniające „zwycięstwo wolności” i legitymizujące budowany przez nie mit ich rządów w latach 1989–2014 jako „najlepszego ćwierćwiecza w tysiącletnich dziejach Polski”. W tym roku rocznica, promowana jako okrągła szczególnie intensywnie, spotkała się z datą 13 czerwca, kiedy to minie równe pół roku od zaprzysiężenia rządu Tuska. Rządu, który jest próbą

restauracji owego „najlepszego” ćwierćwiecza, a nawet cofnięcia czasu o osiem lat i wejścia po raz drugi do tej samej rzeki, której źródła były w podwarszawskiej Magdalence.

Sześć miesięcy funkcjonowania drugiego rządu Donalda Tuska to cezura nieco sztuczna, ale obie wspomniane daty zbiegły się w czasie z naturalnym przesileniem, którym są dla obecnej władzy wybory do Parlamentu Europejskiego. Potrzeba „mijanki”, symbolicznego pokonania PiS wysokością swojego

■ słupka w exit poll, była dla Tuska tak ważna, że wiele pilnych spraw odsuwał na „po”, pozorował ich rozwiązywanie i przykrywał „wrzutkami” nawet za cenę spotęgowania późniejszych kłopotów. Teraz, gdy jak żongler doniósł je do mety, musi zmierzyć się z nieuniknionym rozczarowaniem wyborców. Przyszło już ono zresztą, wbrew oczekiwaniom, znacznie wcześniej. Nawet w obozie liberalnym podniosły się głosy komentujące antypisowskie wzmożenia ostatnich tygodni jako rozpaczliwe próby zaradzenia wyborczej demobilizacji elektoratu, który pół roku temu dał szeroko rozumianej liberalnej lewicy drugą szansę i który teraz wydaje się zniechęcony tym, co z tą szansą zrobiono.

TUSK ZAPRZECZENIEM TUSKA

Mniejsza o wzięte z powietrza „konkrety” i inne złamane obietnice, mniejsza o sprzeczności, w które stale wikła się rządząca koalicja, mniejsza o skupienie całej aktywności wyłącznie na antypisowskich igrzyskach i dopieszczaniu wyłącznie liberalno-lewicowego betonu. Mniejsza o ceny energii, relokację imigrantów i kapitulację przed kosztownymi absurdami politycznej UE, bo skutków tego wszystkiego jeszcze wyborcy nie odczuli.

Najważniejsze, choć jeszcze nie werbalizowane, jest zaskoczenie radykalną, fundamentalną wręcz różnicą pomiędzy obecnym Tuskiem a tamtym, którego Polacy zapamiętali sprzed dekady i na którego teraz zagłosowali – czy to bezpośrednio, czy też wspierając jego koalicjantów. Mówiąc wprost, Tusk zatracił to, co było największym atutem jego obozu. I nie dość, że zatracił – stał się jego zaprzeczeniem. Zmiana jest tak niewiarygodna, że z trudem i powoli do ogółu wyborców dociera. Ale jednak dociera i prędzej czy później musi zmienić oczekiwania związane z Tuskiem i – szerzej – całą lewicowo-liberalną elitą III RP w namiętny gniew.

Zarówno w pierwszym ćwierćwieczu III RP, jak i w rządach Tuska po krótkim epizodzie chwiejnych rządów PiS-Samoobrony-LPR, a potem mniejszościowego rządu samego PiS, o sile formacji lewicowo-liberalnej nie decydowała, wbrew przekonaniu prawicy, przewaga instytucjonalna, którą „reformatorski”

sojusz postkomunistów z „demokratyczną” częścią opozycji zapewnił sobie w Magdalence. Oczywiście miała ona swoje znaczenie, ale nie była najważniejsza. Najważniejsze było to, że to ta właśnie formacja zdołała większości Polaków skojarzyć się z upragnioną modernizacją, ujmowaną potocznie w prostym „jak na Zachodzie”. Podczas gdy szeroko rozumiana prawica zwracała się ku przeszłości, symbolom kojarzącym się z tradycją romantyczno-patriotyczną, wierząc, że „to społeczeństwo żyło pół wieku w uśpieniu i jest wciąż jak z Sienkiewicza” (jak miał wedle relacji Jarosława Kaczyńskiego uzasadniać mu kiedyś Antoni Macierewicz, dlaczego trzeba iść w kierunku wskazywanym przez ZChN, a nie kopiować niemiecką CDU), szeroko rozumiany obóz lewicowo-liberalny mówił za Kwaśniewskim: „Wybieramy przyszłość”, definiując, jak ma ta przyszłość wyglądać, prostym wskazaniem palca na Zachód. Prawica ciążyła ku Kościołowi i wrywała sobie biało-czerwony sztandar, lewica i liberalowie zaś chwalili się swoimi kontaktami w zachodnim świecie, poklepywaniem ramion przez tamtejszych liderów, pochwałami zachodnich intelektualistów.

Polski apetyt na modernizację ewoluował. Na początku oczekiwano tylko „dogonienia Zachodu”. Gdy już go w społecznym odczuciu zaczęliśmy doganiać, pojawił się apetyt na równy podział owoców sukcesu – tę zmianę elity lewicowo-liberalne generalnie przespały, co spowodowało utratę władzy na rzecz PiS.

Do dziś środowiska lewicowo-liberalne nie zrozumiały, co się wtedy, w roku 2015, stało. Kierując się swoimi wyśzościowymi urojeniami zamiast analizą sytuacji, uznały rządy PiS za naruszenie porządku świata, bunt chłopski, reżim, narzucony Polakom skutek intrygi „pisanej cyrylicą”. Przez osiem lat miotania się w opozycji cała lewicowo-liberalna postinteligencja, ze swymi mogołami intelektu, kontaktami na Zachodzie, elitami korporacyjnymi, tłumem profesorów i sławiących się nawzajem celebrytów, nie zdołała wymyślić nic lepszego niż wulgarny bluzg, kryptonimowany ośmioma gwiazdkami. Jest to przypadek nienotowany chyba w nowoczesnej polityce: postinteligentka elita dzisiejszej Polski, tak bezmyślna, bezużyteczna, wypierająca społeczny konkret

i zakrzepła w pustym frazesie, daje się porównać tylko z elitami tużprzedrewolucyjnej Francji albo sarmackimi elitami przedrozbiorowej Polski.

Nie dotyczy to jedynie lewicowo-liberalnego zaplecza społecznego obecnej władzy, ale to ono właśnie kompromituje się dziś spektakularnie. Przez te osiem lat mnożenia bluzgów na PiS, szukania coraz mocniejszych emocjonalnych oskarżeń i symboli zaniechano – drobiazg – jakiegokolwiek refleksji nad tym, jak rządzić, gdyby znowu dostało się od wyborców taką szansę.

Szansa nadeszła – tym razem przespał zmianę nastrojów społecznych „obóz patriotyczny”, w przekonaniu, że wystarczy rozdawać kolejne benefity, by nigdy nie stracić władzy – i okazało się, że przez całe te osiem lat „elity” nie były w stanie wymyślić niczego lepszego niż powrót Tuska.

Bezmyślnie elity – nie przypadkiem używam tak mocnych słów i jestem w stanie je obronić – myślały w sposób magiczny, niezwykle prymitywny: wystarczy odsunąć PiS od władzy i w cudowny sposób wszystko będzie znowu tak, jak było – ale, w istocie, nie tak, jak naprawdę było, tylko jak grupom społecznym będącym beneficjentami umowy w Magdalence i III RP wydaje się, że było. A wydaje im się, że było wspaniale, po prostu – używając ulubionego słowa późnej sanacji – „byczo!”. Wszelkie nieśmiałe dociekania, że może PiS zaspokoili jakąś realną potrzebę, którą upojony sukcesem „obóz demokratyczny” prześlepił, że może jego popularność, nie do skruszenia przez osiem lat, mimo sięgającej po wszelkie metody irredenty elit i wciąż, mimo utraty władzy, niepoślednia, nie opierała się na „cyrylicy” ani manipulacjach medialnych, ale na realnej społecznej i wyborczej bazie, zostały stanowczo odrzucone i potępione jako „symetryzm”. PiS rządził, bo proboszczowie i TVP ogłupiły ciemną masę – „opiłujemy” proboszczów, w TVP damy Czyża zamiast Pereiry i PiS zniknie, rozwieje się jak wiatr.

POWRÓT DO PRZYSZŁOŚCI

W ten sposób, w duchu „czym się struś, tym się lecz”, uznały lewicowo-liberalne elity, że najlepszym lekarstwem na PiS jest przywrócenie do władzy tego samego Tuska, którego nieudolność

i ucieczka na unijną synekurę otworzyły PiS drogę do władzy.

KOMPROMITACJA

Tusk przez poprzednich osiem lat rządów (wliczam także premierostwo Ewy Kopacz, za które ponosi on pełną odpowiedzialność) nie zrobił nic. Jedyne decyzje, które podjął – wiek emerytalny, OFE – były na nim wymuszone. Żonglował „wrzutkami” i „przykrywkami”, piętrzył obietnice bez pokrycia, odwracając nowymi uwagę od starszych, przylatywał z Gdańska dopiero we wtorek, by już w czwartek wracać na weekend, zastępował polityczne wizje grepsami.

Jak Dyżurny Ptyś z dziecięcej bajki nie robił nic – co by zresztą mógł, skoro poza polityczną intrygą i demagogią niczego nie umiał – krzającą się tylko wokół ucieczki do Unii. Nie spodziewał się oczywiście, bo też nikogo przed nim to nie spotkało, że po kadencji, zamiast dać mu jak innym jakąś ciepłą synekurę, Unia wypchnie go z powrotem do kraju pochodzenia. Nie przygotowywał się do rządzenia Polską. Nie obserwował jej gospodarczych i społecznych przemian, nie próbował ich rozumieć, tym bardziej – pławiąc się w bizantyjskich apanażach za nic (co konkretnego ma do roboty przewodniczący Rady Europejskiej?) – nie próbował się niczego nauczyć. Wrócił równie niekompetentny, jak wyjeżdżał, tylko jeszcze bardziej odezwany od polskiej rzeczywistości.

Tylko że wrócił nie do roku 2007, kiedy to na dobrą sprawę poza polityką nie musiał robić niczego, bo sprawy szły same z siebie (przez pierwsze cztery lata z dotacji UE, wziętych pod nie kredytów i pieniędzy przysyłanych przez Polaków pracujących na Zachodzie miał Tusk do rozporządzenia piąty, dodatkowy roczny PKB!). Wrócił do roku 2024, pełnego wyzwań, kryzysów i wymagającego strategicznych decyzji. Zdezerterował z okrętu dryfującego spokojnie przy pięknej pogodzie. Pamiętając tę piękną pogodę i sądząc w swej bezmyślności, że to on ją zapewnił, przywołały go bezmyślne elity III RP, by został znowu kapitanem statku wchodzącego w burzę. Wtedy, nie mając wiele do roboty, mógł rządzić praktycznie jednoosobowo, siłami własnej, posłusznej mu partii, z niewielkimi tylko koncesjami dla PSL. Teraz zarządza gromadą partii i partyjek, z których każda chce coś dla

siebie ugrać, stawia opór, kołyszje łódką albo wręcz sabotuje jego pomysły.

Dlaczego Polacy dali Tuskowi drugą szansę? Po pierwsze, nie dali – dali szansę, z braku lepszej oferty, Trzeciej Drodze. Nie dlatego, że po ośmiu latach nagle poruszyła ich narracja o praworządności i za-grzało do boju osiem gwiazdek – gdyby tak było, wygrałaby PO. Decydującą rolę odegrali w tych wyborach Polacy, którym PiS nie miał już nic do zaoferowania, a oni chcieli czegoś nowego. Oczekiwanie równego podzielenia owoców sukcesu zostało spełnione, próby rozmnażania „500+” na dopłaty do obiadów w szpitalach i wszystkiego co popadnie stały się groteskowe, „pierwsza brygada” Kaczyńskiego zaczęła razić obciachem. Nowi wyborcy – nie-pamiętający rozczarowania rządami PO w 2015 r. – chcieli czegoś nowego.

Tusk zdezerterował z okrętu dryfującego spokojnie przy pięknej pogodzie. Teraz wrócił do roku 2024, pełnego wyzwań, kryzysów i wymagającego strategicznych decyzji

Ale za oczywiste uważali, że to „nowe” nie będzie oznaczało rezygnacji z tego, co już osiągnięto. Przeciwnie: chcieli więcej! Po latach kompleksu niższości, ograniczonych ambicji, pokornego naśladownia „gonienia” Zachodu przysłała chęć, byśmy wreszcie poczuli się ważni, znaczący! Równi Zachodowi – który skądinąd w tym czasie zmarniał i stracił na atrakcyjności. Symbolem tych oczekiwań stało się CPK. Wizerunek obozu lewicowo-liberalnego jako siły bogacącej, modernizującej Polskę i przybliżającej ją do Zachodu raz jeszcze zadziałał i pozwolił w nim właśnie szukać spełnienia tych oczekiwań.

CZEKAJĄ NA PRZESILENIE

Im większe oczekiwania, tym większy zawód. Bo okazało się, że w nowej sytuacji „obóz demokratyczny” i sam Tusk osobiście nie są już liderami rozwoju, ale jego hamulcowymi. To, co po rządach

PiS wydawało się tak pewne, że nawet o tym nie myślano, już po kilku miesiącach Tuskwego bałaganu okazuje się zagrożone. Zablokowane CPK, terminale portowe i inne inwestycje infrastrukturalne, topniejące w oczach zyski spółek Skarbu Państwa, szybujące koszty życia – szok! Formacja będąca symbolem rozwoju i sam Tusk, z rozwojem kojarzony, okazują się, wręcz przeciwnie, antyrozwojowi! Zamiast realizować oczekiwania, próbując je ośmieszyć jako „gigantomanię”, zamiast rozwijać, zwijają, zamiast bogacić – zubażają! I w zamian oferują coraz bardziej żenujące igrzyska „rozliczania PiS”, które większości Polaków wiszą (oni już przecież PiS rozliczyli – w październiku 2015 r.), a jeśli na nich wpływają, to odwrotnie, niż liberalna lewica sądziła, naruszając poczucie bezpieczeństwa.

Twierdząc, że to coś więcej niż kolejny obrót politycznej karuzeli. Tusk oddaje swej politycznej bazie, lewicowo-liberalnej post-Magdalence, tę samą przysługę, którą postkomunizmowi oddał Miller. Widocznie trzeba było jego rządów, by do Polaków dotarło, jak bardzo jałowe i niezdatne są lewicowo-liberalne „elity”, które za nim stoja.

Jedyne, co jeszcze przemawia na ich rzecz, to to, że nie bardzo jest je czym zastąpić. PiS zmarnował szansę, którą miał, by wykreować elity nowe. Próbował tego, ale jedyną ścieżką kariery, którą proponował, była kariera partyjna, a przez partię – państwowa. Ogarnięty obsesją kontroli, ludzi o wrażliwości, umownie mówiąc, prawicowej, ale niezależnych od „pierwszej brygady”, tępił bardziej zjadale niż lewicowo-liberalne salony. Często naiwnie sądził, że sobie państwowymi pieniędzmi je kupi. Wszystko – w spółki Skarbu Państwa, w instytucje państwowe. Gdy je utracił, został z mniejszym stanem posiadania niż przed 2015 r.

Jeśli elity okazują się niezdatne, by obsłużyć oczekiwania społeczeństwa, a powszechnie uznawanej alternatywy dla nich nie stworzono, to – jak uczy historia – władza ładuje na ulicy i do jej podniesienia mogą wystarczyć chwilowy skok popularności, chwilowe trafienie w nastroje. Tak jak na razie jawi się Polska po Tusku Drugim. I sądzę, że na przesilenie nie trzeba będzie długo czekać – jaką przybierze formę, trudno jeszcze przewidywać, ale kryzys jest pewny.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Moda na eurosceptycyzm



FOTOWOJECIEŃ OLKUSZNIK/EI/ST NEWS



Jan Fiedorczuk

Nieoczekiwanie to eurosceptycyzm okazał się najbardziej chodliwym towarem ostatniej kampanii wyborczej. Nie licząc Lewicy, Unię Europejską krytykują już właściwie wszystkie partie w Polsce

Czas w UE skończyć z dwulicowością, że wymaga się więcej od naszych własnych producentów, biznesów, niż wymaga się od tych z zewnątrz. To jest na głowie postawione. To nie może tak być – mówił Szymon Hołownia podczas konwencji Trzeciej Drogi. Kto jeszcze niedawno mógłby przypuszczać, że lider współrządzącej, prounijnej formacji będzie przestrzegał przed „dwulicowością” Brukseli? Wszak do tej pory taki język był zarezerwowany dla PiS i Konfederacji. „Działania Unii Europejskiej mogą być postrzegane jako hipokryzja” – to już z kolei słowa Rafała Trzaskowskiego, który komentował wyśrubowane proekologiczne propozycje UE. – Zielony Łądek jest zbyt dużym obciążeniem, zwiększa

koszty, obniża konkurencyjność polskiego rolnictwa – to natomiast nie cytaty z Beaty Szydło czy Jana Krzysztofa Ardanowskiego, tylko Czesława Siekierskiego, ministra rolnictwa w rządzie Donalda Tuska oraz polityka PSL.

Stosunek do Unii Europejskiej był przez całe lata jedną z fundamentalnych osi podziału politycznego w III RP. Ujmując rzecz skrótowo, prawica krytykowała Brukselę, podczas gdy liberałowie i lewica tkwili w niemym zachwycie nad wszelkimi poczynaniami UE. Wszystko jednak wskazuje na to, że ten prosty podział, który jeszcze był w mocy podczas poprzednich wyborów do europarlamentu w 2019 r., zaczął słabnąć. Dzisiaj może poza Lewicą, która jest najbardziej euroentuzjastyczną formacją, wszystkie partie mniej lub bardziej krytykują Brukselę.

UŚMIECHNIĘTY NACJONALIZM

Najdobitniej o tej zmianie świadczy sprawa paktu migracyjnego oraz obrony wschodniej granicy Polski. Donald Tusk, który nie tak dawno jeszcze krytykował budowę zapory na granicy oraz twierdził, że PiS nigdy żadnego muru nie zbuduje, teraz sam grzeje się w świetle fleszy, paradygując na tle żołnierzy i za nic mając sobie odgłosy oburzenia dochodzące ze strony Agnieszki Holland i proimigran-

kich aktywistów. Zresztą nie tylko dotyczy się to premiera – wreszcie niemal cała PO głosowała w Sejmie przeciwko budowie zapory na granicy. Jeszcze niedawno, gdy to Jarosław Kaczyński mówił o konieczności obrony granicy, liberalny mainstream krzyczał o nacjonalizmie, szowinizmie i ksenofobii. Teraz takim samym nacjonalistą okazuje się być Donald Tusk, który nie dość, że kontynuuje politykę PiS, to jeszcze wzmacnia kontrole na granicy, o czym świadczą dane proimigranckiej organizacji Grupa Granica, z których wynika, że za rządów KO znacząco wzrosła liczba osób poszkodowanych na granicy.

Pochodną tego „uśmiechniętego nacjonalizmu” jest sytuacja, w której to politycy KO zaczęli już całkiem otwarcie krytykować Unię Europejską za pakt migracyjny, w którego zapisach zawarto klauzulę „obowiązkowej solidarności”. – Nie przyjmujemy żadnego imigranta – zapewniał Donald Tusk, co właściwie jest wprost powtórzeniem słów czołowych polityków PiS. Sprawa paktu nabrała już zupełnie kuriozalnego obrotu, gdy to Tusk ramieniem w ramieniu z Viktorom Orbánem, węgierskim pariasem UE, zaczął krytykować proimigrancką strategię Brukseli.

Również politycy Trzeciej Drogi nie szczędzą cierpkich słów pod adresem paktu migracyjnego. Nawet Wojciech Ko-

nieczny z Lewicy, ugrupowania radykalnie prounijnego, przyznał, że pakt migracyjny „jest czymś, na co się nie powinniśmy godzić”.

Sam premier stara się niejako łączyć ogień z wodą i zapewnia, że mimo iż pakt jest złym rozwiązaniem, to Polska ma być jego beneficjentem. – Prawda jest taka, że nie ma racji pan premier, że nie będziemy objęci systemem przymusowej relokacji. To wszystko wejdzie w życie w połowie 2026 r. i my nie wiemy, czy wtedy presja migracyjna będzie większa z Morza Śródziemnego czy Azji, przez Rosję i Białoruś – ripostował Marek Sawicki z koalicyjnego PSL.

Z kolei Paweł Zalewski z Polski 2050 zapewniał, że jego formacja krytykuje pakt „z powodów humanitarnych”. – Jesteśmy przeciwni zmuszaniu ludzi do tego, żeby mieszkali nie tam, gdzie chcą. To jest oczywiste – mówił poseł jeszcze w ubiegłym roku.

O ile jednak europosłowie Koalicji Obywatelskiej, PSL, Prawa i Sprawiedliwości oraz Suwerennej Polski faktycznie głosowali przeciwko wszystkim rozporządzeniom paktu, o tyle już jedyna europoseł, którą dysponuje Polska 2050, radykalnie prounijna Róża Thun, poparła kontrowersyjne przepisy. Polityk pozostaje dla formacji Hołowni sporym kłopotem, gdyż nie sposób udawać umiarkowanego ugrupowania, które nie zgadza się na „szaleństwa Brukseli”, gdy „jedynką” na liście została obdarowana zwolenniczka likwidacji zasady weta, przyjęcia euro oraz de facto budowy unijnego państwa.

Ostatecznie przecież Polska 2050 nigdy nie była eurosceptycznym ugrupowaniem, a sam Hołownia jeszcze niedawno opowiadał się za pogłębioną integracją, rezygnacją z narodowej waluty oraz stworzeniem „wspólnoty obronnej” UE. Trzecia Droga, podobnie zresztą jak Koalicja Obywatelska, jest o tyle eurosceptyczna, o ile wymaga tego obecna kampania wyborcza. Teraz, gdy kampania się skończyła, formacja zapewne powróci na ścieżki, którymi kroczy Róża Thun.

WSZYSCY PRZECIW ZIELONEMU ŁADOWI

W ostatnich tygodniach kampanii eurosceptyczne nastroje stały się jeszcze bardziej widoczne przy okazji Zielonego Ładu oraz protestów rolników, które prze-

toczyły się przez kraj. W odpowiedzi na manifestację Donald Tusk przyznawał, że flagowy projekt UE uderza w interesy rolników, a z kolei minister Izabela Leszczyna oceniała, że Zielony Ład został już przez rząd „w znacznej mierze powstrzymany”. W Polsce w ostatnich tygodniach kampanii do PE rozpętała się licytacja o to, kto skuteczniej przeciwstawi się planom UE. Oczywiście premier Tusk po tylu latach spędzonych w samym sercu unijnego mainstreamu – najpierw jako dwukrotny szef Rady Europejskiej, a następnie jako przewodniczący Europejskiej Partii Ludowej – powinien być mało wiarygodny jako krytyk Zielonego Ładu. Wszak w 2019 r., jako ktoś tak szanowany i wpływowy w UE, mógł przecież wesprzeć starania ówczesnego rządu (fakt, że mało skuteczne) o zablokowanie ekorewolucji. Czemu tego nie zrobił? Od początku popierał ekorewolucję czy jednak jego legendarna pozycja w UE jest w dużej mierze właśnie tylko legendą?

Nieco inaczej wygląda natomiast stanowisko Trzeciej Drogi. „Musi to na Rusi” – stwierdził Szymon Hołownia, komentując nakazowy charakter unijnego projektu. Najwyraźniej zielona rewolucja, którą polityk głosił kilka lat temu podczas powoływania do życia Polski 2050, została zawieszona na czas kampanii. Zwłaszcza że lider Polski 2050 chwalił się, iż to jego ugrupowanie zatrzyma nowy podatek od aut spalinowych. Summa summarum ciężko ocenić, jaki jest właściwie stosunek Trzeciej Drogi do Zielonego Ładu. Hołownia twierdzi, że chce tego projektu „na naszych zasadach”, ludowcy deklarują, że idą do europarlamentu, aby go „naprawić”, a sam szef PSL, Władysław Kosiniak-Kamysz, przekonywał niedawno rolników, że zostali „oszukani” przez PiS w tej sprawie. – Zdradzili polską wieś, oszukali. Po to idziemy do Europy, żeby to zmienić, żeby Europa była wystarczalna w produkcji żywności – mówił wicepremier o konkurentach z PiS. Jak zapewniał, Zielony Ład w „najgorszych elementach dotyczących rolnictwa zostanie przekreślony”.

Trudno się zresztą dziwić ludowcom, że w tym przypadku atakują Prawo i Sprawiedliwość, gdyż faktycznie wolta, której w ostatnich miesiącach dokonali Mateusz Morawiecki z Jarosławem Kaczyńskim, jest nieprawdopodobna. Oto politycy,

którzy zaaprobowali Zielony Ład, teraz są głównymi krytykami tychże rozwiązań. To cudowne przeobrażenie dotyczy zresztą nie tylko ekorewolucji, lecz także wszelkich centralistycznych zmian, które Zjednoczona Prawica ochoczo aprobowwała, aby teraz, tuż przed wyborami do europarlamentu, stać się ich głównym krytykiem. Bo któraż to partia w Polsce odpowiada za wybór Ursuli von der Leyen na szefową KE, akceptację Zielonego Ładu, wspólny dług UE, mechanizm warunkowości i dalszą integrację Unii? Główny problem z kampanią PiS polegał na tym, że formacja Kaczyńskiego po ośmiu latach prowadzenia polityki radykalnie prounijnej jest w krytyce UE całkowicie niewiarygodna.

EUROSCEPTYCZYM KONCESJONOWANY

Zauważmy na koniec pewną ciekawą zależność. O ile faktycznie obserwujemy wzmożenie eurosceptycznej retoryki, o tyle w praktyce w ostatnich miesiącach de facto zanikł nurt eurosceptyzmu realnego. Co prawda, do wyborów startowały komitety niosące hasła polexitu, jednak mowa tutaj o marginalnych przedsięwzięciach Stanisława Żółtka oraz Janusza Korwin-Mikkego. Taką eurosceptyczną partią nie jest już chyba nawet Konfederacja, która z formacji głoszącej polexit stała się partią de facto broniącą status quo – przeciwną dalszej integracji, ale nie mającą pomysłu, jak cofnąć dotychczasową centralizację UE. Co prawda, Grzegorz Braun, tworzący jeden z trzech filarów ugrupowania, nadal nie gryzie się w język w sprawie polexitu, jednak wydaje się on już dość mocno zmarginalizowany. Główny przekaz partii przedstawił kilka tygodni temu Krzysztof Bosak, który pytany o polexit odparł: „Respektujemy wolę Polaków, która sprowadza się do tego, że jesteśmy państwem członkowskim”. Polityk zapewniał, że dopóki nie zmieni się nastawienie społeczeństwa, dopóty Konfederacja nie będzie dążyć do polexitu. – Chcemy bić się, walczyć w instytucjach unijnych o korzystny kształt regulacji, które tam są kształtowane dla Polski – dodawał.

Obserwujemy zatem arcyparadoksalną sytuację. Przy ewidentnym wzroście nastrojów eurosceptycznych, i to na tyle silnym, że nawet partie liberalne mu ulegają, w Polsce zniknął eurosceptycyzm autentyczny.

Marsz lunatyków, czyli wsparcie dla separatystów

Posiedzenie Sejmu, 26 kwietnia 2024 r.

FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER



Andrzej Krzystyniak

To, co dzieje się dziś na Śląsku, jest jakby lustrzanym odbiciem działań, które miały miejsce w hiszpańskiej Katalonii. Uznanie przez Hiszpanię języka katalońskiego w ciągu kilku lat doprowadziło region na skraj konfliktu, którego podłożem jest próba oderwania regionu od reszty kraju

Prezzydent RP Andrzej Duda zawetował ustawę o uznaniu gwary śląskiej za język regionalny. Zrobił to, co ogłosił zaraz po uchwaleniu ustawy przez Senat, konsekwentnie trzymając się postanowienia o wecie mimo olbrzymich nacisków wielu środowisk (głównie liberalno-lewicowych, lecz nie tylko), próbujących wymusić na prezydencie podpisanie ustawy. Niekończące się odezwy ze strony naukowców, samorządowców, po-

lityków, aktorów, listy podpisywane przez ludzi różnych środowisk usilnie skłaniały prezydenta do podpisania ustawy, która miała być „jedynym ratunkiem przed zanikiem” języka śląskiego.

Pomijając prawdziwe motywy działania większości sygnatariuszy tego typu apeli, ktoś, kto pierwszy raz zetknął się z argumentacją zastosowaną przez inicjatorów uznania „śląskiej godki” za język, mógł uwierzyć, że chodzi tak naprawdę o „pielegnowanie śląskiej tradycji” lub że ustawa pomoże chronić niezwykle cenne śląskie dziedzictwo kulturowe. O tym, że to tylko puste słowa, a w rzeczywistości cele są inne, świadczyć może nerwowa reakcja Szczepana Twardocha zabiegającego o podpis prezydenta pod ustawą. Zapowiedział on: „Do tematu wrócimy w następnej kadencji, a niewiele wskazuje, aby PiS mógł wystawić kandydata mogącego pokonać kandydata KO. Są tego braku podpisu również dobre strony – mam nadzieję, że po wyborach prezydenckich powrócimy z projektem już nie tylko nadania językowi śląskiemu statusu języka regionalnego, a raczej od razu ze statusem mniejszości etnicznej”. Zapew-

ne tak się stanie i tak najpewniej stałoby się również, gdyby prezydent Andrzej Duda ustawę podpisał.

WCIAŻ TEN SAM CHWYT

Oczywiście politycy i aktywiści domagający się podpisania wspomnianej ustawy uzurpowali sobie prawo przemawiania w imieniu wszystkich Ślązaków, nadto często powołując się na liczbę ponad 500 tys. osób deklarujących w ostatnim spisie powszechnym narodowość śląską. To ta grupa miała rzekomo domagać się uznania śląskiej gwary za język regionalny. „Regionalizm”, ochrona „kultowego dziedzictwa” to nic nowego, przedstawiciele organizacji głoszących odrębność Śląska od Polski od dawna posługują się tymi hasłami. Dziwić może, że od kilkunastu lat ten sam chwyt ciągle działa, ponadto jest skuteczny nawet wobec osób, których nigdy byśmy nie podejrzewali o taką naiwność czy też brak elementarnej przenikliwości. Nietrudno przecież zorientować się w prawdziwych celach organizacji takich jak Ruch Autonomii Śląska i jego akolitów.

Zresztą ci wcale ich nie ukrywają. Jedynie przy tego typu okazjach jak

ustawa o języku śląskim unikają pokazywania swoich sztandarowych punktów programu, takich jak: oskarżanie Polski o eksterminację Ślązaków w „polskich obozach koncentracyjnych” po 1945 r., rabunek i zmarnowanie bogactw Śląska, negowanie powstań śląskich, kwestionowanie przynależności kulturowej Śląska do Polski oraz generalnie pogardę do wszystkiego, co polskie, co zresztą nie trudno dostrzec i dzisiaj. Kiedy w 2011 r. Ruch Autonomii Śląska odnotował swój niezwykle polityczny sukces w wyborach do Sejmiku Województwa Śląskiego, zaproszony do współzrządzenia województwem śląskim przez Platformę Obywatelską, wówczas na Śląsku było, w porównaniu z dzisiejszą sytuacją, wiele głosów przestrzegających przed szkodliwym dla państwa polskiego sojuszem i dopuszczeniem do władzy autonomistów. Z kolei – podobnie jak dziś – wśród najważniejszych śląskich działaczy wojewódzkich PO można było usłyszeć jedynie głosy lekceważenia dla ostrzeżeń, że RAŚ nie jest organizacją, której celem jest jedynie „pielęgnowanie śląskich tradycji”, „regionalizmu” czy dbałość o historię regionu, lecz separatyzm. Zwolennicy sojuszu z RAŚ, nawet jeśli dostrzegali niebezpieczeństwo destrukcyjnych dla państwa działań, wierzyli bądź też chcieli w to wierzyć, że „najlepszym sposobem na neutralizację separatystycznych zapędów RAŚ” będzie... zaproszenie ich do współzrządzenia województwem. Dodajmy, że RAŚ był wówczas otwarcie i mocno wspierany przez lokalne media, zwłaszcza „Dziennik Zachodni” należący wówczas do niemieckiego koncernu prasowego.

Z ZAMKNIĘTYMI OCZAMI

Trudno zdiagnozować, co sprawiło, że do dziś spora rzesza osób zachowuje się bezkrytycznie wobec postulatów autonomistów (co było bardzo widoczne przy okazji wspomnianych apeli do prezydenta o podpisanie ustawy). Często mimo różnych próśb i sensownej argumentacji mówiącej o szkodliwości tego typu działań. Przypomina to grupę lunatyków, którzy brną jak zahipnotyzowani w określonym, wskazanym przez kogoś kierunku, wbrew wszelkiej logice i argumentacji. Podczas dyskusji poprzedzającej głosowanie nad ustawą w Sejmie RP bystry i zorientowa-

ny w śląskich realiach obserwator mógł wyłowić kilka ciekawostek. Na przykład gdy jeden z posłów popierających projekt powoływał się na słowa nieżyjącego już śląskiego aktywisty Dariusza Dyrdy, zwolennika uznania „śląskiej godki” za język regionalny, który zasłynął z wydawania gazety o nazwie „Slunski Cajtung”. Można w niej było poczytać m.in. o tym, jak to we wrześniu 1939 r. Ślązacy radośnie witali Wehrmacht, czy o tym, że śląskimi Żołnierzami Niezłomnymi byli członkowie nazistowskiej organizacji podziemnej Werwolf.

Nieco później, na tym samym posiedzeniu, poseł Lewicy Monika Rosa, sprawozdawczyni projektu, apelowała do przeciwników ustawy, by „przestali straszyć niemieckim zagrożeniem”, gdyż jej zdaniem jest ono wymaginowane. Jednym z argumentów, którym straszeni są przez autonomistów – lecz nie tylko przez nich – politycy i przeciwnicy spełniania kolejnych żądań „regionalistów”, jest rzekome rozłóżczenie i obrażenie się Ślązaków na Polskę. Każda odmowa i brak spójności mają być dla Ślązaków powodem do odczuwania przez nich odrzucenia przez Polskę i powstania wrogości czy też zapiekłości w walce o swoje prawa. Oczywiście wszystkim winne jest państwo polskie, które nie chce spełnić tego, czego chcą autonomiści, jak również „paranoiczny polski nacjonalizm”, rzecz jasna niczym nieuzasadniony, którym rzekomo kierują się „wrogowie śląskości”.

STRACH PRAWICY

Czy strach przed zakwalifikowaniem jako „paranoicznego polskiego nacjonalisty” zmusił i zmusza nadal do milczenia w tej sprawie polityków Zjednoczonej Prawicy ze Śląska? Brak osoby, która publicznie wypowiedziałaby jedno zdanie w sprawie uznania języka śląskiego czy wyraziła poparcie dla postawy prezydenta Andrzeja Dudy, jest w formacji mającej na sztandarach polskość co najmniej dziwny. To nic innego jak oddanie pola wstydliwemu walkowerem. Ciche poparcie dla autonomistów. Szkoda, że na zajęcie stanowiska nie zdobył się żaden ze śląskich polityków, radnych wojewódzkich czy może uczestników słynnej wycieczki pociągiem do Kancelarii Prezydenta w 2019 r., kiedy to kilkaset osób ze Śląska, na czele z ówczesnym wojewodą

Jarosławem Wierczorkiem, wraz ze świtą urzędników oraz marszałkiem Jakubem Chełstowskim (wówczas jeszcze z PiS), pojechało złożyć wizytę prezydentowi Andrzejowi Dudzie. Pod pretekstem rocznicy pierwszego powstania śląskiego, lecz głównie dla pamiątkowego zdjęcia z głową państwa.

Jednak śląski dzień próżności w Warszawie minął, „pociąg do Śląska” odjechał. Postawę śląskich polityków prawnicy trafnie skomentował w mediach społecznościowych jednym słowem śląski działacz opozycji z lat 80., uczestnik protestów i strajków studenckich Przemysław Miśkiewicz: „Wstyd!”. Nie sposób się nie zgodzić z tym stwierdzeniem.

Odwagi nie brakło sygnatariuszom listu wspierającego zamiar zawetowania ustawy przez Andrzeja Dudę. List podpisało kilkudziesięciu dziennikarzy, publicystów, apelujących do prezydenta o zatrzymanie tego pierwszego punktu marszu autonomistów ku separatyzmowi. Oczywiście brak wśród sygnatariuszy osoby ze Śląska.

Dodajmy, że to, co dzieje się dziś na Śląsku, jest jakby lustrzanym odbiciem działań, które miały miejsce w hiszpańskiej Katalonii. Uznanie przez Hiszpanię języka katalońskiego w ciągu kilku lat doprowadziło region na skraj konfliktu, którego podłożem jest próba oderwania regionu od reszty kraju. Co ciekawe, ruchy separatystyczne nie stanowią problemu we francuskiej części Katalonii, jak również w Kraju Basków, gdzie państwo francuskie nie miało i nie ma zamiaru chronić „regionalnego bogactwa językowego” poprzez uznanie języków regionalnych, co naturalną koleją rzeczy generuje separatyzm. Podobnie sprawa wygląda również we Francji, na Korsyce, gdzie w 2023 r. miejscowy sąd zabronił używania języka korsykańskiego w miejscowych urzędach.

Prezydent Andrzej Duda, wetując ustawę, słusznie uzasadniał szkodliwość jej oddziaływania na państwo polskie. Zwolennicy uznania gwary śląskiej za język nie chcą widzieć żadnych zagrożeń dla spójności państwa, unikają dyskusji o sytuacji w Katalonii, mogącej być przestrożą dla Polski. Na szczęście prezydent RP zachował trzeźwość osądu sytuacji i w tym duchu podjął decyzję.

Z jednej strony obserwuję, jak trudno kobiety zachęcić do pokazywania siebie, do traktowania siebie na równi z mężczyznami. A z drugiej wiem, że to tylko kwestia samoświadomości i wiary w siebie. Kobiety w USA są jak z innej rzeczywistości. Mam na to mnóstwo przykładów” – w ten sposób Leonowicz opowiadała o różnicach między Polkami a Amerykankami w wywiadzie udzielonym „Gazecie Wyborczej”. Rozmowa ukazała się przy okazji rekrutacji do kolejnej edycji Leadership Academy for Poland, której absolwentką jest Leonowicz. Z ambasadorem USA w Polsce znają się od wielu lat, choć on do 2022 r. pozostawał w drugim małżeństwie.

Dziś Olga Leonowicz występuje w mediach jako „partnerka ambasadora” i chętnie bierze udział w jego dyplomatycznej aktywności, a także podejmuje samodzielnie liczne inicjatywy. „Olga Leonowicz jest dyrektorem generalnym warszawskiej firmy konsultingowej specjalizującej się w kontaktach międzynarodowych. Wraz z ambasadorem USA w Polsce Markiem Brzezinskim przyczynia się do rozwoju programów Ambasady USA na rzecz równości płci, wzmacniania pozycji kobiet i zdrowia psychicznego, koncentrujących się na młodym pokoleniu” – czytamy na profilu Leonowicz w serwisie LinkedIn.

„EKSPERTKA DO SPRAW KOBIET”

W 2013 r. otworzyła w Warszawie popularną kawiarnię Kubek w Kubek. Studiowała stosunki międzynarodowe w Wyższej Szkole Biznesu i Administracji, a także ukończyła studia podyplomowe na SWPS. Dziś pozycjonuje się jako ekspertka do spraw kobiet. Co ciekawe, o Polkach wypowiada się dość krytycznie. „W ambasadzie organizujemy wiele spotkań. Za każdym razem witamy z Markiem wszystkich gości w drzwiach, chcemy ich poznać. Jest potężna różnica między tym, jak witają się Polki, a jak Amerykanki” – zaznacza. Leonowicz wyjaśnia, że powitanie Polek charakteryzuje „duża niepewność, takie poczucie, jakby były tutaj przypadkiem albo jakimś fartem”. Partnerka Brzezinskiego poucza je, jak powinny się zachowywać. „Zamiast wyprostowane, pewne siebie wejść, ucisnąć mocno dłoń, powiedzieć »Dzień dobry, nazywam się Maria Kowalska, pracuję na Uniwersytecie Warszawskim«, są ciche, nieśmiałe, mają

lekki uścisk dłoni, często nie przedstawiają się z imienia i nazwiska” – wytyka. Następnie Leonowicz mówi o wadach. „Słabą stroną jest z jednej strony niska samoocena, niewielkie przekonanie, że na coś zasłużyłyśmy, że jest to dla nas dostępne tak jak dla innych. A z drugiej – nikłe doświadczenie w wystąpieniach publicznych” – przekonuje.

Kontynuując swoje rozważania na łamach „Wyborczej”, opowiada o pewnej gali biznesowej, podczas której „wyróżnione zostały wspaniałe kobiety, mające

bogate doświadczenie i niesamowite sukcesy w najróżniejszych dziedzinach”. „Jednak gdy wchodziły na scenę i musiały zabrać głos, brakowało im tchu. A zatem to, co o sobie myślimy, przekłada się też na to, w jaki sposób się komunikujemy, jak mówimy o swoich dokonaniach i jak jesteśmy postrzegane. Koło się zamyka” – podkreśla Leonowicz. Jej zdaniem taka postawa Polek to efekt uwarunkowań historycznych. „Wojny, potem komunizmu i tego, że nie byliśmy wychowywani do takiego samodzielnego, swobodnego my-



Ambasadorowa



Zuzanna
Dąbrowska-Pieczynska

Zna celebrytów, polityków i sędziowskich aktywistów. Polki poucza, jakimi powinny być. Olga Leonowicz, życiowa partnerka ambasadora USA Marka Brzezinskiego, sama przyznaje, że nie ma ochoty stać w cieniu

FOT. WOJCIECH OLSZAK/FEST NEWS

ślenia. Byliśmy wciskani w dosyć ciasne ramy” – uważa.

Ukochana ambasadora USA krytykuje też polską edukację publiczną. „Nadal nie wspiera samodzielnego myślenia, kwestionowania zastanego stanu rzeczy, wygłaszania własnych poglądów. Nauka cały czas jest dosyć schematyczna, często nieprzystająca do czasów, w których żyjemy, a uczniowie nie nabywają umiejętności przyszłości: kreatywności i krytycznego myślenia czy innowacyjności” – zarzuca Olga Leonowicz. Nadziei upatruje w Unii Europejskiej, która „stara się regulować udział kobiet w biznesie, by miejsca pracy sprzyjały równości, by reprezentacja kobiet była zapewniona, ale te zmiany muszą się dokonywać na znacznie wcześniejszym etapie – w domach, szkołach”.

Trudno nie odnieść wrażenia, że Leonowicz patrzy na Polki z góry – jako ta, która ma prawdziwy, bo związany ze szczytami władzy w USA, mandat do pouczenia. „W Polsce przede wszystkim boimy się porażek; jest to dla nas coś, czego się wstydzimy, co ukrywamy [...] W Ameryce jest prawdą powszechnie uznawaną, że porażki są konieczne do tego, żeby się uczyć, rozwijać i odnosić sukcesy” – zauważa. Wyjaśnia, że to jej wybór, aby nie stać z boku, ale być „partnerką angażującą się”. Mówiąc w imieniu swoim i Marka Brzezinskiego, podkreśla, że agenda, którą promują, jest kreowana przez nich samych. „[...] w Polsce jesteśmy w dosyć niezwykłym momencie, jeśli chodzi o prawa kobiet, równouprawnienie, ale też o różnorodność, ten temat zaczyna być coraz częściej dostrzegany. Mamy zmianę społeczną, którą bardzo chcę wspierać” – stwierdza Olga Leonowicz, nawiązując zapewne do zmian związanych z wyborami parlamentarnymi (finansowanie in vitro z budżetu państwa, pigułka „dzień po” bez recepty itp.).

BLISKIE RELACJE

Od pewnego czasu Brzezinski i Leonowicz chętnie lansują się w lifestyle'owych mediach. Pierwszego wspólnego wywiadu udzielili magazynowi „Viva!”, w którym opowiedzieli historię swojej miłości. „Zakochani poznali się ponad 20 lat temu, ale wtedy ich relacja nie przetrwała próby odległości. Mimo to nigdy o sobie nie zapomnieli. Spotkali się ponownie,

po 20 latach przerwy, i od tamtej pory są nierozłączni” – informuje gazeta. „Znamy się już długo, od ponad 20 lat, odkąd jako studentka trzeciego roku stosunków międzynarodowych wyjechałam do Waszyngtonu na praktykę w ambasadzie RP. Odbywało się tam przyjęcie pożegnalne Jana Nowaka-Jeziorańskiego, który po latach wracał z emigracji do Polski, a ja zostałam poproszona o pomoc przy organizacji tego wydarzenia. W jego trakcie podszedł do mnie mężczyzna i zaczęliśmy rozmawiać. To była miła rozmowa. Nieświadoma, kim jest, opowiadałam, co tutaj robię i skąd się tutaj wzięłam. Zupełnie nie kojarzyłam, że to był Mark Brzezinski. Dopiero następnego dnia uświadomili mi to pracownicy ambasady. Po dwóch dniach Mark skontaktował się ze mną i zaprosił na spacer po Waszyngtonie” – wspomina Leonowicz. „Gdy wróciłam już do Warszawy, w Zamku Ujazdowskim była wystawa rzeźb mamy Marka i tam się też spotkałyśmy. A profesor Brzeziński również przyjechał do Warszawy i zatrzymał się w Bristolu. Wiedziałam, że bardzo lubi krówki. Zostawiłam mu więc w recepcji paczkę tych słodczy. Zadzwonił, żeby podziękować i porozmawiać. Zostawił także list. Niestety, nasza relacja z Markiem nie przetrwała próby odległości. Każde z nas poszło swoją drogą, ale przez lata wiedziało, co robi to drugie [...] Po powrocie ze Stanów cały czas mieszkaliśmy w Warszawie. Gdy Mark przyjechał do Warszawy i spotkaliśmy się pierwszy raz po 20 latach, stwierdziliśmy, że chemia nadal trwa, a życie tak się potoczyło, że teraz możemy być razem” – ujawniła partnerka Brzezinskiego. Z mediów można się dowiedzieć, że ich kontakt był bardzo nikły – aż do grudnia 2021 r., gdy Brzezinski przyleciał do Polski, by objąć funkcję ambasadora USA. Leonowicz złożyła mu wtedy gratulacje i gdy się spotkali, okazało się, że dawne uczucie nie wygasło.

Sam ambasador bardzo chwali sobie życie z tak aktywną kobietą i podkreśla, że nigdy nie chciał ukrywać związku. – Wielokrotnie bywałem z Olgą na różnych ważnych wydarzeniach, które z uwagą śledziła opinia publiczna, jak choćby bal TVN czy bal zorganizowany przez oddział żołnierzy piechoty morskiej. Przy wielu innych okazjach też byliśmy razem – nigdy Olgi nie ukrywałem – zapewnił. – Nigdy relacje

polsko-amerykańskie nie były tak bliskie jak teraz, a Olga pomaga mi zadbać o ich naturalność. Poza tym prywatnie często się śmiejemy, dobrze się ze sobą czujemy, a poważne rozmowy, które często toczyliśmy, są zawsze konstruktywne – wskazuje Mark Brzezinski.

Nie bez znaczenia są kontakty, które Leonowicz wypracowała już wcześniej. Chętnie pokazuje się u boku gwiazd ze stołecznej śmietanki celebrycko-biznesowej oraz osób kojarzonych ze stacją TVN – to m.in. Martyna Wojciechowska, wraz z którą partnerka ambasadora angażuje się w akcję dotyczącą zdrowia psychicznego dzieci, czy reporterka „Faktów” Katarzyna Kolenda-Zaleska. Leonowicz zna się z redaktorkami pism lifestyle'owych. Choć nie złożyła nigdzie jasnej deklaracji politycznej, to wystarczy kilka klików w sieci, aby stwierdzić, w której formacji lokuje swoje sympatie. 15 października, czyli w dniu wyborów parlamentarnych, opublikowała na swoim Instagramie wiele mówiący wpis: „Już nie mogę się doczekać jutrzejszego poranka, gdy będzie można wstać z lekkością”.

W styczniu Leonowicz i Brzezinski pojawili się na Balu Demokracji (obok m.in. znanego z niechęci do PiS aktora Michała Żebrowskiego), który – jak relacjonowała na Instagramie – „był okazją do uczczenia zaangażowania społecznego w wyborach parlamentarnych 2023”. Olga Leonowicz udostępniła z tej imprezy wspólne zdjęcie z Sylwią Gregorczyk-Abram, adwokatem i działaczką inicjatywy Wolne Sądy. Określiła ją mianem „prawdziwej siłaczki, nieustraszonej w obronie praworządności w Polsce, a przy tym niezwykle empatycznej osoby, która wspiera ludzi jak mało kto”. Generalnie Leonowicz bardzo lubi się z sędziowskimi aktywistami. Jedną z fotografii na jej Instagramie to wspólne zdjęcie z mecenasem Michałem Wawrykiewiczem, współzałożycielem Wolnych Sądów, kandydatem z list PO do Parlamentu Europejskiego. „Społeczeństwo obywatelskie, praworządność, demokracja. Z Wolnymi Sądami będziemy mieć to wszystko. Sylwia, Paulina, Maria, Michał – dziękuję za Waszą odwagę, determinację i ciężką pracę w walce o praworządną Polskę! Spotkanie z Wami napawa nadzieją!” – ekscytuje się Leonowicz, oznaczając we wpisie wiceminister sprawiedliwości Marię Ejchart.

Kredytowe pokolenia



Łukasz Zboralski

Młodzi Polacy chcą żyć na wysokim poziomie. Jednak na zakupy i wyjazdy pieniądze pożyczają. Czy dlatego, że nie wierzą już, iż dorobią się tak jak ich rodzice? Czy może chcą mieć to wszystko szybciej?



FOT. ADRIAN STOK

Sezon urlopowy właśnie się rozkręca. Za chwilę media społecznościowe zapełnią fotografie. Te coraz częściej są widokami z zagranicznych wojaży. Powodów jest kilka. Po pierwsze, Polska nigdy nie była najtańszym krajem do organizowania wypoczynku. Po drugie, istnieje presja otoczenia – zwłaszcza wśród młodych ludzi, na dorobku. Ich rówieśnicy, współpracownicy latają na piękne plaże, więc i oni pragną przeżyć niezapomniane chwile. Po trzecie, Polacy stają się coraz bardziej zamożni i mogą pozwolić sobie na większe wydatki, także podczas wakacji. Czy naprawdę jednak wszyscy mogą?

LUKSUS TU I TERAZ

W maju Bank of America opublikował raport dotyczący planów wakacyjnych

mieszkańców. Jak wynika z dokumentu cytowanego przez CNBC, częściej od innych tego lata zamierza podróżować pokolenie Z, czyli ludzie urodzeni w latach 1997–2012. Pokolenie, które planuje podróżować częściej niż inni, zamierza sfinansować swoje wojaże z pożyczonych pieniędzy. Z badania firmy Bankrate wynika, że najmłodszy chce sfinansować swój wypoczynek kartami kredytowymi, które później będą spłacać. Taki zamiar wyraziło aż 42 proc. badanych.

Podobne wyniki przyniosło badanie firmy PMG, która ankietowała ludzi w Stanach Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Indiach, Niemczech i Chinach. Okazało się, że większość pokolenia Z oraz większość ankietowanych millennialów (urodzeni w latach 1980–1995) chce wydać na wakacje najwięcej. Znacznie więcej niż pokolenia ich rodziców.

Starsze pokolenia tym podejściem są zmartwione. „Nie chcę mówić ludziom, że nie mogą się dobrze bawić, ale martwię się o zaciąganie długów na uznanio- we zakupy, takie jak wakacje, zwłaszcza przy rekordowo wysokich saldach i oprocentowaniu kart kredytowych” – pisze w raporcie cytowanym przez CNBC Ted Rossman, starszy analityk w Bankrate.

Wydaje się, że i w Polsce ludzie młodzi chcą żyć lepiej i finansować to z pieniędzy, których jeszcze nie zarobili. Jak wskazują analizy Krajowego Rejestru Długów, zadłużenie konsumentów z kategorii wiekowej do 35. roku życia sięga obecnie 5,4 mld zł i obciąża ponad pół miliona rodaków. Średnio w tym wieku jedna osoba zadłużona jest na 9,7 tys. zł.

Nowa generacja wyróżnia się na tle innych „chęcią posiadania dóbr luksusowych niezależnie od realnych możliwości

finansowych”. Jak czytamy w analizie KFD: „Podejście »muszę mieć tu i teraz« powoduje, że wielu konsumentów pod wpływem chwili decyduje się na zakupy ratalne lub skorzystanie z usługi BNPL (kup teraz, zapłać później), czyli coraz popularniejszych odroczonych płatności. Kosztowne wakacje, weekendowe wycieczki, drogie usługi związane z dbaniem o wygląd czy najnowszy sprzęt elektroniczny są obiektem pożądania młodych, ale ich dochody nie są w stanie pokryć tych wydatków. Sięgają więc po finansowanie z zewnątrz”.

To oczywiście ma czasem przykre konsekwencje. Bo część dłużników nie jest w stanie zwrócić pieniędzy na zachcianki, którym uległa. Kiedy kontaktuje się z nimi firma windykacyjna, są w szoku.

„Negocjatorzy firm windykacyjnych często słyszą od takich dłużników, że kupili coś na raty pod wpływem impulsu czy chwilowej mody i nie zastanawiali się, z czego uregulują zobowiązanie. Przykładowo latem są to rowery i hulajnogi, które służą tylko w sezonie, ale spłacać je trzeba rok lub dłużej” – wskazuje w analizie KFD Jakub Kostecki, prezes firmy windykacyjnej Kaczmarek Inkasso.

„Zakup ratalny, nawet gdy jest to tylko drobny sprzęt RTV, zawsze oznacza podpisanie umowy kredytowej z bankiem. Mimo że odbywa się w sklepie, stroną umowy jest instytucja finansowa. Wiele osób nie jest tego świadomych i są one zaskoczone, gdy negocjator mówi im, że dzwoni w imieniu banku. Z naszego doświadczenia wynika też, że osoby z młodszej grupy wiekowej często zmieniają numer telefonu, aby uniknąć odpowiedzialności za długi” – opowiada.

Ostatecznie odpowiedzialność i tak ich dosięga. Jak wskazywała „Rzeczpospolita”, firmy windykacyjne zajmują ich najnowsze iPhone’y, konsole i nierzadko kosztujące wiele tysięcy złotych hulajnogi elektryczne. „Ponad połowę długu młodych, to jest 2,9 mld zł, stanowią zaległości wobec funduszy sekurytyzacyjnych” – czytamy na stronie KFD.

Reszta największych długów młodszych pokoleń to niezapłacone alimenty – 784 mln zł – czy nieuregulowane rachunki za telefon, telewizję i Internet – 212 mln zł. Rekordzistą jest 33-latek

z województwa mazowieckiego, który ma do zapłaty 24,8 mln zł.

INNI MAJĄ, A JA NIE

Millennials wpadają w Polsce w pułapkę zadłużenia trochę z innych powodów. Są może i mniej naiwni niż młodsze od nich „Zetki”, ale nikt ich nie nauczył, że to nie zarobki i stan posiadania wyznaczają stan społeczny. Dlatego często ulegają presji otoczenia.

Konsumenci urodzeni w latach 1980–1995 nie chcą odstawać od znanych, sąsiadów czy rodziny. Jeśli ci się bogacą i zaczynają kupować autonomiczne odkurzacze czy wspaniałe auta, to millennials chcą im dorównać. Nabywają przedmioty czy kupują egzotyczne wakacje, którymi mogą się pochwalić w Internecie, ale wszystko to robią na kredyt. Ta grupa Polaków ma relatywnie duże zaległości w spłaceniu kart kredytowych. To

Zadłużenie osób mających mniej niż 35 lat sięga obecnie w Polsce 5,4 mld zł. Średnio Polak w tym wieku ma dług w wysokości 9,7 tys. zł

po nie często sięgają, by na chwilę poczuć się bogatszymi, niż są w rzeczywistości. Gigantyczne oprocentowanie takich kart nakręca potem trudną do spłacenia spiralę długu.

Zestawienie KFD pokazuje, że poważnie zadłużeni są też starsi rodacy. Ci pomiędzy 36. a 65. rokiem życia muszą obecnie oddać funduszom sekurytyzacyjnym, które odkupiły ich długi, blisko 16 mld zł. Jednak te pokolenia rzadziej same nakręcają sobie finansowe kłopoty. One w nie wpadają z przyczyn losowych albo dlatego, że próbują zapewnić lepszy start w życie swoim dzieciom. „Nierzadko powodem zadłużenia bywa utrata pracy, choroba lub – w przypadku osób prowadzących działalność gospodarczą – problemy biznesowe. Dla rodaków pomiędzy 36. a 65. rokiem życia takie perturbacje są bardzo mocno odczuwalne, zwłaszcza w młodszej części tej grupy” – czytamy w analizie KFD. „Zwykle osoby te mają kredyt na mieszkanie i samochód oraz

ponoszą wysokie koszty związane z utrzymaniem rodziny i zapewnieniem jej odpowiedniego poziomu życia. Obejmują to wydatki na dzieci i ich edukację, a także inwestowanie we własny rozwój oraz podnoszenie kompetencji zawodowych. Z kolei bardziej dojrzała część tej grupy często jest obciążona finansowaniem studiów dzieci i ich utrzymaniem w tym czasie, a następnie pomaganiem w samodzielnianiu się”.

W tej grupie wiekowej blisko 14 mld zł to niezapłacone alimenty, a 2,5 mld zł – zaległości wobec instytucji finansowych. 700 mln zł stanowią długi wobec sądów, 300 mln zł – za jazdę bez biletu, a blisko 200 mln zł to zadłużenie czynszowe. Wśród starszych Polaków widać, że dużo bardziej zadłużeni są mężczyźni; kobiety mają do zapłacenia zaledwie jedną piątą wszystkich przeterminowanych zobowiązań.

Najbardziej finansowo odpowiedzialni są seniorzy. Osoby powyżej 65. roku mają najmniej długów – bo w sumie 4,3 mld zł zaległych płatności.

„Przyczyny trudności w spłacie zobowiązań przez emerytów to zazwyczaj nadmiernie wysoki kredyt lub zaciąganie kolejnych pożyczek, aby uregulować poprzednie, a także utrata dodatkowych źródeł dochodu. Pomagają sobie ratami, aby zapłacić za opał, leki oraz bieżące potrzeby. W przeciwieństwie do najmłodszej grupy wiekowej osoby starsze czują się zobowiązane do spłaty i wywiązania z zawartych umów. Negocjatorzy wyjaśniają im często podstawowe kwestie związane z finansami, ale w efekcie seniorzy są gotowi do współpracy, aby pozbyć się zadłużenia” – opisuje Kostecki.

Czy młodszy jest po prostu bardziej lekkomyślny niż pokolenia „baby boomers”? Być może. Jednak starsze pokolenia Polaków nie stawiały przed taką perspektywą, którą mają dziś młodszy – nawet rosnące płace nie są w stanie uczynić przyszłości mniej ciemną, gdy wynajęcie dwupokojowego mieszkania w Warszawie kosztuje dziś np. 4,6 tys. zł miesięcznie, a szansy na własne lokum nawet na kredyt praktycznie nie widać. Czy można się dziwić, że część młodych ludzi chce coś mieć lub przeżyć – choćby na kredyt?

Czterdzieści lat minęło jak jeden dzień, a ja ciągle się śmieję na to wspomnienie. Kto nie widział, niech żałuje. Lata 80., PRL-owska wakacyjna rozrywka na małym ekranie i oto skaut piwny Janusz Rewiński naucza z telewizora publikę: – Jednym z najbardziej wartościowych (tu wzdrygnął się wyraźnie) napoi chłodzących jest mleko. Mleko zawiera bardzo dużo wartościowych składników (tu mówi z coraz większym obrzydzeniem), takich jak (wzdycha ciężko) witaminy, sole mineralne i (znow wzdryga się)... i wapń oraz innych bardzo wartościowych składników odżywczych (zaczyna niemal łkać). Należy spożywać mleko (od tego miejsca już mamrocze) w bardzo dużych ilościach.

W tym momencie do pokazywanej szklanki mleka dołącza butelka innego napoju i monolog zdrowotny nabiera innej dynamiki. Wyraźnie ożywiony, szczęśliwy i pełen entuzjazmu Rewiński ogłasza: – Natomiast drugim napojem chłodzącym używanym latem jest piwo. Piwo jest bardzo szkodliwe dla zdrowia (uśmiecha się szeroko), zawiera w sobie bardzo dużo szkodliwych składników (otwiera butelkę) dla organizmu ludzkiego – takich jak nerki – bardzo jest szkodliwe również na wątrobę, źle wpływającym na korę mózgową, jest bardzo szkodliwym dla zdrowia napojem alkoholowym, który (wychyla duszkiem kufel piwa i puentuje przeszczerliwy) jest bardzo szkodliwy dla zdrowia!

KULTOWE KREACJE

Skautów piwnych, bandę dorosłych facetów w mundurkach z kufem jako logo, zaliczyć trzeba do kultowych kreacji Janusza Rewińskiego. Tak jak gangstera Stefana „Siarę” Siarzewskiego z komedii „Kiler” Juliusza Machulskiego, tak jak Miśka z Kabaretu Olgi Lipińskiej. Mam też za kultowe kreacje zapomniane, ot choćby Nowak z serialu „Tygrysy Europy”, w którym Rewiński perfekcyjnie wcielał się w nowobogackiego z III RP. A przecież pamiętam go też jako bosmana z „Podróży pana Kleksa”. I ciekawa rzecz – dowód na mistrzostwo komediowe Rewińskiego – zawsze miałem wrażenie, że nie wyobrażam sobie w tych rolach nikogo innego.

I myślę też, że zawsze to ci, którzy Rewińskiego do ról wybierali, zatrudniali w przedsięwzięciach filmowych czy telewizyjnych, korzystali na tym bardziej od

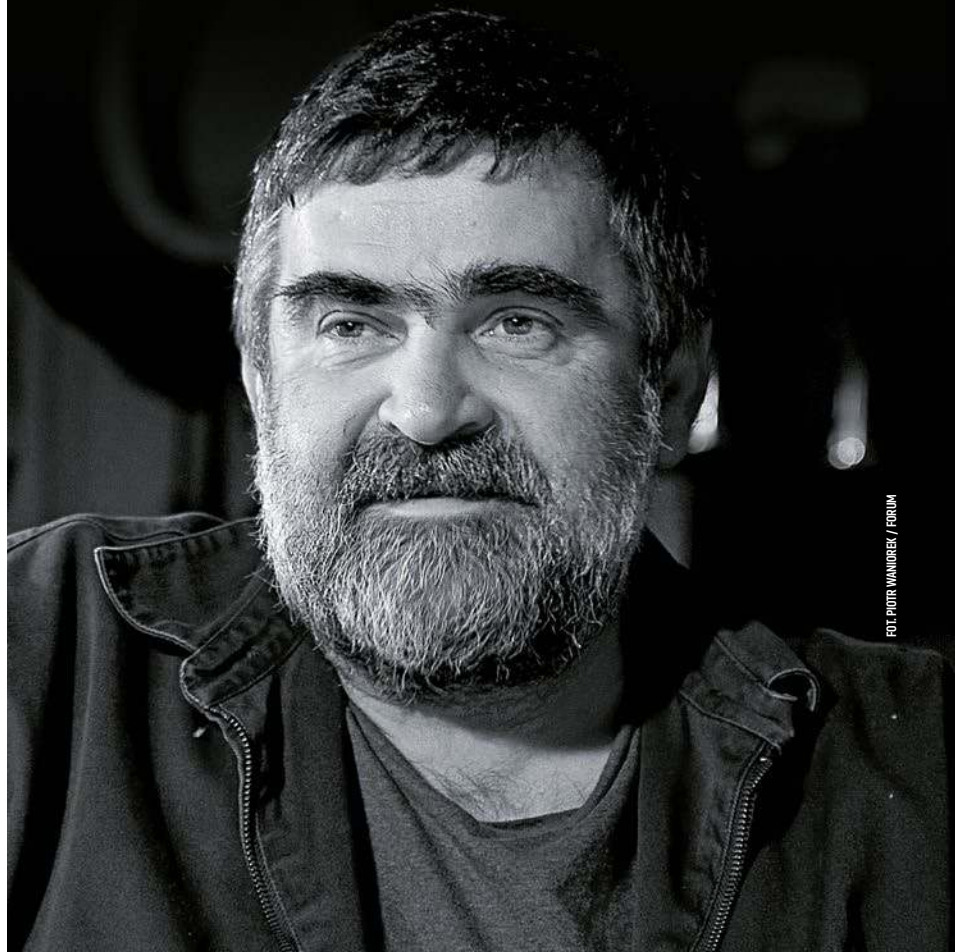
Siara

– i wszystko jasne



Piotr Gociek

Piwnica Pod Baranami, kabaret Tey, Kabaret Olgi Lipińskiej. Teatr, kino, telewizja, estrada. Piosenki, monologi, skecze, polityka. Do czegokolwiek się zabrał, to mu wychodziło. Odszedł Janusz Rewiński



FOT. PIOTR WANIOREK / FORUM

niego. Był nieocenioną wartością dodaną. On tymczasem bez owych reżyserów i producentów poradziłby sobie i tak, bo obdarzony był kapitalnym poczuciem humoru, niezaprzeczalną vis comica, świetnym zmysłem obserwacji, wielką inteligencją i gdyby całe życie musiał sobie stać na scenie w pojedynkę, też wypadłby doskonale. Taki artysta to skarb, bo nawet kiedy wpadnie do ciebie na chwilę, na epizodzik, na parę minut, to nie tylko przypomina o swoim istnieniu, lecz także wznosi wszystkich dookoła na wyższy poziom. I nawet gdy dookoła same gwiazdy, i tak w pamięci zostaje szczególnie mocno brodaty figlarz. Czy to diabeł grający w karty w „Igraszkach z diabłem”, jednym z najlepszych przedstawień w dziejach Teatru TVP, czy to cwany producent w „Superprodukcji”, niesłusznie zapomnianym cacku Machulskiego.

Jednocześnie był Rewiński jednym z nielicznych artystów, w których natychmiast zakochiwała się publiczność. Chwała tym, którzy potrafili tę potężną komiczną siłę wykorzystać i czerpać zadowolenie z tego, że jego popularność to także popularność projektu, którego jest częścią. Hańba tym, których zaślepiła zazdrość, a ego nie pozwalało na szczerze okłaskiwanie kolegi. Gdy w 1978 r. poznański kabaret Tey zmieniał siedzibę na nową, okazało się, że „zabrakło już jednak miejsca dla Janusza Rewińskiego. Laskowik uznał, że popularność kolegi zaczyna mu zagrażać, i pozbył się go z zespołu” – pisał Sławomir Koper w książce „Mistrzowie polskiego kabaretu”.

Pretekstem do pozbycia się Rewińskiego miała być jego rzekoma skłonność do komplikowania relacji z poznańską Estradą. W swoich wspomnieniach „Z kabaretu do sejmu i z powrotem” (1993) Rewiński opisuje, że zaczęło się od tego, że wspólnie z Laskowikiem nie zgodzili się na zagranie dodatkowego, nieplanowanego wcześniej występu. A gdy urażona dyrekcja zaczęła się odgrywać, Laskowik zrzucił całą odpowiedzialność na kolegę. „Zwolnienie dyscyplinarne otrzymałem dwa tygodnie później. Było tam napisane, że ciężko naruszyłem obowiązek pracy” – wspominał Rewiński. Umawiał się z Laskowikiem, że będą dalej razem działać poza Estradą. „Potem się dowiedziałem, że na postępowaniu Laskowika zaważyło to, iż wyrażając lojalność wobec

dyrektora, otrzymał od niego obietnicę, że kabaret dostanie piękną salę w centrum miasta”.

POLSKA PARTIA PRZYJACIÓŁ PIWA

Powiedzmy jednak także, że Laskowik miał nosa do talentów. Miejsce Rewińskiego w kabarecie Tey zajął Bohdan Smoleń – i tak powstał jeden z najpopularniejszych polskich duetów kabaretowych, czyli Laskowik-Smoleń. Jednak warto zauważyć, że gdy po latach Smoleń występował z Rewińskim, tworzyli parę równie dobrą, jeśli nie lepszą. Laskowik miał tendencję do nadmiernego poniżania swego partnera i nigdy nie było wiadomo, gdzie jest granica między tym, co się dzieje na scenie, a tym, co poza nią. Chemia między Rewińskim a Smoleniem była niezaprzeczalna, relacja zaś była bardziej partnerska. Na przełomie PRL i III RP drogi wszystkich głównych teyowców przecięły się ponownie, gdy ruszyli na zagraniczne tournée dla Polonii.

Nowe czasy po 1989 r. to rozmaite strategie wspomnianych artystów. Laskowik odwraca się od kariery i zostaje listonoszem. Smoleń zarabia krocie na rosnącej popularności, ale wydaje pieniądze szybko, niż zarabia. Janusz Rewiński idzie w politykę i zakłada Polską Partię Przyjaciół Piwa (zaczęło się od telewizyjnych skeczów o skautach piwnych, potem było stowarzyszenie o takiej właśnie nazwie, aż wreszcie partia). Historia PPPP była krótka i burzliwa: szybki rozpad na frakcje i bardzo różne dalsze wybory polityczne 16 posłów, których wprowadziła do Sejmu w roku 1991. Wspomnijmy, że prócz Rewińskiego były w tym towarzystwie tak różne osoby jak Krzysztof Ibisz, Leszek Bubel czy Jerzy Dziewulski.

TRIUMFALNY POWRÓT

Rewińskiemu udało się sztuka rzadka – po wycieczce do krainy polityki zdołał wrócić do świata kabaretu, i był to powrót triumfalny. Lata 90. to czas jego rosnącej popularności, kolejne propozycje filmowe, występy w reklamach, wreszcie autorские programy telewizyjne. Satyryczny dwugłos „Ale płama”, który Rewiński prowadził w TVN wraz z Krzysztofem Piaseckim, to praprzodek wszystkich późniejszych „Szkieł kontaktowych” czy „W tyle wizji”, tyle że o klasę zabawniejszy. Krótko trwał żywot programu „Słara

w kuluarach” – opowieści Rewińskiego o kulisach prac Sejmu irytowały zarówno polityków, jak i władze TVP, więc program z telewizyjnej Jedynki wyleciał szybko.

Rewiński – który to już raz? – musiał otworzyć kolejny etap życia, ale na szczęście, jak zawsze, na własnych warunkach. Pisywał felietony dla tygodnika „Sieci”, czasem udzielał wywiadów, ale przede wszystkim odwrócił się do świata rivalryi plecami i zajął spokojnym wiejskim życiem rolnika i hodowcy. „Wraz z upływem czasu czuję coraz mniejszą potrzebę kontaktu z ludźmi, znajomymi i nieznanymi. Nie szukam nowych znajomości, chyba jestem już samotnikiem. Bardzo dobrze się czuję sam. W tym wieku na szczęście nie potrzebuję kontaktu z rodziną. Moi synowie mnie nie widzą miesiącami. Im to nie jest potrzebne i ja im nie jestem potrzebny” – opowiadał rok temu w programie „Szykowne rozmowy” na kanale YouTube GadowskiTV.

Rewiński był jednym z nielicznych artystów, w których natychmiast zakochiwała się publiczność

Pozostał osobny i ocalał godność – w odróżnieniu od Zenona Laskowika, który niedawno zasłynął żenującym występem kabaretowym na festiwalu w Opolu. Rewiński w odróżnieniu od przeważającej większości artystów po 1989 r. nie obawiał się iść pod prąd instrukcji z „Gazety Wyborczej”, mówił, co myślał, a nie to, czego od niego oczekiwano. Ilu spośród jego dawnych filmowych i kabaretowych partnerów odważyło się powiedzieć, że woli Lecha Kaczyńskiego od Donalda Tuska? Albo przestrzegać przed Putinem, zanim było to jeszcze modne (w czasach, gdy salony wielbiły PO za politykę resetu z Rosją)?

Zmarł 1 czerwca, niespełna trzy miesiące przed 75. urodzinami. Pognał gdzieś dalej. Może nuci pod nosem jedną ze swych piosenek: „Mój stary star w pogodę gna i w deszcz / Na pewno wart, by o nim śpiewać też”. A może nie. Niczego nie musiał. I niczego nie musi.

Na pierwszym planie praca
Władysława Hasiora „Czarny
krajobraz”, 1974 r., asamblaż

FOT. TOMASZ MARIYS/PGS

Dziwny jest ten świat (sztuki)



Piotr Bies

Odnoszę wrażenie, że Daniel Rycharski wylansowany został na artystę przede wszystkim dlatego, że jest gejem. Podobnie jak Biedroń jedynie z tego względu zrobił karierę w polityce

W sopockiej Państwowej Galerii Sztuki zakończyła się właśnie wystawa pt. „Mogę wam opowiedzieć o sobie”. Zestawienie twórczości dwóch artystów: Władysława Hasiora i Daniela Rycharskiego. Jak na twórczość Hasiora

przystało, mogliśmy podziwiać jego prace inspirowane m.in. polskim, ludowym katolicyzmem. Mam tę niewątpliwą przyjemność, że osobiście znałem Hasiora, uczestniczyłem w jego wykładach i wiele razy z nim rozmawiałem.

W prywatnej rozmowie przyznał mi Hasior, że był człowiekiem wierzącym. Jednak jego wiara nie była zbyt głębokiej, mistycznej natury. Wynikała ona bardziej z przywiązania do tradycji będącej istotną częścią kultury polskiej. Hasior zanurzony był w owej tradycji, jak ją nazywał, plebejskiej, która nigdy nie wykorzystywała religii (jakiegokolwiek) jako bezdusznej materii, czyli opowieści pozbawionej istotnego rdzenia ją konstytuującego. Duch bowiem, nawet w tej najprostszej wiejskiej sztuce, jest najważniejszy. Forma idzie za nim.

Hasior zaczerpnął szeroką dłońią z kultury ludowej, która w naszym kraju związana była – i chyba w dalszym ciągu jest – najsilniej z religijnością katolicką. Są to m.in. sztandary, inspirowane sztandarami (chorągwiemi) kościelnymi.

Bodaj najstarszym zachowanym sztandarem kościelnym, raczej chorągwią, czyli zdobionym materiałem zawieszonym na poziomej poprzeczce, jest sztandar procesyjny z 1470 r., namalowany na płótnie przez Niccolò di Liberatore, artystę włoskiego z Foligno.

Te Hasiorowe chorągwie nikogo w jego czasach nie oburzały, a nawet przeciwnie – były akceptowane przez tradycyjne, wiejskie społeczności w zasadzie bez zastrzeżeń. Uchodził bowiem Hasior za swego rodzaju nieszkodliwego dziwaka, artystę „oswojonego”, który sam „oswajał” w swojej sztuce, windując je na salony, elementy

wspomnianej sztuki plebejskiej. Sednem pracy Hasiora był szacunek do tradycji i do głowy mu nie przyszło (wiem, gdyż o tym dowiedziałem się od niego samego), żeby kogokolwiek sztuką swoją obrażać.

CO PRZYPISANO HASIOROWI

Otóż w zestawieniu prac Hasiora i Rycharskiego tkwi zasadniczy, fundamentalny błąd. Wynika on, jak sądzę, z niezrozumienia sztuki Hasiora, jego przesłania i delikatności w stosunku do źródła inspiracji. Pani kurator najzwyczajniej rozminęła się z prawdą, przypisując Hasiorowi cechy, których on nie posiadał i których stanowczo unikał. Rycharski natomiast w religii katolickiej widzi opresyjność w stosunku do świata żądającego bezwarunkowej wolności, opresyjność pozbawioną ducha prawdy. Kto przede wszystkim, a w tym przypadku jedynie, tę stronę dostrzega w religii, wierze i Kościele, niczego nie widzi, a tylko posiłkuje się własnymi, fałszywymi wyobrażeniami. Owszem, odniesienie Kościoła do homoseksualizmu było (już nie jest, a to dzięki Franciszkowi) krytyczne, ale w duchu współczucia i ojcowskiej troski. A jest przecież napisane, że „[...] mężczyźni współżyczący ze sobą [...] nie odziedziczą królestwa Bożego” 1 Kor 6, 9–10. I jeszcze jeden cytat za Biblią Tysiąclecia, AP 22, 19: „A jeśli ktoś odjął co ze słów księgi tego proroctwa, to Bóg odejmie jego dział w drzewie życia [...]”. Co Franciszek porobił, komentować nie będę. No i tyle. Jeśli się komuś nie podoła Kościół, to nie musi w nim przebywać.

Na polskiej wsi nikt nikogo ze względu na homoseksualizm nie prześladował ani dawniej, ani dziś. W mieście też był spokój i te preferencje w zasadzie nigdy nie były penalizowane (w przeciwieństwie do tak dziś szczytającego się tolerancją świata starego Zachodu). Polska słynęła pod tym względem z tolerancji, z wyjątkiem połowy lat 80. ubiegłego wieku, gdy homoseksualiści byli ścigani przez przedstawicieli tak tolerancyjnej dziś lewicy (akcja „Hiacynt”).

Ponadto Rycharski, w przeciwieństwie do Hasiora, pod względem formalnym nie wykazuje się zbyt wyobraźnią. Pomalowane jaskrawo maszyny rolnicze, niezbyt finezyjnie umieszczony cmentarny krzyż w łóżku czy wielkie kawały ułamanych pni przybite do wielkich krzyży. Ta ostatnia praca jest reminiscencją prostej korzenioplastyki (może tu tkwi jakaś

daleka asocjacja z Hasiorem, a mianowicie inspiracja ludową twórczością?), tyle że powiększoną do gigantycznych rozmiarów. Gdyby to sprowadzić do miary ludzkiej, nie byłoby w tym nic frapującego, a wręcz przeciwnie. Jakże często współcześni artyści posługują się skalą, każąc zwracać uwagę na rzeczy nieistotne?

ODZYSKANE INSTYTUCJE

Wracając do pani kurator Julity Dembowskiej. Napisała ona, rekomendując prace Rycharskiego, że porusza on „[...] tematy związane z wykluczeniem człowieka, z nieakceptowaniem jego odmienności, mówiącego o kryzysie dotychczasowych norm i pojęć moralnych, a także o konieczności zmian [...]”. Jak ma się to do wywiadu, który udzielił Rycharski Wirtualnej Polsce pt. „Katolik, gej artysta”?

„Zawsze bronię wsi i walczę ze stereotypami, które narosły wokół wsi, że jest zła, konserwatywna i homofoniczna. Może rządzący chcieliby, żebyśmy tak o niej myśleli, ale ona taka nie jest” („Viva!” 2021). Jest wręcz przeciwnie. Dziś to artyści o konserwatywnych poglądach na życie i twórczość są marginalizowani. Wspomnę tutaj kongres OEES Prolog w Krakowie (Teatr Słowackiego, 20 listopada 2023 r.), podczas którego prezes zarządu Alwernia Planet Magdalena Sroka powiedziała m.in.:

„Nie odzyskamy praworządności bez odzyskania [...] wszystkich instytucji kultury”. Otóż po 13 grudnia odzyskali te instytucje i mamy tego skutki. No i ja jednak odnoszę wrażenie, że Rycharski, przy całej miłośności swoich form i pomysłów, wylansowany został na artystę przede wszystkim dlatego, że jest gejem. Podobnie jak Biedroń jedynie z tego względu zrobił karierę w polityce. I teraz niech ktoś oskarży mnie o homofonię, a będzie to potwierdzeniem tego, co pięć zdań wyżej napisałem.

Wystawę w Sopocie warto było zobaczyć, ale tylko połowę, tę Hasiora, gdyż rozróżnienie formalne i intelektualne dzielące ją od prac Rycharskiego jest trudne do przekroczenia.

Na koniec przytoczę jeszcze słowa Witolda Lutosławskiego, które wygłosił podczas przerwanego wprowadzenia stanu wojennego Kongresu Kultury Polskiej: „Najwyższym celem sztuki jest piękno, tak jak najwyższym celem nauki jest prawda. Jednak tak jak w matematyce, astronomii i innych naukach można dopatrywać się swoistego piękna, tak w sztuce spotykamy się nieuchronnie z zagadnieniem prawdy [...]”. Jeśli artysta czuje więzi, jakie łączą go z jego potencjalnymi odbiorcami, zdaje sobie sprawę, że to, czego mają oni od niego prawo oczekiwać, to właśnie jego wewnętrzna prawda”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest rzeźbiarzem, rysownikiem, doktorem sztuk pięknych, ambasadorem Instytutu Felczaka.



Daniel Rycharski na tle swojej pracy „Dramat drzew”, 2024 r.

FOT. ADRIAN SOKOŁOWSKI/PGS



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Na samym dnie



★★★★★

**MINISERIA
„ERIC”
WIELKA BRYTANIA
2024**

wyst. Benedict
Cumberbatch, Ivan
Morris Howe, Gaby
Hoffman

Uwodzicielski łotr, w najlepszym przypadku arogancki geniusz – widownia przyzwyczaiła się już do pewnego typu ról, które wybiera Benedict Cumberbatch – Sherlock Holmes i smok Smaug w jednej osobie. Brytyjski miniserial „Eric” to okazja do stworzenia innej kreacji: bohatera, którego rodzinna tragedia zsyła na dno, między bezdomnych i narkomanów Nowego Jorku lat 80. XX stulecia. W tajemniczych okolicznościach znika jego dziewięcioletni syn, sypie się małżeństwo, policja zdaje się bezradna. Vincent wpada w spiralę samozniszczenia, aż pewnego dnia objawia mu się jedna z jego kreacji (Vincent jest lalkarzem): dwumetrowy pluszak

Eric, który może być kluczem do odnalezienia dziecka.

Miniserie Abi Morgan zbudowana jest wokół pomysłu, który dobrze znamy. Wspomnijmy film „Harvey” (1950), w którym Jamesowi Stewartowi towarzyszył niewidoczny dla innych wielki biały królik, sięgnijmy pamięcią do „Donniego Darko” czy nawet do niedawnej produkcji Netflixu „Happy!”, gdzie upadłemu policjantowi pomagał wymaginowany błękitny jednorożec. Żyjemy w czasach nadmiaru, każdy oryginalny kiedyś pomysł staje się dziś mało oryginalny, bo przerobiony i przetrawiony po wielokroć. W „Ericu” pluszak jest nie tylko kompanem, lecz także sumieniem i alter ego bohatera, a kreacja Erica Cumberbatcha jest fenomenalna (w obu

N przypadkach, bo podkłada też głos Ericowi). Tragedia jest okazją do przeegzaminowania własnych wyborów przeszłości: szczęśliwa rodzina była złudzeniem, za co odpowiada sam Vincent, skupiony na pracy i ślepy na osamotnienie własnego syna.

Przesłanie szlachetne – uczmy się kochać, żyjemy dla innych, nie dla siebie – zostaje jednak zepchnięte na drugi plan, bo Abi Morgan próbuje zmieścić w opowieści za dużo. „Eric” staje się więc jednocześnie opowieścią o rasizmie, homofobii, złych policjantach i politykach, korupcji i epidemii HIV. Sedno historii, dramat Vincenta, naraz przestają mieć znaczenie, bo trzeba wymierzyć sprawiedliwość widzialnemu światu zgodnie z wymogami współczesnych mód. I tak miniserie, która mogła być jednym z najciekawszych osiągnięć Netflixu, popada w przeciętność, nuży ogólną słusznością. Zostaje znakomity Cumberbatch – i tylko dla niego oglądać warto. ©©



NOWE SERIALE: „ZA ZASŁONĄ”

Imogen Salter (Elizabeth Moss), doświadczona agentka MI6, kontra Adilah El Idrissi (Yumna Marwan, która najprawdopodobniej jest wysłanniczką ISIS. A jeśli nie? Gra w kotka i myszkę rozgrywa się od Stambułu do Paryża i Londynu. Autorem sześcioczęściowej serii jest Steven Knight, wzięty brytyjski

scenarzysta, który potrafi wnieść się na wyżyny, ale tym razem grzęźnie w naśladowaniu „Killing Eve” oraz ostatnich thrillerów. ©©

Piotr Gociek

• miniserie „Za zasłoną” („The Veil”),
USA 2024

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- sezon 3 „Burmistrz Kingstown” („Mayor of Kingstown”),
USA 2024
- sezon 4 „The Boys”,
USA 2024
- miniserie dokumentalna „Ren Faire”,
USA 2024

sky

WTIME

prime video

max

Lista Wintona

KINO

Gdy Hitler, wbrew ustaleniom z Monachium, zajął Czechy, nie wszyscy wyspiarze przyjęli to z filozoficznym spokojem. Pewien makler z Londynu, zirytowany biernością rządu, przy wsparciu zorganizowanej ad hoc grupy ludzi dobrej woli uratował 669 żydowskich dzieci. Nie jest to pierwszy film sławiący Nicholasa Wintona. Dwadzieścia pięć lat temu Matěj Minář, przypominając zasługi angielskiego wolontariusza, skupił się na dramacie zamożnej rodziny, dla której emigracja była dopustem bożym. W „Jednym życiu” w centrum uwagi jest biedota. Elegancja „Wszystkich moich bliskich” ustąpiła zaś miejsca emocjom. Wintona, rzadko oddalającego się od biurka, sportretowano jako

człowieka czynu. W Pradze częstuje małych uchodźców czekoladą. Nieufność miejscowych przełamuje zaś, informując, że obaj jego dziadkowie byli Żydami (choć sam ma się za socjalistę). Na starość przypomina filmowego Schindlera. Gryzie go, że nie zdołał ocalić więcej ludzi. Mimochodem film dotyka drażliwej kwestii: podopieczni sir Nicholasa uratowali życie za cenę wynarodowienia. Stali się Brytyjczykami. W obliczu wojny na Ukrainie i w Strefie Gazy wypada zapytać: W czym los sierot z roku 1939 był gorszy niż sierot obecnych? Hopkins nadal w dobrej formie, ale mniemam, że rola skąpego cesarza Wespazjana była dla niego większym wyzwaniem. © ©

Wiesław Chełmiński



★★★★★
REŻ. JAMES HAVES
„JEDNO ŻYCIE”
(„ONE LIFE”)
WIELKA Brytania
2023

wyst. Anthony Hopkins, Johnny Flynn, Helena Bonham-Carter



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

KOCHAMY SIĘ

KINO

W cieniu rosyjskiej agresji Wschód i Zachód walczą o duszę Ukrainy. Europejskie tęsknoty Kijowa zderzają się z aksjomatem, wedle którego seksualna dowolność należy do praw człowieka. Film Nepytałuka ograża tę kolizję w stylu kojarzącym się z telewizyjnym sitcomem. Ukraińscy Kiepscy, nie widząc innego sposobu na wyjście z długów, zgłaszają akces do rządowego programu „Lekcje tolerancji”. Do ich mieszkania wprowadzi się wegetarianin i aktywista LGBTQ+ dzierżący w dłoniach mieniącą się kolorami tęczy kulę „jedności oraz wzajemnego zrozumienia”. Czy trzeba dodawać, że Wasyl mgiem wyleczy Najdiuków z antygejowskich fobii tudeż erotycznych zahamowań? Premiera filmu odbyła się w walentynki. U nas pojawił się w kinach w Międzynarodowy Dzień Seksu, rzekomo ustanowiony przez Unię Europejską. Komedii nie można traktować poważnie, lecz „Sługa narodu” też powstał dla śmiechu, więc bądźmy czujni. © ©



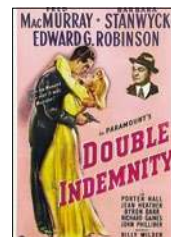
★★★★★
REŻ. ARKADIJ NEPYTAŁUK
„LEKcje TOLERANCJI”
(„UROKY TOLERANTNOSTI”)
UKRAJNA 2023

wyst. Olena Uzliuk, Oleksandr Jarema, Akmal Gurezow

ŻĄDZA PIENIĄDZA

prime video

Osiemdziesiąt lat temu amerykańscy cenzorzy zgrzeszyli brakiem czujności. Dopuszcili do premiery filmu, w którym pomocnikami diabła nie byli gangsterzy i lafiryndy ze społecznego marginesu. Tym razem zły zarzucił sieci na gospodynię domową z klasy średniej tudeż na doświadczonego agenta ubezpieczeniowego z Miasta Aniołów. Kusząc ich wizją pozamałżeńskich rozkoszy i stuśięcznego odszkodowania, sprawi, że uknują plan zbrodni doskonałej. Finał jest zarazem początkiem: Walter spowiada się do dyktafonu szefa i przyjaciela, którego biegiłość w demaskowaniu przestępców przywodzi na myśl młodszego o pokolenie porucznika Columbo. Scenarzysta Raymond Chandler dał koty z reżyserem, a efekt ich współpracy jest wzorcem z Sèvres kina noir. Ponoć fanom Netflixa „Podwójne ubezpieczenie” wydaje się filmem zbyt przegadany i teatralny. Wyrazy współczucia. **Wiesław Chełmiński**



★★★★★
REŻ. BILLY WILDER
„PODWÓJNE UBEZPIECZENIE”
(„DOUBLE INDEMNITY”)
USA 1944

wyst. Fred MacMurray, Barbara Stanwyck, Edward G. Robinson

GRA TYGODNIA: „PAPER MARIO: THE THOUSAND-YEAR DOOR”

Hit sprzed dwóch dekad powraca na Nintendo Switch. W odświeżonej oprawie audiowizualnej, z usprawnieniami w sterowaniu i poprawionym interfejsem, ale z niezmiennym trzonem rozgrywki. I dobrze to, i źle, bo można by to i owo uwspółcześnić,

ale i bez tego świetna gra pozostaje świetną grą. Niech nikogo nie zwiodą postacie z papieru, są one nakreślone sprawnie, a dialogi przepełnione dowcipem. Klasyczna historia z ratowaniem księżniczki Peach starcza na ok. 30 godzin. Na uwagę zasługuje



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

system walki. Turowy, ale wymagający wykonania określonych sekwencji na padzie. © © **Radosław Wojtas**
• Gatunek: akcji/przygodowa
• Platforma: Nintendo Switch
• Producent; wydawca PL: Nintendo; ConQuest

KRZYSZTOF
MASEŁ

MOJA PÓŁKA

Seismograf Kudyby

Wzalewającej nas powodzi książek pisanych nogą i opowiadających o dupie Maryni, w najlepszym razie nijakich, w najczęstszym – bezmyślnych i ewidentnie szkodliwych, takie tytuły jak „Z drugiej strony”, zbiór nowelistyki Wojciecha Kudyby, budzą zdumienie. Dowodzą one bowiem, że w naszej zdegenerowanej kulturowo rzeczywistości zdarzają się jeszcze autorzy, którzy traktują literaturę, swoje pisarstwo i czytelników serio. Niewykluczone, że im naprawdę na tym zależy.

Proza Wojciecha Kudyby przypomina seismograf reagujący na zmiany zachodzące w naszym życiu społecznym; te najważniejsze, a przede wszystkim najgroźniejsze, bo podważające najgłębszy sens tożsamości narodowej, obywatelskiej, a także religijnej. Ta ostatnia jest może najbardziej bolesna. I dlatego takie opowiadanie jak „Niech im świeci”, w satyryczny sposób konstatujące zanik religijności w zlaicyzowanej zbiorowości, bezpośrednio odnosi się do absolutnie fundamentalnych kwestii, przed którymi obecnie stajemy. Tu i teraz – w niezwykle istotnym momencie naszego rozwoju cywilizacyjnego. Bardzo znaczący jest z tego punktu widzenia tytuł tomu, w którym znalazło się to opowiadanie: „I co dalej?”.

Problematykę religijną pogłębia Kudyba w najnowszej z próz zaprezentowanych w wydanej przez PIW książce – „Kartkach z drugiej strony”. A że tematyka to ciekawa i rzadko podejmowana w literaturze współczesnej, tym większą uwagę warto jej poświęcić. Ale zagadnienia wiary nie stanowią dominanty twórczości, którą konfesyjną nazwać



FOT. WOJCIECH KUDYBA/FACEBOOK

niepodobna. Po prostu bohaterowie prozy Wojciecha Kudyby są często – jak powiada w posłowie prof. Maciej Urbanowski – „ludźmi wiary, a fabuły sięgają dyskretnie do nacechowanej religijnie symboliki”.

Na pewno nowelistyka twórcy „Z drugiej strony” – pisze dalej prof. Urbanowski – „bardzo ciekawie kontynuuje nurt realistyczny w naszej prozie, z charakterystycznym dlań elementem krytyczności, oryginalnymi komponentami humoru i poetyckości, ze znamieną dla tego pisarza refleksją nad zanikiem duchowości w naszym nowym wspaniałym świecie. Kudyba jest tego świata kronikarzem, portrecistą i diagnostą”.

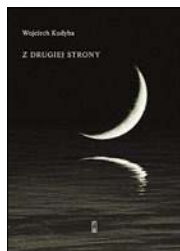
Prozaik śmiało sięga po tematy znane z gazet i telewizji. W 2018 r. np. tomem „Kamienica” odniósł się do głośnej sprawy „czyścicieli” domów pozbawiających lokatorów zajmowanych przez nich mieszkań. Kiedy indziej rozwinął literacko aferę Amber Gold, nie popadając przy tym, w zawsze grożącą w podobnych wypadkach, publicystyczność. Autor przedstawia bowiem przypadki ludzi, nad którymi się pochyla. Zawsze stając po stronie krzywdzonych, biednych, starych. A czułość i współczucie – tylko i aż.

Kto wie jednak, czy nie najciekawszą w całym zbiorze nowelistyki Kudyby jest jego naj-

wześniejsza proza, z 2015 r., dziś w kontekście wojny na Ukrainie nabierająca nowych znaczeń? W „Nazywam się Majdan”, nie stroniąc od groteski, narrator opowiadał: „Każdemu kokardkę pomarańczową na rękaw wpiąłem, każdy kusztyczka wychylić musiał, aby kraj nasz pokochał, co właśnie z kolan powstawał, grzbiet prostował po smucie długiej niewoli. Każdy też los ode mnie dostawał, by w chwili oznaczonej bohaterów naszych wierny portret mógł zachować – Szewczenki przezacnego naszego Andrija z autografem nawet, a także Bondarenki Bohdana, któremu nikt podskoczyć nie może, oraz Witalija Kliczki niezwyciężonego”.

Petro Majdan, tytułowa postać tej opowieści, pochodzi z rodziny, w której są pół Ukraińcy, ale i pół Rosjanie, a trafia się i pół-Niemiec, do tego wyznania mojżeszowego. Jest też, naturalnie, babcia pół-Polka, która będzie pisać listy do wnuczka, informując o sąsiadach, „że jeden do Moskwy uciekł, drugi do wojska poszedł i pod Mariupolem zginął, a trzeciemu syn się urodził. Bo los w miejscu nie stoi wcale, tylko się posuwa niby słońce po niebie raz smutne, drugi raz – rumiane”. Przykaże mu też, by „do Częstochowy jechać, przed ikoną Korolewny Niebieskiej się pokłonić, za ocalenie podziękować i o pomyślność kraju naszego prosić, który rosyjskie psy wojny bezkarnie szarpia”.

Walorem opowiadań Wojciecha Kudyby jest również język tego pisarstwa. Jego bohaterów poznajemy nie tylko poprzez ich perypetie życiowe, lecz także przez to, jak o nich opowiadają. A że forma wytrzymuje porównanie z treścią, finalny efekt jest znakomity. ©



★★★★★

WOJCIECH
KUDYBA
„Z DRUGIEJ
STRONY”
PIW,
WARSZAWA 2024



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Wolność albo śmierć

Rzadko zdarzają się książki tak trafnie łączące przeszłość z przyszłością. „Luna to surowa pani” jest powieścią wyrosłą z lekcji przeszłości, bo opisywany w niej bunt mieszkańców kolonii księżycowej przeciw Ziemi jest podobny do rewolucji amerykańskiej. A nowe społeczeństwo kolejnego nowego świata powstaje niczym Australia z wyrzutków i przestępców, lecz tym, co je stapia w jedność, jest wspólna walka o wolność (znowu lekcja amerykańska).

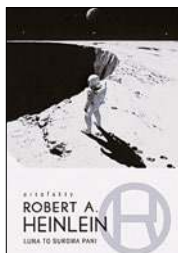
Jednocześnie bunt mieszkańców Luny, którzy chcą sami decydować o swoim losie (i podatkach), nie byłby możliwy bez sięgnięcia po nowatorskie metody i tu przechodzimy już do pomysłów Heinleina, które okazały się prorocze. Głównym sojusznikiem księżycowych rewolucjonistów okaże się superkomputer HOLMES IV zwany pieszczotliwie „Mikiem”, daleki przodek sztucznych inteligencji naszych i nadchodzących czasów. Oddano pod jego nadzór wszystko – od utylizacji śmieci, przez transport i komunikację, do zarządzania systemami podtrzymywania życia. Taki aliant to skarb.

A jak walczyć z agresywną i mającą cię w pogardzie metropolią w sytuacji, gdy Ziemianom brak skrupułów, mają za to potężne okręty wojenne, komando-

sów i bomby? Czas na kolejny mistrzowski koncept Heinleina. Aby skutecznie prowadzić wojnę przeciw całej planecie, wcale nie trzeba kosztownych systemów wojen gwiazdowych i uzbrojonych po zęby orbitalnych krążowników. Wystarczy wziąć kontener, którym dostarczano na Ziemię surowce, rozpedzić go i... grawitacja zrobi resztę. Taki pocisk wyrządzi więcej szkód niż najpotężniejsze bomby. I zaglądamy oto do wydanej współcześnie książki „Wojna w Kosmosie. Przewrót w geopolityce” Jacka Bartosia-

Nade wszystko zaś jest książka Heinleina świetnie napisaną opowieścią przygodową, pełną barwnych charakterów i zbudowaną na przekonaniu, że życie bez wolności to tylko wegetacja. Za wolność zaś płaci się krwią, każda rewolucja potrzebuje męczenników;

jeszcze bardziej przywódców, którzy nie tylko rozumieją mechanizmy rządzące polityką i gospodarką, lecz także potrafią we właściwej chwili usunąć się w cień. Darmowe lancze nie istnieją, historyczne szanse okazują się takimi tylko wówczas, gdy wiesz, jak je wykorzystać. Niepokojąco aktualne, prawda? ©©



★★★★★
ROBERT A. HEINLEIN
„LUNA TO SUROWA PANI”
MAG 2024

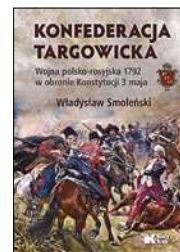
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Po raz pierwszy w jednym tomie słynna trylogia włoskiego postmodernisty: „Wicehrabia przepołowiony”, „Baron drzewołaz” i „Rycerz nieistniejący”. Pyszna zabawa tradycjami literackimi, triumf pisarskiej imaginacji.



ITALO CALVINO
„NASI PRZODKOWIE”
PIW

Nowy tom serii „Polskie dzieła historyczne”, po 120 latach nowe wydanie cennej pracy o wojnie polsko-rosyjskiej 1792 r. „w obronie Konstytucji 3 maja” – jak podkreślał autor. Edycja bogato ilustrowana.



WŁADYSŁAW SMOLEŃSKI
„KONFEDERACJA TARGOWICKA”
BIAŁY KRUK

Od owadów domowych do mieszkańców lasów – opowieść o fascynującym świecie polskiej przyrody. Dziektarz uczy, objaśnia, czasem bawi – tak się dzieje nie pisze. Tym bardziej potrzebna była taka książka.



DARIUSZ DZIEKTARZ
„ROZEJRZYJ SIĘ!”
POWERGRAPH

Czwarty tom monumentalnej „Historii Śródziemia” ułożonej z manuskryptów Tolkiena przez jego syna, Christophera. W tym esej „Ambarkanta”, czyli „Kształt świata”, i pierwsza wersja „Silmarillionu”.



J.R.R. TOLKIEN
KSZTAŁTOWANIE ŚRÓDZIEMIA”
ZYSK I S-KA

recenzuje Piotr Gociek

KOMIKS TYGODNIA:

„KRONIKI JEROZOLIMSKIE” Kto zna „Pjongjang”, „Shenzen” czy „Kroniki z młodości”, ten bez wahania sięgnie po nowe (trzęcie już) wydanie tej opowieści. Tym, którzy dzieł Delisle’a nie znają, wypada podpowiedzieć, że to wybitny twórca powieści graficznych, którego sława wykracza daleko poza rodzinną Kanadę. A „Kroniki jerozolimskie”, opo-



GUY DELISLE
„KRONIKI JEROZOLIMSKIE”
KULTURA GNIEWU
2024

wieść o życiu Żydów i Arabów w świętym mieście, nabierają dziś nowego znaczenia.

Piotr Gociek



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Co się nosi(ło) pod Tatrami

Pięć wystaw w ramach jednego przedsięwzięcia zatytułowanego „Lekcje z kolekcji. Ubiory ludowe w zbiorach Muzeum Tatrzańskiego” prezentuje różnorodność i bogactwo kolekcji ubioru ludowego, którą dysponuje Muzeum Tatrzańskie. W latach 2018–2023 ponad 80 elementów zabytkowej odzieży przeszło renowację, nastał czas, by pokazać jej efekty.

Trzy wystawy otwarto w maju. Na pierwszej z nich, udostępnionej w gmachu głównym muzeum, można oglądać najstarsze stroje, przede wszystkim z I połowy XIX w. Dwie kolejne ekspozycje pod wspólnym tytułem „Barwy Spisza” są do zobaczenia w filiach muzeum, dawnych wiejskich zagrodach. „Stworzą

możliwość zapoznania się ze spiskim ubiorem zarówno w jego wersji codziennej, jak i odświętnej” – czytamy.

Kolejne wernisaże w czerwcu. Na wystawie „W bliskości. Kosmos” „muzealny zbiór ludowej odzieży będzie przedmiotem refleksji”, z kolei „Pierwsze rzeczy” będą prezentacją pierwszych nabytków Muzeum Tatrzańskiego. ©



FOT. S. SZOSTAK/Muzeum Tatrzańskie

„Tryumf w czasie. Najstarsze ubiory z Podhala”

KIEDY? 18 maja–20 października 2024 r.

GDZIE? Gmach Główny Muzeum Tatrzańskiego, Zakopane

„Barwy Spisza”

KIEDY? 26 maja–29 września 2024 r.

GDZIE? Zagroda Korkoszków, filia Muzeum Tatrzańskiego, Czarna Góra, Zagóra 86

GDZIE? Zagroda Sołtysów, filia Muzeum Tatrzańskiego, Jurgów 215

„W bliskości. Kosmos”

KIEDY? 15 czerwca–15 września 2024 r.

GDZIE? Galeria Władysława Hasióra, Zakopane

„Pierwsze rzeczy”

KIEDY? 22 czerwca–17 listopada 2024 r.

GDZIE? Galeria Sztuki w willi Oksza, Zakopane



GRZEGORZ BRZÓZOWICZ

NA SŁUCH

Feminizm korzenny

W 1990 r. wkroczyła w glanach na scenę w Jarocinie i od tej pory jest jedną z najbardziej wyrazistych postaci polskiej piosenki. Jako dojrzała kobieta, po 10-letniej przerwie, wydała płytę z premierowym materiałem. Jedną z najlepszych w karierze.

„Vera to ja” – autorski projekt etniczny składający się ze szczęśliwej trzynastki utworów inspirowanych prawdziwą naturą kobiety, która czerpie siłę z ziemi, z wody i z księżycą – przeczytamy w notce prasowej. Nie byłoby niczego szczególnego w tym, że kolejna nasza wokalistka szuka inspiracji w muzyce ludowej. Tyle że podróż Renaty do źródeł nie polegała na wyszukiwaniu atrakcyjnych

brzmień, lecz odnalezieniu naturalnej istoty kobiecości.

Teksty, które powstały na kanwie przyśpiewek ludowych – oraz ich interpretacje – stanowią największą siłę tej płyty. Liderkę wspomagają pięknym białym śpiewem Daga Gregorowicz i Dana Vynnytska z zespołu polsko-ukraińskiego Dagadana. To płyta współczesna, a zarazem odkrywcza. Renata Przymek odnalazła swoje szczęście i wie, jak się nim dzielić (wspaniała pieśń „Córnioko”). Nie agituje, a po prostu stwierdza: „Zdecydowanie łatwiej było kobietom iść przez życie z wiedzą przekazywaną z pokolenia na pokolenie, w zgodzie z tym, że pewne rzeczy się po prostu dzieją”. ©



★★★★★
**RENATA PRZEMEK
FEAT. DAGADANA
„VERA TO JA”
AGORA**



★★★★★
**WŁODZIMIERZ
NAHORNY
„Z TAMTEJ STRONY
TĘCZY”
GAD**

Pionier rodzimego free jazzu skomponował na początku lat 70. muzykę do filmu Andrzeja J. Piotrowskiego. Liryczne tematy na orkiestrę, bossa novy z wokalizami Ewy Wanat, a także dźwiękowe dysonanse. Orkiestrą dyryguje Jan Ptaszyn Wróblewski.



★★★★★
**THE BLACK KEYS
„OHIO PLAYERS”
NONESUCH**

Zamiast chropowatego bluesa duet tym razem bawi się pop-funkowymi brzmieniami z lat 70. Pośrednio nawiązuje do dokonania zespołu Ohio Players pochodzącego z ich rodzimego stanu. Na prywatkę zaprosili Becka, Noela Gallaghery, rapera Juicy'ego oraz Leona Michaelsa.

Sygnalistka w Nowym Teatrze



FOT. MACIJA HUEBEL

Nowy Teatr przy ulicy Małalińskiego, Mokotów, Warszawa, Polska. Krzysztof Warlikowski ze swoim zespołem przygotował kolejną premierę o pełnym tytule: „Elizabeth Costello. Siedem wykładów i pięć bajek z morałem”. Dużą część kwietnia teatr codziennie proponował serię „rozbiegowych” pokazów, a potem spektakl gości tu i ówdzie na europejskich festiwalach i scenach koprodukujących. W Polsce kolejny set – na koniec września.

A więc to ciągle działa. Ile to już lat? Przy obecnej zapaści polskiego teatru w jego artystycznym wymiarze Warlikowski ze swoją uporczywą obecnością i dbaniem o wysoki poziom wyrasta na giganta, także dzięki mizernemu kontekstowi – co odnotowuję z ubolewaniem. Nazwisk teatralnych rozpoznawalnych na świecie mamy kilka, ale dziś tylko Nowy Teatr ze spektaklami szefa jest jedynym polskim zespołem z międzynarodowym oddechem, a do tego jest oczkiem w głowie warszawskiego magistratu. Pozycja Warlikowskiego jest więc od dawna ustalona. Nie ma się z kim spierać i ściagać, z sąsiedniego szczytu sygnały czasem daje tylko Krystian Lupa, a młodzi zarówno traktują ten teatr z lekceważeniem, jako rzecz dziś już nieco *passé*, jak i po kryjomu lub jawnie z niego zrzynają.

Mniejsza zresztą o relacje ze środowiskiem. Większość swoich starych spektakli Warlikowski wciąż trzyma na afiszu: wracają mniej więcej co miesiąc w naprzemiennym rytmie, a bilety zawsze schodzą na pniu. W przestronnej hali, w zbliżonych do siebie, ascetycznych scenografiach Małgorzaty Szcześniak gra śmietanka warszawskiego aktorstwa



Grzegorz Kondrasiuk

A więc to ciągle działa. Ile to już lat? Przy obecnej zapaści polskiego teatru w jego artystycznym wymiarze Warlikowski ze swoją uporczywą obecnością i dbaniem o wysoki poziom wyrasta na giganta, także dzięki mizernemu kontekstowi – co odnotowuję z ubolewaniem

i nierzadko celebrytyzmu. Bo Nowy Teatr to dziś po prostu pewien styl, skąpany w atmosferze łatwo uderzającej do głów, złożony z mokotowskiego aktywizmu, libertariańskiej swobody i dekadencji, do czego Warlikowski ze swoją ekipą dodaje mocny artystowski rys. Funduje wiernym stałą możliwość przebywania we własnym uniwersum, wewnątrz niekończącego się serialu teatralnego tworzonego z kilkugodzinnych, hipnotycznych seansów w wyśmienitych obsadach, z wielowarstwowymi, erudycyjnymi scenariuszami, stawiających prawdziwe wyzwanie dla intelektu. Jest więc nie tylko artystą, lecz także nauczycielem formującym umysły kolejnych pokoleń.

Po każdym odcinku tego serialu zadaje sobie pytanie o samo sedno tej nauki, w której nihilizm spiera się z poprawnością, równościową dydaktyką. Która strona tym

razem zwycięży? W „Costello”, pomimo reżyserskiego kluczenia i mylenia tropów, wygrała retoryka poprawnościowa. Nie mogło być inaczej ze względu na wybór głównej, tytułowej postaci, fikcyjnej pisarki i myślicielki – Elizabeth Costello. „Bądźcie jak Costello!” – prawią twórcy, zamykając narrację w programie spektaklu. Noblista Coetzee, pierwszorzędnny pisarz, powołał ją do życia jako swoje alter ego, powraca w różnych utworach, reprezentując żywioł absolutnej empatii wobec świata zwierzęcego, uosobienie ludzkich wyrzutów sumienia. Pisarka w podeszłym wieku wkracza na drogę aktywizmu. Wygłaszając wykłady w środowiskach akademickich, staje się wielką prowokatorką porównującą wprost cierpienie zwierząt hodowanych przez człowieka do Holocaustu. Od lat fragmenty z mów Costello są obecne w spektaklach Warlikowskiego, jawi się ona jako

prekursorka, sygnalistka jego idei. Dekady temu wzbudzała protesty i namiętne polemiki wokół tematów, które dziś znalazły się w agendach polityk i strategii oraz w nauce, gdzie stały się obowiązującym dogmatem zwanym posthumanizmem. Tym razem przekaz Costello został rozdany pomiędzy siedem aktorów, razem z multiplikacją postaci (Jadwiga Jankowska-Cieślak, Małgorzata Hajewska-Krzysztofik, Ewa Dałkowska, Maja Ostaszewska, Magdalena Cielecka, Maja Komorowska, najmocniejsza kobieca obsada tego sezonu) i jednego aktora (Andrzej Chyra). Należałoby w tym miejscu pisać i pisać o aktorstwie i płynnej, hipnotycznej reżyserii, wszechwładnej widowni przekonania twórców... Gatunek ludzki musi się przesunąć, zrobić miejsce, nadchodzi czas empatii – moralizuje reżyser. Podrasowane środkami teatralnymi fragmenty z Coetzeego, wzbogacone i o Franza Kafkę, i o „Fausta” Goethego, wprowadzają też kilka innych, ale przecież ciągle tych samych tematów. Jeden spektakl mieści w sobie kilka spektakli, o międzyludzkiej samotności (doskonała inscenizacja „Powolnego człowieka” z tercetem Andrzej Chyra-Mariusz Bonaszewski-Magdalena Cielecka), o przeczuciu apokalipsy, o odpowiedzialności artysty. Tak, to ciągle działa. ©©

NOWY TEATR W WARSZAWIE
„ELIZABETH COSTELLO. SIEDEM WYKŁADÓW I PIĘĆ BAJEK Z MORAŁEM”
REŻYSER: KRZYSZTOF WARLIKOWSKI
SCENARIUSZ NA PODSTAWIE M.IN. „ELIZABETH COSTELLO”, „POWOLNY CZŁOWIEK”, „GDY KOBIETA SIĘ STARZEJE”, „PRÓŻNOŚĆ”, „SZKLANA UBOJNIA” J.M. COETZEEGO
PREMIERA: 11 KWIETNIA 2024 R.



W piątek 14 czerwca, meczem gospodarzy turnieju – Niemców – ze Szkotami, rozpocznie się miesięczny festiwal piłki nożnej, mistrzostwa Europy. Do naszych zachodnich sąsiadów zjadą setki tysięcy ludzi z całego kontynentu, media w większości krajów Europy nie będą mówiły o niczym innym. Przed telewizorami zasiądą również widzowie z Azji, Ameryki Południowej i Afryki. Po raz ostatni na turnieju tej rangi zagrają najprawdopodobniej Cristiano Ronaldo, Robert Lewandowski czy Luka Modrić. Po raz pierwszy natomiast Unia Europejskich Związków Piłkarskich (UEFA) tak mocno zaangażuje w światopogląd setek milionów ludzi oglądających ów turniej. Wszystko w imię promocji ideologii LGBT itp.

Euro LGBT



Krystian Kratiuk

Mimo że wśród gwiazdorów futbolu nie ma homoseksualistów, a niemal wszyscy piłkarze przechwalają się w mediach społecznościowych kształtnymi figurami swoich kobiet, jedna z największych imprez piłkarskich na świecie odbędzie się pod znakiem tęczy flagi



FOT. ADRIEN STOCK

czech albo Francuzi grający w Wielkiej Brytanii.

Futbol i kibice mocno się od tego czasu zmienili, a UEFA i FIFA (światowa unia federacji) uznały, że to najpewniej zasługa ich kampanii, wobec czego zaczęto promować kolejne cele. O ile propagowanie pokoju, rozwoju lokalnej infrastruktury czy edukacji nigdy nie budziło kontrowersji, o tyle coraz bardziej nachalne kampanie rzekomo proekologiczne były już szeroko wyśmiewane przez piłkarskich fanów.

W tym roku będzie jeszcze inaczej. UEFA przyspieszyła względem poprzedniego turnieju (organizowanego w połowie państw Starego Kontynentu) i wraz z niemieckim rządem postanowiła wypromować wśród kibiców... homoseksualizm. Tak, tak, homoseksualizm, a nie „różnorodność”. Nikt rozsądny nie sądzi już chyba, że w wywieszaniu wszędzie tęczowych flag chodzi o promocję tolerancji. Tak jak w promocji ekologii nie chodziło o to, by ktoś jedynie tolerował ekologów, tak jak w piętnowaniu rasizmu nie chodziło o to, by każdy mógł różnorodnie wybrać, czy chce być rasistą czy nie, tak w promocji genderowej agendy nie chodzi wcale o promocję czegoś innego, jak tylko rozwiązłego trybu życia, dalekiego od znanych nam od wieków standardów cywilizacyjnych Europy.

NIEBINARNA KOLEJKĄ

I tak dowiedzieliśmy się od dumnych organizatorów – Niemców i UEFA – że Euro 2024 będzie „pierwszym tak wielkim wydarzeniem sportowym”, podczas którego „na każdym stadionie dostępne będą toalety dla wszystkich płci”. Wejść na stadion też będzie można nie tylko zwyczajną, lecz także „niebinarną” kolejką. Na stadionach pojawią się tęczowe transparenty, a podczas meczów promujące homoseksualizm materiały reklamowe. W strefach kibica i na stadionach pojawią się znaki informujące, że wszelkie formy dyskryminacji nie będą tolerowane, a kibice będą mieli wiele możliwości zgłaszania incydentów, aby można było „szybko i skutecznie się nimi zająć”.

Indoktrynacja obejmie jednak nie tylko kibiców, lecz także piłkarzy. Sędziowie zaproszeni na turniej przeszli bowiem szczegółowe kursy wyculające ich na „jakiegokolwiek przejawy obrazy” spo-

łeczności LGBT. Arbitrów pouczono, by reagowali natychmiast i „bardzo zdecydowanie”.

Niemcy byli szczególnie chętni do promocji LGBT podczas poprzednich europejskich turniejów. Kilka meczów Euro 2020 (rozegranych z powodu pandemii w 2021 r.) zorganizowanych zostało w Monachium. Burmistrz tego miasta poprosił UEFA o zezwolenie na tęczowe podświetlenie stadionu Allianz Arena podczas meczu Niemcy – Węgry. Celem spektaklu miał być protest przeciwko węgierskiej ustawie o ochronie dzieci, uważanej przez krytyków węgierskiego rządu za prawo dyskryminujące osoby spod znaku tęczy. Wtedy jednak UEFA odrzuciła jeszcze wniosek, odpisując, że „zgodnie ze swoim statutem jest organizacją neutralną politycznie i religijnie.

Sędziowie zaproszeni na turniej przeszli kursy wyculające ich „na przejawy obrazy” społeczności LGBT

Biorąc pod uwagę kontekst polityczny tej konkretnej prośby – przesłanie mające na celu podjęcie decyzji przez węgierski parlament narodowy – UEFA musi odrzucić tę prośbę”. Péter Szijjártó, węgierski minister spraw zagranicznych, z zadowoleniem przyjął tamto orzeczenie, mówiąc, że zwyciężył zdrowy rozsądek, i dodając, że UEFA „nie bawiła się w polityczną prowokację”. Mimo tego oraz pomimo zwykłe znakomicie organizowanej przez Niemców ochrony meczów dziwnym trafem widz w niemieckiej koszulce wbiegł wówczas na boisko, dzierżąc w dłoni tęczową flagę, w momencie gdy grano węgierski hymn. Tysiące zgromadzonych na stadionie machały wówczas takimi samymi, wielokolorowymi chorągiewkami.

POZA EUROPA ODPUSZCZAJĄ

UEFA z dumą ogłosiła, że opracowując obowiązującą podczas nadchodzącego Euro „strategię antydyskryminacyjną”, organizatorzy nawiązali współpracę z wieloma lewicowymi grupami, w tym z Amnesty International, Federacją

UEFA po raz kolejny postanawia wykorzystać imponujący zasięg organizowanego przez nią przedsięwzięcia do promocji celów, które uważa za szczytne. Skoro mówimy o piłce nożnej, to trudno się dziwić, że piłkarscy działacze chcieli promować zdrowy styl życia, prowadzić kampanie antydopingowe czy popularyzować zasadę fair play. Nikogo też szczególnie nie zdziwiło, a na pewno nie zgorszyło, gdy w latach 90. zaczęto walczyć z rasizmem – przykłady obrażania piłkarzy z innych części świata były wówczas rzeczywiście liczne. Choć warto podkreślić, że wcale nie ograniczały się do niechęci wobec piłkarzy o innej niż europejska karnacja, gdyż z wyzwiskami i atakami musieli mierzyć się również polscy piłkarze grający np. w Niem-

■ Lesbijek i Gejów w Niemczech (LSVD) oraz Queer Football Fans (QFF).

Te same organizacje – oraz siostrzane instytucje międzynarodowe mające na celu wypromowanie homo-, bi- i transseksualizmu na całym świecie – od kilku lat bardzo mocno naciskały na FIFA, by i ona zgodziła się na promocję LGBT podczas największego z piłkarskich turniejów, a więc na mistrzostwach świata. Do tej pory to się nie udało – stało się tak m.in. dlatego, że poprzednie dwa mundiale organizowane były w miejscach nienależących do szeroko pojętego Zachodu. Ani bowiem w Rosji, ani tym bardziej w Katarze promocja niestandardowych upodobań seksualnych w sferze publicznej nie jest dozwolona.

Organizacje zrzeszające gejów, lesbijki i transseksualistów oraz wszystkich innych niemieszczących się w tych grupach bardzo głośno wyrażały wówczas swój „zawód”. Dostało się też np. reprezentacji Anglii, gdy podczas mistrzostw w Katarze wyspiarze ugięli się pod presją katarskich gospodarzy oraz FIFA i nie pozwolili swemu kapitanowi Harry’emu Kane’owi na noszenie opaski OneLove, wspierającej społeczność LGBT. Miał to uczynić podczas pierwszego meczu z Iranem. FIFA zagroziła jednak sankcjami sportowymi, w tym natychmiastowymi żółtymi kartkami, i Anglicy pękli.

W efekcie jednak FIFA nigdy, mimo długiej historii związanych z nią szmeranych interesów, nie miała na Zachodzie tak złej prasy, jak właśnie podczas mundialu w 2022 r. Organizacje promujące dewiacje są wszak niezwykle wpływowe. UEFA zatem, dzięki swej uległości, losu FIFA raczej uniknie.

TYLKO HOMOBHATERÓW BRAK

A czy są jacyś piłkarze geje? Wśród czynnych sportowców oficjalnie nie. Przynajmniej nie w najważniejszych ligach. Na liście zawodników tej najpopularniejszej zespołowej gry na świecie, którzy ogłosili światu swoje upodobania homoseksualne już na emeryturze, nie ma nie tylko żadnej gwiazdy, lecz także średnio rozpoznawalnego gracza. Czy komukolwiek mówią coś bowiem takie nazwiska jak Andy Brennan, Anton Hysen, Collin Martin, Emerson Ferretti? Szkot, Norweg, Amerykanin i Brazylijczyk. A to właśnie oni zajmują poczesne miejsca na

wszelkich listach piłkarzy gejów publikowanych w Internecie (najdłuższa z nich liczy 20–30 nazwisk, tymczasem szacuje się, że na świecie w piłkę gra zawodowo od 60 do 80... tys. mężczyzn). Najbardziej znanym spośród byłych piłkarzy gejów jest Thomas Hitzlsperger, który ponad 50 razy wystąpił w kadrze narodowej – a jakże, Niemiec – zdobywając z nią nawet brązowy medal mistrzostw Europy w 2006 r.

Hitzlsperger nigdy nie był pierwszoplanowym piłkarzem (do reprezentacji załapał się jako zawodnik przeciętnego VfB Stuttgart), ale dziś jest pierwszoplanową postacią ruchu LGBT w futbolu. To właśnie on występuje jako ambasador tęczowej tolerancji podczas różnorodnych spotkań promujących ów ruch. Sam ogłosił, że jest homoseksualistą, już po zakończeniu sportowej kariery, ale w wywiadach zachęca młodszych od siebie piłkarzy, by zrobili to już dziś. Zresztą

Kibiców bardziej niż promocja tęczowych flag interesowała akcja pokazywania zbliżeń na atrakcyjne kobiety siedzące na trybunach

sam też długo zastanawiał się nad swoją „orientacją”. „To był długi i trudny proces. Dopiero w kilku ostatnich latach uświadomiłem sobie, że wolę być z mężczyzną” – powiedział tygodnikowi „Die Zeit” w 2014 r., kilka miesięcy po zawieszeniu piłkarskich butów na kołku.

Na początku bieżącego roku Niemiec gościł w Anglii, gdzie wspierał i tamtejszą federację w planach promocji ideologii LGBT. Oprócz tego przyznał, że cieszy się, iż podczas Euro 2024 oprócz promocji homoseksualizmu niemieckie władze będą „kładały nacisk na zrównoważony rozwój społeczny”, zachęcając kibiców do korzystania z transportu publicznego lub jazdy na rowerze do stref kibica i stadionów. Jak widać, istnieją zatem poglądy, które sprzedawane są niejako w pakiecie.

Podczas spotkań Hitzlspergera w Anglii doszło także do spotkania na stadionie Wembley z piłkarzami klubu

Stonewall FC, pierwszego w historii klubu założonego przez piłkarzy gejów, jeszcze w latach 90. ubiegłego stulecia. To klub amatorski, występujący w Premier League Middlesex, sklasyfikowanej na poziomie (według różnych rachunków) 11–14 wśród angielskich lig futbolowych. FC Stonewall prowadzi trzy zespoły męskie, główne i młodzieżowe, a także zespoły kobiece i niebinarne. O klubie tym w największych brytyjskich mediach mówi się jednak znacznie więcej niż o jakimkolwiek klubie z, dajmy na to, trzeciego poziomu rozgrywek. Piłkarze Stonewall mieli okazję rozegrać nawet mecz na Wembley.

DZIEWCZYNY NIE, GEJE TAK

Tymczasem, jak to zwykle z inżynierią społeczną bywa, mimo usilnych starań homolobby kibice w swej masie w żaden sposób nie wiążą homopropagandy z piłką nożną. Szczególnie ci spośród fanów, którzy meczami piłki nożnej interesują się częściej niż tylko od futbolowego świata. Być może młodzież zafascynowana swymi idolami byłaby w stanie naśladować jakiegoś geja bożyszcze piłkarskich tłumów, ale taki okaz w piłkarskiej przyrodzie na razie nie występuje.

Normalnych kibiców dużo bardziej niż nachalna promocja tęczowych flag interesowała podjęta kilka lat temu przez FIFA decyzja, by podczas transmisji telewizyjnych z meczów piłkarskich, gdy kamera wędruje po trybunach, nie robić zbliżeń na... atrakcyjne kobiety. FIFA podjęła tę decyzję przed mistrzostwami świata w Rosji w roku 2018. Była to część szerszej inicjatywy mającej na celu walkę z seksizmem w sporcie. Decyzja ta miała „zminimalizować nieodpowiednie i seksistowskie postawy, które mogłyby wpływać na oglądanie meczów i być niekomfortowe dla widzów”.

Biorąc pod uwagę skalę promocji homoseksualizmu, można przypuszczać, że zakaz telewizyjnych zbliżeń na jakiegoś przystojnego kibica geja spotkałby się z falą potępienia ze strony licznych organizacji, korporacji, ONZ oraz celebrytów całego zepsutego, zachodniego świata. Ale tego, zapewne, szybko nie sprawdzimy. Już prędzej spodziewałbym się zakazu zbliżeń na piłkarzy.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autorem jest redaktorem naczelnym PCh24.pl.



Na wstępie opinia publiczna powinna się dowiedzieć, że na Zachodzie żaden projekt SMR oferowanego do komercyjnej produkcji energii nie został jeszcze ukończony. Spośród ok. siedmiu zaawansowanych projektów o żadnym niczego definitywnego nie da się powiedzieć w zakresie bezpieczeństwa, poziomu wydatków inwestycyjnych czy efektywności produkcji energii. Najbardziej zaawansowany w certyfikacji przez państwowego regulatora w USA projekt firmy Nuscale utracił grupę inwestorów po tym, jak musiano zwiększyć prognozy kosztów produkcji energii o ok. 50 proc., co uczyniło je niekonkurencyjnymi w porównaniu z alternatywnymi źródłami. Inni dostawcy technologii są na tyle niezaawansowani, że nie są w stanie zaryzykować takich szacunków. Gotowe do certyfikacji i budowy projekty małych reaktorów nie istnieją. Dlatego uzależnienie od nich działań państwa dziś jest przedwczesne. Zwłaszcza gdyby rozproszenie ograniczonych zasobów prowadziło do zaniedbania budowy sprawdzonych źródeł energii, np. „dużego atomu”.

Nadzieje związane z małymi reaktorami są solidnie uprawdopodobnione, ale państwu nie wolno wystawiać na hazard swojego bezpieczeństwa energetycznego. W taki sposób może działać spółka prawa handlowego nastawiona na zysk: im wyższe ryzyko, tym zarobek wyższy. A co, jeżeli kierunek SMR okaże się tak samo obiecujący, jak gaz łupkowy kilkanaście lat temu? A co, jeżeli nawet SMR-y



Piotr Ciompa

Jan Parys w „Do Rzeczy” nr 19/2024 poruszył zagadnienie budowy małych reaktorów jądrowych (SMR). Jako byłemu doradcy kierownictwa Orlenu bliższa jest mu perspektywa inwestora. Jednak z perspektywy państwa ścieżka dojścia do celu może wieść inną drogą, niż ta, którą chciałyby podążać podmioty komercyjne

mają przed sobą przyszłość – w co oczywiście wierzę – ale konkretna technologia, w którą przedwcześnie Polska się uwikła, okaże się za kilka lat mniej efektywną, jeśli w ogóle nie ślepą uliczką w porównaniu z innymi technologiami SMR?

KTÓRA TECHNOLOGIA DLA SMR?

Najbardziej rozpowszechnione na Zachodzie są reaktory zbudowane w technologii wodno-ciśnieniowej, ale Jan Parys w artykule wymienia tylko jedną technologię: wodno-wrzącą. Jej dostawcą

jest firma General Electric – Hitachi, a jej polskim partnerem spółka Orlen Synthos Green Energy, za którą stoi najbogatszy Polak, Michał Sołowow. Rządowy Program Energetyki Jądrowej z października 2020 r., opracowany jeszcze pod nadzorem ministra Piotra Naimskiego, jest wobec tej technologii ostrożny i wskazuje, że obecnie w Europie i Japonii wygaszono wszystkie duże reaktory tego typu. Upraszczając, technologia ta, skonstruowana w latach 50. XX w., w latach 90. miała swoją wersję 2.0, jednakże

■ w unowocześnionej wersji nigdy nie wybudowano żadnego reaktora. Obecnie Amerykanie „miniaturyzują” to nigdzie niefunkcjonujące komercyjnie rozwiązanie i w ten sposób powstaje proponowany Kanadzie i Polsce reaktor BWRX-300. Co do jego parametrów bezpieczeństwa i efektywności produkcji energii jesteśmy zdani wyłącznie na oświadczenia dostawcy, wspierających go lobbystów i amerykańskich dyplomatów. Życzymy powodzenia, ale jako państwo powinniśmy się powstrzymać z nieodwracalnymi decyzjami do czasu pozyskania niezależnej wiedzy o tym projekcie, ale dopiero po jego zejściu z desek kreślarskich projektantów.

Niestety, państwo postawiło na obiecującą, ale nie zweryfikowaną wystarczającą technologię wodno-wrzającą SMR, zachowując się jak spółka prawa handlowego. Przejawem tego jest wydanie decyzji zasadniczych dla sześciu lokalizacji SMR-ów BWRX-300 i zapowiedź kilkunastu kolejnych. Tymczasem liczba optymalnych lokalizacji w Polsce dla reaktorów jądrowych jest ograniczona. Blokowanie tych lokalizacji pod technologię, która nie wiadomo, czy wygra wyścig, jest dla państwa ryzykowne. Taka lokalizacja to deficytowe dobro, jak np. częstotliwości dla operatorów telefonii komórkowej, na które państwo ogłaszało przetargi. Wartość spółek, które otrzymują decyzję zasadniczą, rośnie skokowo, gdyż państwo obdarza je pozabilansowym aktywem. Nadto blokując te lokalizacje konkurentom, państwo zawęża konkurencyjność na etapie, gdy jeszcze nie wiadomo, która technologia przeważa lub najlepiej będzie odpowiadać polskim uwarunkowaniom.

Znawcy motoryzacji wiedzą, że pierwszy model auta jest niedoskonały i dopiero kolejnemu, po usunięciu niedoróbek, można zaufać. W przypadku reaktora jądrowego o wyjściu z fazy prototypu można mówić najoptimistyczniej po zakończeniu pierwszego cyklu paliwowego, plus trzy-pięć lat na opracowanie i certyfikowanie usprawnień. Jeżeli pierwszy reaktor BWRX-300 miałby zostać uruchomiony komercyjnie w 2029 r. w Kanadzie, a rok później w Polsce, a budowa pozostałych rozpocząć się przed 2034 r., to oznacza, że te reaktory również będą prototypami ze wszystkimi



pionierskimi obciążeniami. Dla spółki to będzie być może opłacalne ryzyko. Dla państwa wybudowanie kilku lub więcej prototypów to hazard.

„ZA, A NAWET PRZECIW”

Wsparcie dla SMR-ów nieprzygotowanego jeszcze do działania państwa, gdy nie ma jeszcze ku temu wystarczających przesłanek, przyjmuje dziwaczne wymiary. Polska Agencja Atomistyki jest pośród państwowych regulatorów światowym liderem w certyfikacji małych reaktorów, co nie powinno być tytułem do chwały, w certyfikacji małych reaktorów. Nigdzie na Zachodzie nie zakończył się pierwszy etap procedury tak jak w Polsce – wydaniem tzw. decyzji ogólnej prezesa Państwowej Agencji Atomistyki dla reaktorów dopiero projektowanych przez General Electric i Nuscale. PAA wydała opinie z zastrzeżeniem, że z powodu braku wielu podstawowych, niedostarczonych przez wnioskodawców informacji o reaktorach Agencja na razie nie podpisuje się pod rozwiązaniami wielu systemów składających się na funkcjonowanie reaktorów. Nie wiem, czy takie asekurancтво okaże się wystarczające, gdy decyzje Agencji

wezmą na tapet renomowane kancelarie specjalizujące się w aspektach prawnych technologii jądrowych i wyinterpretują, że PAA powiedziała coś, co niekoniecznie miała na myśli.

„To nieprawda” – odpowiadają obrońcy tych decyzji. Procedura certyfikacji w Polsce skonstruowana jest inaczej i ta decyzja wcale nie wyprzedza postępowań certyfikacyjnych w innych krajach, gdyż ma bardzo wstępny charakter. W takim razie zapytam, skąd państwo polskie czerpie śmiałość, by przy swoim mikrodoświadczeniu w energetyce jądrowej pisać własne procedury, od których zależy bezpieczeństwo elektrowni jądrowych, zamiast po prostu je przepisać za rozwiązaniami przyjętymi przez jeden z bardziej doświadczonych krajów.

Tworzenie prawa atomowego nigdy w Polsce nie przebiegało bezproblemowo, bo państwo nie potrafiło się opętać od lobbystów i dyplomatów. Zasygnalizuję tu tylko jedno zagadnienie: Czy reaktor powinien być chroniony przez dwie niezależne osłony czy jedną solidniejszą? Wtajemniczeni wiedzą, że wybór danego rozwiązania eliminuje niektórych konkurentów. Przed 2015 r. państwo opowiedziało się za pierwszym rozwiązaniem, po 2015 r. za drugim, ale nieoczywiste poprawki przepisów dziś jeszcze skutkują różnymi interpretacjami prawnymi. Nie można wykluczyć, że proces budowy utknie na kilka lat w sądach z powodu twórczości prawnej optymistów wierzących, że Polskę stać kompetencyjnie na napisanie oryginalnego prawa dla energetyki jądrowej bez posiłkowania się „konsultacjami” u zainteresowanych jak

Gotowe do certyfikacji i budowy projekty małych reaktorów nie istnieją. Dlatego uzależnienie od nich działań państwa dziś jest przedwczesne



Dalszym etapem miniaturyzacji reaktorów jądrowych mają być mikroreaktory przewożone na lawetach do małych gmin i po wypaleniu paliwa wymieniane na nowe

FOT. WESTINGHOUSE NUCLEAR/YOUTUBE

najbardziej uproszczonymi procedurami dostawców technologii, za którymi stoją ambasady wpływowych państw.

„KADRY DECYDUJĄ O WSZYSTKIM”

Polska nie ma wystarczających kadr i doświadczeń, by być partnerem w dziedzinie energii jądrowej dla dostawców technologii. Jedyna szansa na weryfikację ich promocyjnych deklaracji to wybranie częściowo konkurencyjnego trybu wyboru i dopuszczenie innych podmiotów – z USA, Francji czy Wielkiej Brytanii – gdzie każdy z nich będzie wspierać państwo w ocenie słabych stron swoich rywali. Tryb konkurencyjny przyjęli lepiej od nas przygotowani Czesi, a nawet Wielka Brytania, mimo że posiada rodzimego oferenta technologii. Oba państwa scentralizowały jednak działania w jednym podmiocie, a nie jak Polska, gdzie w SMR-y wchodzi co najmniej cztery spółki Skarbu Państwa, każda z innym dostawcą. To się nie może skończyć sukcesem. Przy wszystkich opóźnieniach w zapewnianiu Polsce niezależności energetycznej dziś jest za wcześnie, by wiązać się z jedną, nawet najbardziej obiecującą, ale niewystarczającą dojrzałą technologią SMR.

O jakości kadr świadczy poziom debaty, a właściwie kakofonii w sprawie SMR. Raport Polskiego Instytutu Ekonomicznego z czerwca 2023 r., w którym 50 polskich i zagranicznych ekspertów anonimowo oceniło szanse uruchomienia w Polsce pierwszego małego reaktora do 2030 r. na 0 proc., został zignorowany. Spółka Orlen Synthos Green Energy i jej

udziałowcy nadal zapewniali, że to jest jak najbardziej realistyczna data, a media, zwłaszcza branżowe, nie zadawały trudnych pytań. Na przykład dlaczego światowa firma doradcza Boston Consulting Group przypuszcza, że pierwszy SMR w Europie Środkowej powstanie dopiero w 2035 r. w... Czechach? Lub że Brytyjczycy lub Francuzi również przewidują uruchomienie pierwszych SMR-ów ok. 2035 r.? Miałaby Polska wyprzedzić Wielką Brytanię i Czechy, a zwłaszcza Francję, czyli kraje posiadające przemysł jądrowy? Czy Amerykanie będą w stanie dotrzymać obietnic i pomóc nam w realizacji tak ambitnego harmonogramu, skoro ich cywilny przemysł jądrowy od wielu lat przeżywa stagnację, a termin uruchomienia pierwszego małego reaktora w USA jest jeszcze bardziej niepewny niż w Europie?

Na tle polskiego optymizmu w sprawie kadr oraz harmonogramu budowy małych reaktorów niech wybrzmi opinia właściwej komisji parlamentu brytyjskiego, że dla programu SMR w Wielkiej Brytanii poważnymi zagrożeniami są szczupłość kadr i niewystarczające doświadczenie w budowie reaktorów (najnowszą elektrownię atomową Hinkley Point budują Francuzi). Na czym więc, Polsko, opierasz swoje nadzieje na zajęcie czołowego miejsca w tym wyścigu? Czy kompromisy zawierane z wielkimi koncernami w imię realizacji iluzji nie okazały się opłacalne tylko dla tych koncernów, kosztem ryzyk dla bezpieczeństwa energetycznego państwa?

ZA CZYJE PIENIĄDZE?

Spór o harmonogram jest kluczowy dla powodzenia kapitałochłonnych projektów. Około 40 proc. kosztów inwestycji w elektrownię jądrową to mogą być koszty finansowe. Każdy rok opóźnienia to gigantyczne koszty. Dlatego chętnie bym się zapoznał ze stanowiskiem ekspertów żyrujących narrację Michała Sołowowa dla Banku Gospodarstwa Krajowego w związku z udzieleniem ponad 500 mln euro kredytu, Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej, który zobowiązał się do zainwestowania w SMR-y 500 mln zł, czy banków PKO BP czy PKO SA podpisujących listy intencyjne w sprawie finansowania projektu (o Santander Bank Polska nie

Amerykanie przy obecnym stanie wiedzy o małych reaktorach nie chcą ryzykować własnych pieniędzy

pytam, bo to są pieniądze prywatne). Porównajmy to z ostrożnymi deklaracjami amerykańskich instytucji finansowych, które wiedzą, że po zakończeniu zimnej wojny żadna budowa cywilnego reaktora na Zachodzie nie skończyła się w deklarowanym terminie i zakładanym budżecie. Jak informuje amerykański Eximbank, w liście intencyjnym z Orlen Synthos Green Energy zobowiązał się jedynie do rozpatrzenia wniosku o finansowanie, gdy taki wpłynie, jak rozumiem, gdy projekt będzie gotowy. Czyli Amerykanie przy obecnym stanie wiedzy o małych reaktorach nie chcą ryzykować własnych pieniędzy. Tylko polskie, państwowe instytucje finansowe śmiało ryzykują. Problem kosztownych opóźnień czasowych będzie finalnie obciążał nie inwestora, ale tego, kto mu daje lub pożycza ogromne pieniądze, czyli państwo.

Kampania promocyjna podjęta przez spółkę Orlen Synthos Green Energy wprowadziła do obiegu koncepcję małych reaktorów jądrowych, ale następnie wylicytowała obietnice tak ekstremalnie wysoko, że ich prawdopodobne nawet częściowe niedotrzymanie może spowodować kryzys zaufania społecznego do SMR-ów i w konsekwencji zaszkodzić małym reaktorom i w ogóle energetyce jądrowej. Choć nikt publicznie tego nie powie, to tego samego w skali europejskiej obawiają się niektórzy konkurenci General Electric – Hitachi, gdyż obietnice uruchomienia pierwszego SMR w Polsce do 2030 r. zostały na Zachodzie zauważone. Dlatego kończę ten artykuł parafrazą westchnięcia – Boże, broń SMR-y przed „entuzjastami”, bo przed sceptykami obronią się same.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Piotr Ciompa – do listopada 2023 r. doradca ministra spraw wewnętrznych i administracji Mariusza Kamińskiego. Artykuł wyraża poglądy autora.



Z prof. Grzegorzem
Górkim, prawnikiem
i amerykańistą,
wykładowcą
akademickim
rozmawia
Ryszard Gromadzki



Tylko Trump może uratować USA

RYSZARD GROMADZKI: Donald Trump, jako pierwszy polityk sprawujący wcześniej urząd prezydenta Stanów Zjednoczonych, został uznany za winnego przez nowojorski sąd w sprawie dotyczącej fałszowania oświadczeń w dokumentacji finansowej. Czy ten precedens będzie miał wpływ na wynik listopadowych wyborów prezydenckich w USA?

PROF. GRZEGORZ GÓRSKI: Proponowałbym, aby zachować cierpliwość. Do precedensu jest tu jeszcze bardzo długa droga. Najpierw musimy usłyszeć wyrok, bo teraz to sędzia będzie musiał wyłutymać się ze wszystkich swoich skandalicznych rozstrzygnięć procesowych. Jest duże prawdopodobieństwo, że ten żenujący spektakl polityczny, który urządzono wyłącznie dla celów propagandowych, zostanie obalony w apelacji. A jeśli i tam zabraknie elementarnej bezstronności, to na pewno ta sprawa trafi przed oblicze Sądu Najwyższego, który rozniesie to bezprawie na czynniki pierwsze.

I oczywiście demokraci o tym wiedzą, ale przecież tu nie chodziło od początku o żadne prawo, tylko wyłącznie o polityczne kalkulacje. Im się wydawało, że to zniszczy politycznie Trumpa. A dzisiaj – mimo że ostrzegali ich ludzie z ich strony politycznego podziału – nie mogą się nadziwić, iż nie ma z tej żenady żadnego politycznego uzysku. A wręcz przeciwnie, są wielkie straty. Doradzałbym skądinąd liderom polskiej koalicji 13 grudnia, żeby dobrze się temu przyjrzeni, bo za chwilę będą się podobnie dziwić jak ich przyjaciele z Partii Demokratycznej. Innymi słowy – ta rozróżba, bo przecież nie proces, wpłynie oczywiście na wynik wyborów, ale wyłącznie na korzyść Trumpa.

Na głosy których grup społecznych może liczyć dziś Trump? Czy można powiedzieć, że ma on mandat konserwatywnej Ameryki? Co z wyborcami centrum? Czy demonizowany od lat były prezydent może być dla nich opcją do przyjęcia?

GOP dawno już nie była tak skonsolidowana wokół swojego lidera, jak to ma miejsce obecnie. Podobny poziom poparcia i entuzjizmu miał ostatnio Reagan przed swoją reelekcją. I z pewnością konserwatywna Ameryka jest skupiona wokół Trumpa. Centrum zostało zagospodarowane przez Kennedy'ego i Westa, którzy oscylują wokół 10–12 proc. poparcia. Ale oni odbierają głosy głównie Bidenowi, bo jego lewac-

FOT. LUKAS HALESI/GETTY IMAGES

kie działania wystraszyły i zniechęciły do demokratów znaczną część tradycyjnie centrowego elektoratu wybierającego częściej właśnie tę formację. Korzysta na tym w niewielkim stopniu Trump, bo właśnie w ostatnich tygodniach wielu biznesmenów czy celebrytów otwarcie deklaruje przechodzenie na jego stronę. Oni się kają dzisiaj z tego, że głosowali na kogoś takiego jak Biden. To zjawisko się dynamizuje, wywołując popłoch zwłaszcza w mainstreamowych mediach.

Kandydat republikanów powtarza cały czas, że kolejne sprawy sądowe, które są wszczynane przeciw niemu, mają charakter polityczny i są zemstą ze strony demokratycznego establishmentu, którego celem jest odebranie mu możliwości powrotu do Białego Domu. Dlaczego „deep state” z taką zapaścią zwalcza Trumpa?

Wystarczy zestawiać fakty. FBI i Secret Service cały czas kryją szwindle klanów Clintonów i Obamów. To nie są jakieś wydumane fejki, ale naprawdę grube sprawy, pilnie strzeżone przy wsparciu wielu wpływowych, ale skorumpowa-

w skorumpowanym Nowym Jorku, jako polityk znający te układy jest po prostu śmiertelnym zagrożeniem. Gdyby się dogadał z układem, to nie miałby problemów. Jednak on na poważnie podszedł do demokracji i jej mechanizmów. To mu pokazują, na czym polega demokracja w ich pojęciu. Znamy to – „stosujemy demokrację tak, jak ją pojmujemy”.

Donald Trump zapowiada, że szybko doprowadzi do zakończenia wojny na Ukrainie. Czy ta wojna w ogóle obchodzi amerykańskich wyborców? Czy będzie rzutować na wynik wyborów?

Dla zdecydowanej większości Amerykanów jest to już dziś temat siódmo-, ósmorzędny. Inflacja, rosnące koszty życia, kryzys na granicy, migracja, aborcja, zielony bezsens, ofensywa gender, wojna w Gazie – Ukraina na poziomie niepokojów z Wenezuelą. To nie ma żadnego wpływu na wybory, ale ciągle powtarzam: to jest w głównej mierze wynik zachowania Ukraińców, a zwłaszcza ich prezydenta. Sami to ciężko wypracowali.

Podobny poziom poparcia i entuzjazmu miał ostatnio Reagan przed swoją reelekcją. I z pewnością konserwatywna Ameryka jest skupiona wokół Trumpa

nych republikanów. Wyczyny Bidena i jego rodzinki przejdą do historii. Irlandczycy będą kiedyś o tym pisać książki i kręcić filmy. Działania przeciw Trumpowi są więc zwykłym działaniem złoździeja – musi odwrócić za wszelką cenę od siebie uwagę. To nawet nie jest ten mityczny „deep state”. To zbudowana – jak za czasów Roosevelta – półmafijna struktura, która oplotła Waszyngton. Zresztą zobaczymy, jakie środowiska zawsze popierały demokratów. Na czym w czasach prohibicji wzbogacali się ich największy liderzy czy sponsorzy, których potomkowie dzisiaj w trzecim-czwartym pokoleniu robią to samo, tylko bardziej wyrafinowanymi metodami? Tu naprawdę nie trzeba pogłębionych studiów i analiz, dostępu do jakichś sekretnych archiwów. Wystarczy uważnie poczytać Wikipedię i wszystko stanie się jasne.

A Trump, który jako biznesmen musiał się z tym ścierać całe życie

Co do zakończenia wojny – Trump jest w stanie tak przydusić Putina, że ten sam poprosi o pokój. Ameryka ma na to siły i środki, tylko pod administracją Bidena nie potrafiła i nie chciała z nich korzystać. To jest nawet względnie proste i trzeba tylko powtórzyć manewr Reagana. Dogadać się z Saudami, Emiratai i paroma innymi decydentami w OPEC i spuścić ceny ropy i gazu na 25 proc. obecnego stanu. Rosjanie po pół roku będą na łopatkach. Tylko że Biden nie mógł tego zrobić, bo zaczął swoją wojenkę z Saudami, żeby dogadać się z Iranem. Skutki tego widzimy na Bliskim Wschodzie, ale w sumie dzięki temu właśnie Rosjanie mają za co prowadzić wojnę. Trump miał świetne relacje z krajami Zatoki i w ogóle z większością świata arabskiego, więc nie jest to jakaś iluzja. A Bidena oni nie poważają, niezależnie od tego, jak skandalicznie traktuje swojego izraelskiego alianta.

Izrael jest oskarżony o ludobójstwo Palestyńczyków w trakcie operacji przeciw Hamasowi w Strefie Gazy. Izraelska ofensywa w Gazie wywołała niespotykaną od protestów przeciw wojnie w Wietnamie w latach 60. ubiegłego wieku falę rozruchów na uniwersyteckich kampusach w USA. Ich uczestnicy solidaryzują się z Palestyńczykami. Trump znany z bezkrytycyzmu wobec Izraela może dzięki takiej postawie zyskać czy stracić głosy wyborców?

Zacznijmy od tego, że zdominowane przez środowiska neobolszewickie uniwersytety w USA są beneficjentami obfitych donacji ze strony różnych muzeumskich instytucji i państw. Dlatego zwalczają chrześcijaństwo i orbitują w jakieś opary marksizmu, dewastując amerykańskie życie i cywilizację. To te same ośrodki sponsorują również przekazy CNN, „NYT” czy NBC. Zaangażowali się w to również różni „postępowi Żydzi”, którzy są bardziej antysemitami niż twarzą antysemitów. To oni suflują przekazy o ludobójstwie żydowskim na – a jakże – „niewinnych Palestyńczykach”. To jakiś obłąd, a co ciekawe, jednym z głównych, ujawnionych ostatnio sponsorów tego antyizraelskiego wzmocnienia są również Chiny. W sumie nic dziwnego, ale nie przeceniałbym skali tego zjawiska. Na pewno nie da się go porównać z tym, co się działo w Ameryce w końcu lat 60.

Donald Trump w trakcie kampanii jak mantrę powtarza frazę, że Ameryka rządzona przez Bidena stacza się na dno. Czy 78-letni polityk, pozostający od lat pod ogromną presją ze strony lewicowego establishmentu, korporacji i mediów, ścigany jak łowne zwierzę przez sądy, jest jeszcze w stanie wypełnić swoje zobowiązanie zawarte w sloganie „Make America Great Again”?

Ameryka się stacza od czterech lat z szybkością zdumiewającą każdego obserwatora. Jeśli Trump tego nie powstrzyma, to USA pod dalszymi rządami Bidena nie oprą się ofensywie już nie tylko Chin i Rosji. One są dzisiaj w takim momencie, w jakim był Rzym na przełomie wieków IV i V. Tylko Trump może uratować je przed powtórką tamtej historii.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



prof. Grzegorz Górski – prawnik, amerykanista, wykładowca akademicki.

Chociaż na pozór wydaje się to szaleństwem, to w istocie wszystkie wzmiankowane propozycje są zakorzenione w oficjalnych dokumentach synodalnych. 22 kwietnia w jednej z parafii diecezji Modeny we Włoszech przyjęto nowatorskie postanowienie: jeżeli w niedzielę nie będzie na miejscu proboszcza, to wierni nie powinni jechać na Mszę do innego kościoła, ale wziąć sprawy w swoje ręce i sami odprawić czysto świecką liturgię słowa. Jak wytłumaczyła rada parafialna w uzasadnieniu decyzji, jest to zgodne z duchem synodalnym i będzie ukazywać głęboką wartość lokalnej wspólnoty. Na tym jednak nie koniec. W niektóre dni powszednie to świeccy mają sprawować liturgię, nawet jeżeli ksiądz będzie obecny. Wtedy kapłan powinien stanąć beczynnie z boku i pozwolić wiernym przejąć kierowniczą rolę.

Arcybiskup Erio Castellucci, który kieruje diecezją Modeny, w specjalnym komunikacie napisał, że gorąco popiera ten kierunek zmian i uważa, że to dopiero początek: parafia ma być „pilotażem”, a to oznacza, że jeżeli rzecz się „powiedzie”, to będzie przeszczepiana również w inne miejsca. Być może niektórzy z czytelników zwrócą uwagę, że choć to bardzo smutne wydarzenie, to ostatecznie nie ma w tym nic zaskakującego: w wielu parafiach na zachodzie Europy liturgie świeckich pod nieobecność księdza są już normą, i to od lat. To prawda, ale zwracam uwagę na dwie różnice. Po pierwsze, w diecezji Modeny liturgia świeckich ma zastępować Mszę, nawet jeżeli ksiądz jest na miejscu. Po drugie i kluczowe, zupełnie inne jest też uzasadnienie – nie chodzi już o jakieś „braki duszpasterskie”, a więc o rzeczywistość zasadniczo negatywną; tu rzecz ma wymiar w pełni pozytywny – mówi się wprost o egalitarystycznej ideologii synodalnej. Dotąd liturgię prowadzoną przez świeckich traktowano na zachodzie Europy jako niedoskonałe zastępstwo, teraz staje się równa Mszy Świętej... albo nawet od niej lepsza.

Kilka miesięcy temu w pierwszej niemieckiej diecezji – Osnabrück – podjęto decyzję o pełnym dopuszczeniu do Komunii Świętej protestantów, a katolików – do protestanckiej „Wieczerzy”. Pomimo upływu czasu na ten absolutny skandal nie ma w Kościele dosłownie żad-

Kościół bez Mszy i księży?



Paweł Chmielewski

W ramach Synodu o synodalności dochodzi do kolejnych przemian w Kościele katolickim. Tym razem dotyczą tego, co najświętsze: Mszy i kapłaństwa. W niektórych diecezjach proponuje się zarzucanie sprawowania Mszy Świętej na rzecz nowej formy liturgii, prowadzonej przez świeckich. W innych wewnętrzna treść Najświętszej Ofiary zostaje zmieniona tak, by mogli w niej uczestniczyć również niekatolicy. Jeszcze gdzieś indziej sugeruje się kasację Mszy w ogóle

nej reakcji: decyzję przyjęto milczeniem. Tymczasem nie chodzi tu o jakąś lokalną patologię „ekumeniczną”. Za wszystkim kryje się nowe rozumienie Eucharystii, to znaczy faktyczna rezygnacja z wiary w realną obecność Pana Jezusa pod postaciami eucharystycznymi. W Osnabrück przyjęto w praktyce zupełnie nową teologię, która rezygnuje z tradycyjnej metafizyki. W tej niemieckiej diecezji stwierdzono tak naprawdę, że nikt „nie wie”, co dzieje się podczas Mszy Świętej ani czym dokładnie miałyby być konsekrowane Chleb i Wino. Ciało i Krew Chrystusa zostały sprowadzone do jakiegoś tajemnego „znaku obecności Boga”, w którym każdy czysto subiektywnie czyta to, co akurat chce. Bez żadnych wielkich gestów ani słów doszło do zmiany wewnętrznego sensu Mszy Świętej. Kapłan, który włącza się w Osnabrück w to ekumeniczne przedsięwzięcie, choć wypowiada przepisane przez księgi liturgiczne słowa konsekracji, musi przecież wyznawać inną niż katolicka wiarę... Oto klasyczna subwersja: zmiana

treści przy zachowaniu form zewnętrznych. W dokumencie diecezjalnym, który tłumaczy wprowadzenie pełnej interkomunii, można przeczytać o synodalności, którą cechują „dynamika tymczasowości” i przekonania, że upragniona jedność między chrześcijanami „zdarza się niespodziewanie w teraźniejszości”. Bełkot, ale jakże szkodliwy. Tak jak w przypadku Modeny Osnabrück to również dopiero początek.

LIKWIDACJA STANU KAPŁAŃSKIEGO?

Podobne idee pojawiają się również w Polsce. Na łamach jednego z ostatnich numerów „Tygodnika Powszechnego” mogliśmy przeczytać, że nadszedł czas na... likwidację stanu kapłańskiego. W tle oczywiście rewolucja synodalna, która miałaby wiązać się z „docenieniem świeckich”. Specjalizująca się w teologii feministycznej Zuzanna Radzik opisała koncepcję profesora egzegezy biblijnej z Nadrenii Północnej-Westfalii, ks. Marti-

na Ebnera. W tym roku wyszła w Polsce jego książka pt. „Czy Kościół potrzebuje księży?”. Ebner odpowiada na to pytanie krótko: nie; księży są historyczną narażoną na prawdziwym chrześcijaństwie, wypadkiem przy pracy, rzeczywistością niezgodną z wolą Chrystusa, o czym w felietonie dla „TP” skrętnie poinformowała czytelników Zuzanna Radzik. Jeżeli nie będzie księży, to konsekwentnie nie będzie też Najświętszej Ofiary. Dla Ebnera jedyną rolą kapłana w odnowionym Kościele jest bycie – uwaga – „pośrednikiem dobrego życia”. Ktoś powie, że co jak co, ale tego rodzaju postulaty są już kompletnie egzotyczne i szalone. Cóż, być może, ale proszę porozmawiać ze stale rosnącą w siłę częścią polskich charyzmatycznych chrześcijan, którzy oczekują nastania nowego ekumenicznego super-Kościola, gdzie wszyscy będą żyć tylko Duchem Świętym. Tych środowisk do idei likwidacji kapłaństwa poprzez jego egalitaryzację nie trzeba będzie specjalnie przekonywać.

Wszystkie powyższe rewolucyjne czyny albo słowa, choć na pozór regionalne lub ekstremalne, są dobrze umocowane w zwołanym przez papieża Franciszka Synodzie o synodalności. Nie oznacza to koniecznie, że sam papież popiera marginalizację albo zniesienie kapłaństwa i Mszy. Trzeba jednak pamiętać, że wielkie zgromadzenia i procesy w Kościele mają niejako swoje własne życie, niekiedy niezależne od pierwotnej woli papieża. Wpływowa grupa nacisku może wykorzystać dane jej narzędzia do tego, by przejąć faktyczną kontrolę nad życiem Kościoła – tak jak stało się na Synorze Watykańskim II. Niezależnie od roli samego Franciszka (która, przynajmniej, nie musi być też wcale pozytywna) progresistom naprawdę wiele już się udało. W licznych dokumentach synodalnych – publikowanych od 2021 r. aż do tego roku – można znaleźć stwierdzenia bardzo wrogie wobec liturgii, i to bynajmniej nie „trydenckiej”, ale „zwykłej”. Ulubioną frazą tych tekstów jest zniesienie „liturgicznego protagonizmu kapłana”. Co to oznacza w praktyce? Mszę Świętą sprawuje przecież kapłan – na tym to polega, od momentu, w którym Eucharystię ustanowił sam Jezus Chrystus, a nawet jeszcze dłużej, bo katolickie kapłaństwo wyrasta z kapłaństwa starotestamental-

nego. Dokumenty synodalne prezentują jednak Mszę Świętą jako przestrzeń „ekskluzywną”: z racji swojego charakteru wyklucza „owocny” ekumenizm; z kolei ze względu na wymogi moralne stawiane osobom przystępującym do Komunii Świętej wyklucza tych, którzy żyją w stanie obiektywnego grzechu ciężkiego (teksty synodalne mówią o rozwodnikach w powrotnych związkach, poligamistach albo homoseksualistach). Ponadto „protagonizm liturgiczny” umacnia klerykalizm Kościoła, a ten – to jeden z absolutnie wiodących motywów synodalnych – jest do kompletnego wykorzenienia! Teksty Synodu głoszą, że Kościół nie będzie klerikalny dopiero wówczas, kiedy liturgia stanie się domeną całego „ludu Bożego”, w tym... kobiet, młodzieży i dzieci. Sam „lud Boży” to oczywiście nie tylko katolicy, bo – jak pouczają dokumenty synodalne – przynależą do niego po prostu wszyscy ludzie ochrzczeni, a ponieważ nawet wszyscy ludzie w ogóle, na mocy ogólnoludzkiego braterstwa. Arcybiskup Castellucci z Modeny i wrogi kapłaństwu

składaniem hołdu Pachamamie. Łatwo wyobrazić sobie, co może oznaczać taka teologia w kontekście liturgicznym: np. rezygnację z głoszenia nauki o transsubstancjacji, czyli wyrażanej w kategoriach filozoficznych prawdy o przeistoczeniu. Konsekwencją hostia może być po prostu „Panem Jezusem” albo nawet „Bogiem”, bez wnikania w szczegóły, a to otwiera zupełnie nowe drogi ekumeniczne i dialogiczne – dokładnie takie, po których już dziś chadza się w Osnabrück.

POWAŻNA SZKODA

W Polsce o tym wszystkim dyskutujemy niewiele. Najchętniej rewolucją synodalną zajmują się środowiska „Tygodnika Powszechnego” albo „Więzi”, a zatem tzw. katolicyzmu liberalnego. Nie bez przyczyny: związani z nimi teologowie i publicyści wiedzą dobrze, że synodalne instrumentarium nadaje się doskonale do tego, by promować przeprowadzanie nad Wisłą progresywnych zmian, o których myśłano tam już od dawna. To poważna szkoda, bo pierwsza wielka faza Synodu o synodalności dobiegnie końca już za kilka miesięcy

Wszystkie powyższe rewolucyjne czyny albo słowa, choć na pozór regionalne lub ekstremalne, są dobrze umocowane w zwołanym przez papieża Franciszka Synodzie o synodalności

ks. prof. Ebner czytając takie teksty, musza być zachwyceni.

Co istotne, a wciąż zbyt mało znane: rewolucji synodalnej towarzyszy równoległa rewolucja w metodzie uprawiania teologii. W listopadzie 2023 r. papież ogłosił niewielki dokument „Ad theologiam promovendam” adresowany do teologów. Pomimo niepozornych rozmiarów tekst ma wielkie znaczenie. Franciszek zarządził w nim „zmianę paradygmatu” i „rewolucję kulturową” w teologii. W Kościele trwa obecnie debata o dokładnym znaczeniu tego tekstu, bo jak wiele pism Franciszka, również to nacechowane jest niewielką precyzją użytego słownictwa. Na ogół przyjmuje się jednak, że papież życzy sobie teologii wychodzącej „od konkretnego życia”, bez jakichś sztywnych ram teoretycznych, takiej, która może skutkować błogosławieniem par LGBT albo

i zastanie nas zasadniczo nieprzygotowanych, poza wymienionymi grupami. W efekcie to właśnie środowiska katolicyzmu progresywnego mogą spróbować narzucić narrację o rzekomej konieczności przeprowadzenia rewolucji synodalnej, gruntując w różnych miejscach polskiego Kościoła nowe przestrzenie heterodoksji. Można dalej żyć przekonaniem, że do nas idee likwidowania Mszy czy kapłaństwa nie dotrą, ale przykład niedawnego pobłogosławienia par LGBT przez jednego z księży pokazuje, że to tylko złudzenia. Rewolucji synodalnej trzeba się aktywnie przeciwstawić; bierność i oczekiwanie na to, co przyjdzie z góry, to wyłącznie zgoda na stopniową infekcję przez progresywne rojenia o chrześcijaństwie bez struktur, kapłaństwa i Najświętszej Ofiary.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone
Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.

Wystarczy raz obejrzyć „Szeregowca Ryana”, by już na zawsze zachować pod powiekami scenę szturm aliantów na stanowiska niemieckie na plaży „Omaha”. Drżące dłonie żołnierzy, którzy za chwilę wyskoczą z jednostek desantowych pod ostrzał karabinów, błagalne modlitwy, czynione naprędce znaki krzyża, wykrzykiwane ostatnie rozkazy... Jeśli coś do tej sceny zupełnie nie pasuje, to z pewnością widok żołnierza spokojnie czytającego książkę. Gdyby jednak Steven Spielberg miał pokazać tych samych mężczyzn na nieco wcześniejszym etapie podróży ku wybrzeżom Normandii, to widok np. granego przez Toma Hanksa kpt. Johna H. Millera pogrążonego w lekturze nie byłby zaskakujący.

Hanks trzymałby w rękach jedną z serii książek Armed Services Editions. Tanich w produkcji i przygotowanych w taki sposób, by zmieściły się w kieszeniach mundurów. Amerykańscy żołnierze trafiający na front otrzymywali takie książki za darmo. Rada ds. Książek na Czas Wojny (Council on Books in Wartime), organizacja non profit powołana w USA w 1942 r. przez branżę księgarską, wydała ponad 1,3 tys. tytułów. „Książki są bronią w wojnie idei” – brzmiało hasło Armed Services Editions.

W OKOPIE Z KRÓLOWĄ WIKTORIĄ

W czwartkowy wieczór 1 czerwca 1944 r. na jeden z okrętów, które 6 czerwca miały dotrzeć do wybrzeży Normandii, wszedł dziennikarz, ceniony korespondent wojenny A.J. Liebling. W relacji z D-Day dla „The New Yorker” pisał: „Żołnierze byli rozproszeni po całym sąsiednim LCIL, większość z nich czytała książki wydane w seriach dla armii w papierowych oprawkach. To była dla nich kolejna podróż do odbycia i nie wydawali się nią szczególnie podekscytowani”.

Liebling przytacza słowa jednego z żołnierzy: „Te małe książki to świetna sprawa. Pozwalają oderwać myśli. Pamiętam, że kiedy mój batalion został odcięty na szczycie wzgórza w El Guettar, przeczytałem całą książkę w jeden dzień. Była zatytułowana »Rycerz bez zbroi«. Ta, którą czytam teraz, nosi tytuł »Kandyd«. Jest dość dziwna, ale podoba mi się. Myślę jednak, że facet, który ją napisał, Voltaire, zbyt często używał tego samego

Szeregowy Bryan Carroll z Memphis w stanie Tennessee relaksuje się, czytając książkę na pokładzie okrętu desantowego. Opiera się na stosie swoich rzeczy, w tym hełmie i menażce, jesień 1944 r. FOT. BETTMANN/GETTY IMAGES



W kieszeni szeregowca Ryana



Radosław Wojtas

„Książki są bronią w wojnie idei” – brzmiało hasło amerykańskiej serii wydawniczej Armed Services Editions. To dlatego podczas drugiej wojny światowej z USA do Europy obok uzbrojenia i zapasów trafiały miliony książek. A żołnierze je pochłaniali



książek na różne odcinki teatru działań wojennych. Blisko milion niewysłanych egzemplarzy nie mógł ująć uwadze Rady ds. Książek na Czas Wojny. Obawiano się, że zainteresowanie książkami na froncie nie jest duże, że pomysł się nie sprawdził.

Było odwrotnie, żołnierze chętnie oddawali się lekturze, i to w najbardziej niespodziewanych okolicznościach. Emma Smith w książce „Przenośna magia. Historia książek i ich czytelników” przytacza wspomnienia piechura, który późnym latem 1944 r. w północnej Francji przygwożdżony na środku pola ogniem moździerzy i karabinów maszynowych salwował się ucieczką do rowu. Tam wybawieniem okazała się książka, którą miał przy sobie. „Wybrzuszenie w mojej kieszeni okazało się »Królową Wiktorią« [biografia królowej Wiktorii z 1921 r. autorstwa Lyttona Stracheya – przyp. R.W.] – mówił żołnierz. – Mogłem tylko czekać. Zacząłem czytać i okazało się to całkiem dobrym rozwiązaniem zamiast »umierania ze strachu«. Nad głową miałem ruch dwukierunkowy, nasze pociski leciały w ich stronę, ich nadlatywały i eksplodowały, a ja, pogrążony w lekturze, czytałem o »drogim, pięknym Albercie« i jego miękko opadającym wąsiku, który tak podziwiała królowa”.

Jeden z Amerykanów donosił z Wysp Marshalla, że żołnierze pochłaniają książki „przy słabym świetle latarki pod półosłoną, nawet po tym, jak już rozbrzmiała syrena alarmowa i powinni być w okopie”. Ktoś inny zapisał, że książki są czytane dopóty, dopóki się nie rozpadną. Pewien 20-latek, który „przeszedł piekło”, wyznawał w liście wdzięczności wysłanym do Rady ds. Książek na Czas Wojny (takich listów przychodziło wiele, mężczyźni pisywali też bezpośrednio do autorów, dziękując za ich dzieła), że jedna z przeczytanych na szpitalnym łóżku książek sprawiła, że znów poczuł się człowiekiem. „Niezwykłe, aby rzekomo zaprawiony w bojach żołnierz piechoty morskiej zrobił tak zniewieściałą rzecz, jak płacz nad kawałkiem fikcji” – pisał i przyznawał, że właśnie czyta tę samą książkę po raz trzeci.

BROŃ Z PAPIERU

Choć Rada ds. Książek na Czas Wojny powstała po ataku na Pearl Harbor, a pierwsze książki z serii Armed Services Editions wydrukowano w 1943 r., to genezy ASE doszukiwać można się wcześniej.



Amerykański ranny żołnierz zabija nudę w szpitalu polowym. Czyta książkę z serii Armed Services Editions. FOT. LOC

W 1940 r. przygotowujące się już do wojny Stany Zjednoczone wprowadziły obowiązek służby wojskowej i zmobilizowały rezerwistów. Chcąc zapewnić rozrywkę skoszarowanym mężczyznom, podjęto próby najpierw zakupu, a później zbiórki książek. Mimo że tylko w pierwszym miesiącu kampanii przekazywania książek dla żołnierzy zebrano prawie milion sztuk, to w dużej mierze para poszła w gwizdek, gdyż znaczą ich część armia odrzuciła jako nieodpowiednie dla żołnierzy. Zwłaszcza książki w dużych formatach i twardych oprawkach okazywały się zbyt nieporęczne.

Wyciągnięto wnioski. Wydania Armed Services Editions miały być lekkie i niewielkich rozmiarów. Żołnierz nie powinien czuć książki w kieszeni, aby móc mieć ją zawsze przy sobie i sięgnąć po nią w każdej chwili. Były to raczej pełne wydania, najobszerniejsze teksty wymagały jednak pewnych skrótów. Drukowano je w orientacji poziomej, w dwóch formatach: 5½ na 3¾ cala (ok. 14 na 9,8 cm)



Napis na stemple w książce dla żołnierzy: „Książki są bronią w wojnie idei”

FOT. THE HUNTINGTON LIBRARY, ART COLLECTIONS, AND BOTANICAL GARDENS/DEBORAH MILLER

gagu. Bohaterowie za każdym razem giną, a potem okazuje się, że jednak nie zginęli i opowiadają swoim przyjaciołom, co się w międzyczasie z nimi działo”.

Zgromadzenie i dostarczenie książek dla żołnierzy biorących udział w operacji „Overlord” wymagało zaangażowania służb specjalnych. Z oczywistych względów niezbędna była dyskrekcja. Przed D-Day wstrzymywano planowe wysyłki



Książki z serii Armed Services Editions

FOT. THE HUNTINGTON LIBRARY, ART COLLECTIONS, AND BOTANICAL GARDENS/DEBORAH MILLER.

oraz 6 1/2 na 4 1/2 cala (ok. 17 na 11 cm). Aby były wytrzymałe, zamiast kleju lub nici zastosowano metalowe zszywki. „Klej zjadają owady, szyte grzbiety pleśnieją, ale wasze książki ze zszywkami trzymają się naprawdę dobrze” – raportował oficer z placówki na południowym Pacyfiku. Nie marnowano ani skrawka papieru. Stosowano wąskie marginesy, do minimum ograniczono wolne miejsce na każdej stronie, tekst układano w dwóch kolumnach.

Produkcja książek miała być jak najtańsza. Posiadacze praw autorskich zgadzali się na niską opłatę licencyjną, ale w zamian mieli gwarantowany wysoki nakład. Koszt jednego egzemplarza – 6 centów. Część księgarzy obawiała się, że tania masówka zaleje rynek i doprowadzi ich do bankructwa. Wychodząc tym obawom naprzeciw, zaproponowano regulacje prawne zakazujące krajowej dystrybucji i powojennej odsprzedaży nadwyżki większości tytułów. W projekt włączyło się ponad 70 wydawców i kilkanaście drukarni.

Wśród ponad 1,3 tys. tytułów Armed Services Editions każdy miał znaleźć coś dla siebie. Wydawano dzieła klasyczne, poezję, książki historyczne, biografie, poważną literaturę faktu, a także ówczesne bestsellery, westerny, horrory, komedie. Raczej kładziono nacisk na rozrywkę – żołnierze mieli szukać w tych opowieściach ucieczki od wojennej traumy. Pозиcje opisujące dojrzewanie czy życie rodzinne, takie jak „A Tree Grows in Brooklyn” czy „Chicken Every Sunday”, pozwalały wrócić myślami do domu. A także przypominały, o co toczy się walka. Ponadprzeciętną popularnością

cieszyły się tytuły, w których odważnie i dużo pisano o seksie. Niezależnie od gatunku. „Książki są tak popularne jak pin-up girls” – donosił żołnierz stacjonujący na Nowej Gwinei.

Książki podnosiły morale, wykorzystywano je też w propagandzie. Akcję dostarczania Amerykanom literatury na front, wybór tak wielu różnorodnych tytułów, przeciwstawiano paleniu książek w III Rzeszy. „Ludzie z krajów Osi są siłą powstrzymywani od poznawania faktów dotyczących aktualnych wydarzeń i mówi się im, co mają myśleć – pisał »The New York Times«. – Ludzie w tym wolnym kraju mają dostęp do prawdy widzianej oczyma wolnych ludzi i z pełnym zaufaniem pozwala się im myśleć samodzielnie”.

ZWYCIĘSTWO LITERATURY

Przez żołnierskie ręce przewinęły się ponad 122 mln egzemplarzy książek. Ich oddziaływanie na czytających je mężczyzn nie zakończyło się wraz z powrotem do kraju po zwycięstwie aliantów. Armed Services Editions wykreowała bestsellery, pomogła wielu tytułom zaistnieć. Na przykład 155 tys. egzemplarzy „Wielkiego Gatsby’ego” Francisca Scotta Fitzgeralda wydanych w cyklu ASE to sześciokrotnie więcej niż wydrukowano przez pierwsze 20 lat po jej debiucie w roku 1925. Badania z 1931 r. pokazywały, że 19 na 20 książek sprzedawanych przez duże wydawnictwa kosztowało ponad 2 dol., co było wydatkiem, na który – nawet przed wielkim kryzysem – nie każdy mógł sobie pozwolić. A jeśli nawet kogoś było stać, to nie tak łat-

two mógł je zdobyć. W dwóch hrabstwach na trzy nie było żadnej księgarni. Duża część Amerykanów była skazana na kupowanie książek z katalogów wysyłkowych.

Co prawda, tanie książki w papierowej oprawie zaczęły pojawiać się na rynku jeszcze przed Armed Services Editions, ale to właśnie ASE zdaniem Emmy Smith z Uniwersytetu Oksfordzkiego odmieniła myślenie o książkach. „Książka w miękkiej oprawie na stoliku nocnym, tani przedruk jakiejś pozycji z klasyki, gruba powieść o wartkiej intrydze, którą chętnie kupujemy na lotnisku – wszystkie te publikacje to bezpośrednie spadkobierczynie tej wojowniczej marki wydawniczej”.

Wojna się skończyła, ale nawyk czytelniczy pozostał. Yoni Appelbaum, historyk i dziennikarz „The Atlantic”, twierdzi, że rozdanie ponad 122 mln książek „stworzyło naród czytelników”. Jeszcze w trakcie wojny Joe Allen, który z Rady ds. Książek na Czas Wojny trafił do armii jako szeregowy żołnierz, pisał: „Zaszczepiacie w nich – niezależnie od tego, czy jesteście tego świadomi czy nie – zamiłowanie do dobrej lektury, które z pewnością przetrwa po zwycięstwie. Widziałem wielu ludzi, którzy nigdy przedtem nie mieli cierpliwości ani ochoty, aby przeczytać książkę, a teraz sięgają po jedną z książek Rady, pochłaniają ją i proszą o więcej”.

Obawy, że masowe, tanie książki wpędzą branżę czytelniczą w kryzys, okazały się nieuzasadnione. Przeciwnie – liczba czytelników i zainteresowanie książkami sprawiły, że powojenne lata były dla niej złotym okresem. Nawyk czytania i pogłębiania wiedzy nie pozostał bez wpływu na zainteresowanie programem zasiłków edukacyjnych wprowadzonych tzw. GI Bill. Skorzystało z nich prawie 8 mln weteranów – ok. 2,2 mln wybrało college’e lub uniwersytety, a ok. 5,6 mln różne programy szkoleniowe.

To było prawdziwe zwycięstwo książek.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Korzystałem m.in. z książki „Przenośna magia. Historia książek i ich czytelników” Emmy Smith (tłum. Aleksander Gomola, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego/bo.wiem, 2024).



LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Szkolna agentura UB

Celem Stalina było stworzenie „człowieka nowego pokroju”. Cokolwiek to znaczy, w znacznej mierze mu się to udało. Celem rewolucji bolszewickiej i jej następstw było bowiem zniszczenie fundamentów starego ładu. Wszelkiej wiary jako takiej, rodziny, tradycji, przerobienie historii „na naszą”, aby to, co było, przestało istnieć, a w to miejsce wprowadzić to, czego nie było. Ten program, zaplanowany z rozmachem, wymagał codziennej, nieustającej akcji, czyli nie tylko docierania do mas z propagandą, lecz także coraz bardziej dokładnej kontroli rzeczywistości. Dziś już mało kto wie, że Polska Ludowa była tworem agenturalnym nie tylko na zewnątrz (jako produkt Związku Sowieckiego), lecz także od wewnątrz. Temu miała służyć coraz bardziej liczna agentura, jako narzędzie kontroli ludzi, ich myśli i zachowań. Dziś bazowanie wyłącznie na formalnych instrukcjach i nakazach może być drogą donikąd. Jakże bowiem brać na poważnie zakaz werbowania członków partii komunistycznej (PPR-PZPR) przez organa bezpieczeństwa, skoro nie był on przestrzegany i istniała w tym zakresie dość swobodna praktyka?

Podobnie jeśli chodzi o wiek agentury. Przekaz był wprawdzie wyraźny – agent (i wszelkie odpowiadające mu kategorie) musiał być pełnoletni. I co z tego, skoro werbo-

wanie odbywało się „na ilość” i trzeba było zatem sięgać po coraz szersze zaplecze?

W notatkach z narady wojewódzkich i powiatowych urzędów bezpieczeństwa z 1954 r. wynika, że ta instytucja zapuszczała swe macki również wśród młodzieży szkolnej. Było to m.in. nastawienie „o konieczności posiadania w każdej klasie szkolnej kontaktu poufnego”. Być może w praktyce nie objęło to wszystkich szkół (oczywiście średnich), ale skala zjawiska musiała być olbrzymia, skoro stała się przedmiotem takiej narady. W pewnym przypadku ubek, który „zwerbował” ucznia (chodziło o to, aby obserwował z okna własnego mieszkania, co widzi, i meldował „władzy”), zaklasyfikował go pod kryptonimem... Nauczyciel.

Nie znamy skali tego zjawiska. Zapewne większość owych szkolnych „kontaktów poufnych” została w jakiś sposób od tego zmuszona. Co robili po wejściu na dorosłe już życie? Czy nadal „stukali”, szantażowani niedawną przeszłością? Była to już postawa, cytując pewnego klasyka z tego zakresu: „nie chcem, ale muszem” – choć akurat on chciał, ale nie musiał.

Gdy w 1992 r. pojawiła się zapowiedź lustracji, zapanał wszechobecny strach. Dziś już wiemy dlaczego. „Takie będą Rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie” – napisał onegdaj Jan Zamoyski. Dziś mamy drugie i trzecie pokolenie „ludzi UB”. ©©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Mistrzowski odwrot

W naszej literaturze historycznej możemy mnożyć przykłady „moralnych zwycięstw” czy też „zwycięskich odwrotów”. Tak naprawdę tylko jedna sytuacja z naszych dziejów zasługuje jednak na to drugie określenie. Szkoda, że pozostaje niemal całkowicie nieznana. Mało kto sobie bowiem zdaje sprawę z tego, że gdyby nie mistrzowskie (nie ma w tym słowie żadnej przesady) dowodzenie gen. Edwarda Śmigłego-Rydza podczas odwrotu z Kijowa, to zapewne losy Bitwy Warszawskiej potoczyłyby się inaczej. A wraz z nimi Europy i świata.

Siły rosyjskie były trzykrotnie liczniejsze. Wprawdzie przewagę ilościową Polacy częściowo niwelowali lepszym wyszkoleniem i dobrą artylerią, jednak praktycznie każde z czterech bolszewickich ugrupowań atakujących Kijów powinno samodzielnie poradzić sobie z wojskami „Śmigłego”. Na szczęście stało się inaczej.

Rozkaz odwrotu dotarł do Kijowa (samolotem) po południu 9 czerwca 1920 r. i niemal od razu rozpoczęto ewakuację. Miasto opuszczali jednak nie tylko żołnierze, lecz także tysiące cywilów – zarówno obywateli Kijowa narodowości polskiej, jak i Ukraińców oraz przedstawicieli dyplomatycznych przy rządzie Petlury. Podróżowali oni kilkudziesięcioma pociągami, jadącymi w tempie marszu pieszego, które pod osłoną ciągle walczącej z bolszewika-

mi armii po kilku tygodniach dotarły za Bug.

Potwierdzeniem znakomitego przeprowadzonego odwrotu była rozmowa przeprowadzona w marcu 1942 r. pomiędzy Stalinem a gen. Andersem. Kremlowskiemu dyktatorowi najwyraźniej sprawa mocno utkwiła w pamięci, gdy bowiem rozmowa zeszła na Śmigłego-Rydza, zauważył, że był on „niezłym dowódcą, w 1920 r. dobrze dowodził na Ukrainie”. Rzadko zdarzało się, by Stalin wypowiadał się pozytywnie o swoich przeciwnikach, szczególnie jeżeli doznał z ich ręki niepowodzeń...

Przez całe lata trwała (i zapewne długo trwać będzie) dyskusja o Bitwie Warszawskiej. Zawsze padało wówczas sakramentalne pytanie: Kto był ojcem zwycięstwa? Kandydatów jest wielu: Józef Piłsudski, który bitwą dowodził; jego szef sztabu Tadeusz Rozwadowski; Maxime Weygand, który był słynnym gościem z zagranicy; a nawet Józef Haller, nominalny dowódca Armii Ochotniczej. Prawdziwym jednak architektem polskiego sukcesu był Edward Śmigły-Rydz. Gdyby jego wojska uciekały przed zagonami Jegorowa i Budionnego w takim samym tempie, jak na Białorusi wycofywano się przed Tuchaczewskim, Warszawa bez problemu zostałaby zdobyta. Nie byłoby bowiem ani sił do wyprowadzenia uderzenia znad Wieprza, ani miejsca, skąd uderzenie to można byłoby wprowadzić. ©©



Borys Jecyn i Władimir Putin FOT. AFP/EAST NEWS

Kto zdradził rosyjską opozycję



Maciej Pieczyński

Rosyjska opozycja kłóci się o to, skąd się wziął Putin: z KGB czy ze świata oligarchów, skupionych wokół Jecyna? Najbliższa prawdy jest następująca teza: nie byłoby dyktatury na Kremlu, gdyby nie prozachodni liberałowie i demokraci

Nie milkną echa głośnego serialu dokumentalnego „Zdrajcy” (ros. „Priedatieli”), nakręconego i wyemitowanego w Internecie przez Fundację Walki z Korupcją (FBK). FBK to bodaj najważniejsza i najsprawniejsza organizacja w szerokim spektrum opozycji antyputinowskiej. Założycielem i wieloletnim szefem fundacji był nieżyjący Aleksiej Nawalny. Obecnie na jej czele stoi Maria Piewczich. W serialu odgrywa rolę zarówno scenarzysty, jak i narratora. „Zdrajcy” to opowieść o korzeniach obecnego systemu władzy na Kremlu. Jak przekonuje Piewczich, żeby zbudować Rosję bez Putina, trzeba najpierw poznać prawdę o tym, skąd wziął się Putin.

W sierpniu 2023 r. przebywający w kolonii karnej Nawalny w głośnym tekście „Mój strach i nienawiść” oskarżył Jecyna i jego ludzi o to, że wbrew głoszonym przez siebie hasłom utorowali drogę dyktaturze. Rozkradli majątek państwowy,

tłumili opozycję, fałszowali wybory, a potem wynieśli do tronu byłego kagebiście. A przecież obiecywali budowę demokratycznej, wolnej, prozachodniej Rosji. Te nadzieje jednak zawiedli. „Zdradzili” Rosjan marzących o zmianach. Stąd właśnie tytuł serialu, dla którego tekst Nawalnego był inspiracją.

METODY JELCYNA

Rosja lat 90., opisana przez Marię Piewczich, to Rosja rządzona przez grupę oligarchów, wpływających na Jelcyna za pośrednictwem duetu „Tani i Walii”. „Tania” to córka prezydenta Tatiana Diaczenko. „Walia” to jej (wtedy przyszły) mąż Walentin Jumaszew – dziennikarz, który za nakręcenie pochlebnego reportażu o Jelcynie dostał od niego mieszkanie, a później został jedną z najważniejszych osób w kraju. Oligarchowie wykorzystywali wpływ na Jelcyna, aby uwłaszczać się na państwowym majątku. Opłacali otaczających prezydenta polityków, aby przekonywali go do decyzji, które były dla nich korzystne.

Borys Bierzowski za pośrednictwem „słupów” wykupił znajdującą się na granicy bankructwa państwową telewizję ORT, która później w jego rękach stała się narzędziem walki propagandowej o reelekcję prezydenta. Stację finansował później Roman Abramowicz. W ten sposób rewanżował się za konkretną pomoc. Bierzowski namówił Jelcyna do fuzji i prywatyzacji dwóch przedsiębiorstw państwowych, które trafiły następnie w ręce Abramowicza, czyniąc go potentatem naftowym. Dyrektor jednego z przedsiębiorstw, który nie zgadzał się na fuzję, zginął w tajemniczych okolicznościach.

Mianem „najbardziej haniebnego” procederu epoki jalcynowskiej Maria Piewczich określa tzw. aukcje zastawne. Polegały one na tym, że państwo zaciągało kredyty w należących do oligarchów prywatnych bankach, dając pod zastaw akcje strategicznych przedsiębiorstw. Aukcje były fikcją. W rzeczywistości bowiem to była zawałowana forma prywatyzacji. Kreml dogadał się z oligarchami, że przedsiębiorstwa zostaną w ich rękach, ale pod pewnym konkretnym warunkiem. Banki miały wypłacić pieniądze od razu. Wyznaczono termin: jeśli do jesieni 1996 r. państwo nie spłaci

Sondaże nie dawały Jelcynowi praktycznie żadnych szans na zwycięstwo. Jednak, jak to określiła Piewczich, demokraci „ukradli wybory”

kredytu, to rzeczne firmy przejmą kredytodawcy. A tak się składa, że latem 1996 r. odbywały się wybory prezydenckie. Jedynym gwarantem przejścia zastawionego majątku narodowego był Jelcyn. Dlatego też oligarchowie zrobili wszystko, aby wygrał. Wśród beneficjentów tej złodziejskiej prywatyzacji był m.in. Michaił Chodorkowski, późniejszy przeciwnik i więzień polityczny Putina, dziś jedna z najważniejszych postaci rosyjskiej opozycji.

Bierzowski również pod koniec życia zyskał sławę opozycjonisty, bo w pewnym momencie zbuntował się przeciwko Putinowi, którego wcześniej popierał. De facto oligarchowie kupowali za grosze majątek narodowy, na którym później zarobili miliardy. Zapłacili niebotyczne (po 90 tys. dol.) honoraria reformatorom – urzędnikom z ekipy Jelcyna, za napisanie krótkich tekstów do książki „Prywatyzacja po rosyjsku”. Jednym z autorów był ówczesny wicepremier i minister finansów Anatolij Czubajsa. Stracił za to stanowisko. Za tzw. sprawę pisarzy nikt nie poniósł karnej odpowiedzialności. Zdaniem Piewczich honoraria były łapówką, wręczoną w zamian za organizację „aukcji zastawnych”.

SAMOWZWAŃCZA ELITA

Faworytem wyborów prezydenckich 1996 r. był lider komunistów Gienadij Ziuganow, którego partia dopiero co wygrała wybory parlamentarne. Sondaże nie dawały Jelcynowi praktycznie żadnych szans na zwycięstwo. Rosjanie byli niezadowoleni ze skutków przemian ustrojowych i mieli dość wiecznie pijanego prezydenta. Jednak, jak to określiła Piewczich, demokraci „ukradli wybory”. Dzięki pieniądзом oligarchów, „zarobionym” na kradzieży majątku narodowego. Nie ma dowodów na fałszerstwa. Kampania była jednak nieuczciwa. Oligarchowie przepukili

byłego wicepremiera Anatolija Czubajsa, aby przekonał Jelcyna do utworzenia nieoficjalnego sztabu wyborczego, finansowanego przez oligarchów właśnie, którzy, według szacunków Piewczich, na kampanię wydali miliard dolarów. Nielegalnie. Szef FSB i szef ochrony prezydenta, którzy tworzyli oficjalny sztab Jelcyna, polowali na swoich konkurentów ze sztabu nieoficjalnego. Gdy jednak współpracowników Czubajsa przyłapano z gotówką niewiadomego pochodzenia, sprawie spektakularnie ukręcono łeb. Jelcyn zwolnił nie tylko szefa FSB i szefa swojej ochrony, lecz także wicepremiera. Zdobł to za namową córki, którą z kolei namówili oligarchowie.

Za kandydaturą Jelcyna agitowały wielkie gwiazdy rosyjskiej popkultury. Urzędującego prezydenta praktycznie otwarcie wspierały największe telewizje – państwowe i prywatne, należące do oligarchów. Do tego dochodziła kampania czarnego PR. Drukowano plakaty i okolicznościowe gazetki z hasłami typu „Ziug heil” (nawiązanie do nazistowskiego pozdrowienia) czy „kup jedzenie po raz ostatni” (bo do władzy dojdą komuniści i nie będzie niczego). Oligarchowie opłacali też kampanię gen. Aleksandra Lebiedzia, który – jako „kandydat spoiler” – miał odbierać głosy Ziuganowowi. Zdaniem Piewczich to nie był wybór między „recydywą totalitaryzmu” a „świetlaną demokratyczną przyszłością”, jak przedstawiała to jalcynowska propaganda. Bo Ziuganow nie chciał powrotu ZSRS, a reelekcja Jelcyna potrzebna była oligarchom, by dalej okradać Rosję i rządzić nią z tylnego fotela. I tak też się stało. A kilka lat później również oligarchowie i „demokraci” znaleźli Jelcynowi następcę – Putina. Nie raziło ich, że jeszcze jako wicemer Petersburga brał łapówki i miał związki z przestępczością zorganizowaną. Gdy jego ówczesny szef Anatolij Sobczak został oskarżony o korupcję, Putin pomógł mu uciec z kraju. I ten fakt, zdaniem Piewczich, był w wyborze następcy decydujący. „Rodzina” (jak nazywano otoczenie Jelcyna) postawiła na Putina, bo był lojalny. „Sobczaka nie sprzedał, więc i nas nie sprzeda” – miała powiedzieć Tatiana Djaczenko. Tak też się w zasadzie stało. Putin, wyniesiony do władzy przez „rodzinę”, zagwarantował jej członkom

■ bezkarność. Rozprawiał się tylko z tymi oligarchami, którzy postanowili przeciwko niemu się zbuntować.

Piewczich nazywa skupionych wokół Jelcyna polityków i oligarchów „samozwańczą elitą”, która niepostrzeżenie „niszczyła wolność”, wypaczając idee demokratyczne. „Mieli szansę uczynić Rosję bogatym, europejskim krajem, ale tę szansę sprzedali za osobistą korzyść” – twierdzi Piewczich. Jej zdaniem to właśnie w latach 90. został położony fundament, na którym „rozkwitł bandycko-czekistowski reżim Putina”. Położony przez liberalnych demokratów, którzy obiecali uczynić Rosję nowoczesnym, kapitalistycznym, demokratycznym krajem.

Serial wywołał ogromne kontrowersje. Zabolał tych, którzy sami wywodzą się z liberalnych elit lat 90., a obecnie występują przeciwko Putinowi. Chodorkowski oskarżył ludzi Nawalnego o próbę doprowadzenia do rozłamu w opozycji. O szefowej FBK protekcyjnie stwierdza, że jest za młoda, aby pamiętać, co naprawdę działo się w epoce Jelcyna. Piewczich była krytykowana za to, że zamiast skupić się na krytyce Putina, niepostrzeżenie koncentruje się na przeszłości. Sugerowano, że serial niczym nie różni się od oficjalnej kremlowskiej propagandy. Zarzucano twórcom rzekome fałszerstwa historyczne. Obronę Ziuganowa odczytano jako próbę przypodobania się elektoratowi komunistów. Dokumentalista Arsienij Gonczukow nazwał serial „głupią, naiwną twórczością idiotów”, którzy posługują się bolszewicką argumentacją, bo np. zarzucają Jelcynowi, że miał drogie mieszkanie.

Opozycyjny bloger i działacz Maksym Kac zrównał serial z produkcjami państwowej telewizji NTW, gdzie ogólnie znanymi faktami manipuluje się tak, aby pasowały pod propagandową tezę. Mieszkający w Polsce dramaturg i reżyser rosyjski Iwan Wyrpajew ironicznie nazywa Marię Piewczich „małą, obrażoną dziewczynką”, która jest wielce zdziwiona, że źli ludzie zachowują się nieuczciwie. Jednocześnie chwali serial jako świetnie nakręcony i trzymający w napięciu. Pojawiło się też wiele pozytywnych recenzji. Za serial podziękowała znana reportażystka Jelena Kostiučenko. Ekonomista Władisław Inoziemcew stwierdził, że Piewczich dobrze pokazuje

degradację elit rosyjskich. Skrytykował też bohaterów serialu za to, że nie chcą przyznać się do błędów, popełnionych w latach 90. Dziwił się też, jak można oskarżać FBK o działanie na szkodę „jedności opozycji rosyjskiej”, skoro tak naprawdę nie istnieją ani rzeczona „jedność”, ani nawet rzeczona „opozycja”.

Zdaniem historyka Andrieja Zubowa „Zdraycy” pokazują prawdziwy obraz lat 90., ale nie dają rzetelnej odpowiedzi na pytanie, jak to się stało, że rewolucja demokratyczna w Rosji doprowadziła ostatecznie do zwycięstwa tyranii. Bo – jak przekonuje Zubow – wszechwładza oligarchów i skorumpowanych polityków wcale nie musiała ewoluować w stronę dyktatury. Według historyka Piewczich pominęła trzy ważne przyczy-

Dyktatura zrodziła się nie wtedy, gdy oligarchowie kupili Jelcynowi zwycięstwo, ale wtedy, gdy Jelcyn rozstrzelał parlament. Jesienią 1993 r.

ny dojścia Putina do władzy. Po pierwsze, rolę KGB. Jelcyn bowiem oparł swoją władzę nie tylko na oligarchach, lecz także na ludziach służb. Po drugie, to, że po rozpadzie ZSRS, zamiast oddać zagrabiony majątek jego prawowitym właścicielom, urządzono bandycką prywatyzację. Po trzecie, w Rosji nigdy nie doszło do prawdziwej dekomunizacji.

NARODZINY DYKTATURY

Kremlowska propaganda z satysfakcją odnotowywała spory między opozycjonistami. Absurdem byłoby jednak twierdzenie, jakoby Maria Piewczich odgrywała rolę „pożytecznej idiotki” Putina. Serial, co prawda, wpisuje się w oficjalną rządową narrację o „lichych latach 90.”. Jednak wedle owej oficjalnej narracji Putin zaprowadził porządek, rozprawiając się z chaosem epoki Jelcyna. Z kolei Piewczich uważa, że właśnie z tego chaosu zrodził się Putin. I w dużej mierze ma rację.

Naiwnością byłoby twierdzenie, że w latach 90. Rosją rządili uczciwi demokraci i kapitaliści, którzy próbowali zre-

formować kraj, ale na ich drodze stanął zły dyktator Putin. Wydaje się jednak, że diagnoza postawiona w „Zdraycach” nie wyczerpuje tematu. Piewczich, jak przystało na szefową Fundacji Walki z Korupcją, zgodnie z profilem swojej organizacji skupia się na krytyce skorumpowanej władzy i chciwych oligarchów. Koncentruje się wokół gospodarki i finansów. Rację ma Zubow, że machlojki Jelcyna nie wystarczyły, aby zrodzić dyktaturę.

Dlatego warto wspomnieć o tym, o czym milczą zarówno szefowa FBK, jak i jej adwersarze, weterani liberalnej demokracji lat 90. Otóż dyktatura zrodziła się nie wtedy, gdy oligarchowie kupili Jelcynowi zwycięstwo, ale wtedy, gdy Jelcyn rozstrzelał parlament. Jesienią 1993 r. Wtedy rolę parlamentu odgrywały, powstałe jeszcze w ZSRS, za Gorbaczowa, Rada Najwyższa oraz Zjazd Deputowanych Ludowych. Miały ogromne prerogatywy. Jelcyn chciał osłabić ich władzę i wzmocnić własną. Podjął decyzję o rozwiązaniu parlamentu, łamiąc obowiązującą wtedy konstytucję. Sam to zresztą otwarcie przyznawał. Deputowani ustąpić nie zamierzali. Wokół „Białego Domu” (jak nazywano siedzibę parlamentu) zgromadziły się tłumy zwolenników, w tym bojówk. Doszło do starć. Zginęło kilkaset osób. Jelcyn wysłał czołgi na „Biały Dom”. W ten sposób przeforsował nową konstytucję, wprowadzającą w Rosji system de facto superprezydencki.

Dał przykład, jak rozprawiać się z opozycją. A Zachód „egzekucji parlamentu” przyklasnął. W ławach parlamentu zasiadali bowiem w sporej części nacjonaliści i komuniści, marzący o odbudowie ZSRS. Uznano, że do nich można strzelać, w imię zwycięstwa demokracji. Jelcyn dla USA nie był nawet „naszym suki synem”, był po prostu „nasz”. Liberali i demokraci, zwolennicy prywatyzacji. Co prawda, złodziejskiej, polegającej na przejęciu majątku narodowego przez dawnych komunistów, którzy przepracowali się na demokratów i stali się oligarchami. Ale to nie miało znaczenia. Ważne, że Jelcyn doprowadził do rozpadu ZSRS, a po jego rozpadzie szermował liberalną retoryką. Zachód poparł prozachodniego dyktatora. Nie przewidział jednak, że jego miejsce zajmie kiedyś antyzachodni dyktator...

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Agnieszka Golańska-Bault

Francuska władza nie chce mówić o prawdziwych problemach trawiących kraj. Woli zamykać i cenzurować tych, którzy o nich przypominają

Totalitarno-autorytarny dryf zachodnich demokracji liberalnych, który ujawnił się w sposób szczególnie przy okazji próby zakazu międzynarodowej konferencji konserwatystów w Brukseli w połowie kwietnia, obserwować można od lat, śledząc bieżące wydarzenia w sąsiedniej Francji. Kraj ten, szczytający się wolnościowymi tradycjami i rewolucyjnym duchem, staje się dziś prekursorem najbardziej drastycznego ograniczania wolności osobistych i praw stanowiących trzon tego, co do niedawna za demokrację uważaliśmy, brutalnie łamiąc prawo do stowarzyszania się, wolności opinii i wypowiedzi. Na celowniku rządu Emmanuela Macrona i jego ministra spraw wewnętrznych Géralda Darmanina znajdują się przede wszystkim organizacje prawicowe i konserwatywne, a w ostatnim czasie także apolityczne stowarzyszenia katolickie. Od początku prezydentury Macrona (czyli od 2017 r.) do końca ubiegłego roku zakazano działalności aż 34 tego rodzaju grupom, co stanowi absolutny rekord w czasach V Republiki.

ŚCIGANI

12 marca lewicowy dziennik „Libération” donosił: „Dwunastu dawnych aktywistów ultrapravicowej grupy Génération Identitaire, oskarżonych o nielegalne odtworzenie stowarzyszenia pod nazwą Argos, zostało zatrzymanych przez policję [...]. Cztery inne osoby wciąż są poszukiwane”. Zatrzymania miały miejsce w całej Francji, domy aresztowanych zostały przeszukane, a sami oskarżeni poddani wielogodzinnym przesłuchaniom. Grozi im nawet do pięciu lat więzienia i 75 tys. euro grzywny.

Kim są ci niebezpieczni ludzie bezwzględnie ścigani przez francuskie

państwo? W większości chodzi o byłych członków zdelegalizowanej w 2021 r. na mocy decyzji ministra spraw wewnętrznych grupy Génération Identitaire (Pokolenie Tożsamościowe) znanej ze świetnie organizowanych i medialnie nagłaśnianych pokojowych i legalnych akcji protestacyjnych przeciwko proimigranckiej polityce rządu.

W kwietniu 2018 r. ok. 100 młodych aktywistów przeprowadziło np. akcję w alpejskiej przełęczy Col de l'Échelle na granicy z Włochami. Za pomocą helikopterów i ciężarówek utworzyli w górskim przesmyku symboliczny graniczny punkt kontrolny pod szyldem „Defend Europe”, aby zaprotestować przeciw niekontrolowanemu napływowi imigrantów. Choć służby porządkowe oddelegowane na miejsce demonstracji nie stwierdziły żadnych incydentów niezgodnych z prawem, to fran-

skazanych przez sąd pierwszej instancji na surowe kary sześciu miesięcy pozbawienia wolności i 2 tys. euro grzywny. Osobną grzywną w wysokości 75 tys. euro obciążono samą organizację.

Podobnie kary wymierzone zostały po innym pokojowym proteście, gdy grupa młodych działaczy weszła na dach nieukończonego meczetu w Poitiers, by rozwinąć na nim banner z nazwą organizacji. Sam meczet budowany był za katarskie pieniądze, jego imam związany jest z Bractwem Muzułmańskim, a świątynia poświęcona jest muzułmańskiemu męczennikowi poległym w bitwie pod Poitiers w 732 r., kiedy to armia frankijska zatrzymała inwazję islamską na Europę. Procesy sądowe aktywistów Génération Identitaire trwały wiele lat, ale wszyscy oni zostali w apelacji oczyszczeni ze wszelkich zarzutów; nie

Dezintegracja francuskich konserwatystów

cuskie media mainstreamowe zaklasyfikowały protest jako skrajnie prawicowy czy wręcz nazistowski, a oskarżenia przybrały wkrótce formę kuriozalnych pozwów. I tak prokurator miasta Gap, oskarżając tożsamościowców, powołał się na prawo zabraniające podejmowania działań, które mogłyby być pomyłone z wykonywaniem obowiązków funkcjonariusza publicznego. Było to jednak o tyle zaskakujące, że wszyscy aktywiści ubrani byli w kurtki z napisem „Defend Europe” i nie sposób było ich pomylić z funkcjonariuszami straży granicznej, a sam protest był nagłaśniany w mediach jako akcja obywatelska. Pomimo absurdalnych zarzutów trzech członków Génération Identitaire zostało

ostały się oskarżenia o stosowanie mowy nienawiści, o nawoływanie do przemocy czy jej stosowanie, o okupowanie meczetu czy tworzenie bojówek paramilitarnych. Jeszcze przed ich uniewinnieniem niektórzy liderzy tych akcji stracili pracę na skutek presji wywieranych na ich pracodawców.

W świetle tych faktów decyzja o delegalizacji organizacji, odwołująca się do zarzutów wielokrotnie obalonych przez francuskie sądy, jawi się jako całkowicie arbitralna. W jej następstwie tropienie i nękanie młodych aktywistów jednak się nasiliło. Grupie i jej członkom wytoczono całą serię procesów za wpisy w mediach społecznościowych, bannery wywieszane

■ w przestrzeni publicznej i innego rodzaju akcje, takie jak protest zorganizowany w Marsylii w siedzibie SOS Méditerranée, organizacji oskarżanej o sprowadzanie nielegalnych imigrantów z wybrzeży Libii, a polegający na wejściu do lokalu i wywieśzieniu z okien transparentu z hasłem „SOS Méditerranée współwinny handlu ludźmi”. W tej sprawie zapadły niezwykle surowe wyroki: dwie osoby zostały skazane na 1,5 roku bezwzględnego więzienia, a 21 osób na więzienie w zawieszeniu i ponad 90 tys. euro grzywny.

Niekorzystne dla tożsamościowców orzeczenia sądowe, wydawane po delegacji grupy, stały się sposobem legitymizacji post factum tej decyzji. Mają one również działać odstraszaюще na tych, których nadal nie udaje się uciszyć. „Rozbita” właśnie w zakrojonej na szeroką skalę akcji nowa grupa Argos, organizując protesty, jak ten pod domem, w którym mieszkał imigrant – domniemany sprawca brutalnego gwałtu na 29-letniej Megan – czy inny, związany z zaszytletowaniem na wiejskim balu przez bandę antybiałych rasistów 18-letniego Thomasa, odważnie wytykała rządowi Macrona jego nieudolność i złą wolę w zarządzaniu kryzysem migracyjnym we Francji.

CENZURA PREWENCYJNA

Jeszcze innym sposobem nękania nieprawomyślnych – a raczej należałoby powiedzieć „nielewomyślnych” – środowisk jest stosowanie wobec nich tzw. cenzury przewencyjnej. Bolesnie doświadczali tego rodzaju praktyk członkowie Institut Iliade pour la longue mémoire européenne, konserwatywnego stowarzyszenia, które – jak wskazuje jego nazwa – stawia sobie za cel promowanie i krzewienie wiedzy o europejskim dziedzictwie kulturowym, historycznym i cywilizacyjnym.

W maju ubiegłego roku usiłowali oni zorganizować w Paryżu sympozjum poświęcone pamięci Dominique’a Vennera w 10. rocznicę jego śmierci. Venner, w przeszłości działacz nacjonalistyczny i polityk, w ostatnich latach życia eseista i historyk, współzałożyciel Institut Iliade, popełnił spektakularne samobójstwo, strzelając sobie w głowę przed głównym ołtarzem Notre Dame w Paryżu, a w pozostawionym liście znaczenie swojego rozpaczliwego gestu wyjaśniał koniecznością budzenia sumień Francuzów, którym zagrażają pro-

cesy takie jak legalizacja tzw. małżeństw homoseksualnych, lecz przede wszystkim zjawisko „wielkiej wymiany” populacji Francji i Europy w wyniku niekontrolowanej masowej migracji.

Jak nietrudno się domyślić, konferencja poświęcona myśli Dominique’a Vennera nie wzbudziła entuzjazmu decydentów. Mimo że sam Institut Iliade nigdy wcześniej nie był oskarżany o niezgodne z prawem działania czy wypowiedzi, to sympozjum, choć było wydarzeniem zamkniętym, o charakterze prywatnym i dostępnym wyłącznie dla zaproszonych osób, zostało zakazane decyzją stołecznej prefektury policji. Zakaz został wydany w piątek wieczorem, lecz zakomunikowany organizatorom dopiero w sobotę po południu, 24 godziny przed planowanym rozpoczęciem konferencji, tak by unie możliwić Instytutowi skuteczne zaskarżenie tej decyzji w ramach szybkiej ścieżki sądowej. Jako powód zakazu podano ryzyko formułowania na sympozjum opinii uderzających w pewne kategorie ludzi definiowane przynależnością rasową, religijną, pochodzeniem lub orientacją seksualną. Jak zauważył Claude Chollet, współzałożyciel i sekretarz Instytutu, w wywiadzie dla Remix News z czerwca ubiegłego roku: „We Francji wkroczyliśmy w przestrzeń przewencyjnej sprawiedliwości, w którym władze spekulują z wyprzedzeniem na temat tego, co ludzie mogą myśleć i mówić [...]. Zagrożone są nie tylko wolność wypowiedzi, lecz także sama wolność opinii”.

Pod koniec ubiegłego roku minister spraw wewnętrznych zapowiedział delegalizację organizacji Academia Christiana. Zreszta ona młodych ludzi, w większości studentów, i proponuje im duchową oraz intelektualną formację w duchu tradycyjnego nauczania Kościoła katolickiego.

Stowarzyszenie oferuje m.in. letnie uniwersytety i warsztaty poświęcone historii, filozofii, literaturze, katechezie, a także w trosce o budowanie lokalnych wspólnot i integrowanie społeczności organizuje tradycyjne ludowe bale, festyny i święta. Publikuje książki, udostępnia w mediach społecznościowych konferencje i wywiady. Formalnie nie posiada członków, nie jest ruchem politycznym i nie organizuje demonstracji i wydarzeń, które mogłyby świadczyć o politycznym zaangażowaniu.

Aktywiści z Génération Identitaire w 2018 r. blokowali przejście na francusko-włoskiej granicy, by nie przechodzili nim nielegalni migranci

FOT. ROMAIN LAFABREGUE/AFP/EAST NEWS



Minister Darmanin, zapowiadając rychłe rozwiązanie stowarzyszenia, zarzucił mu m.in. antysemityzm, pozytywny stosunek do kolaboracji z nazistami w czasie drugiej wojny światowej, homofobie, pochwałę nierówności między kobietami i mężczyznami, nawoływanie do przemocy i nienawiści wobec imigrantów, tworzenie bojówek paramilitarnych. Victor Aubert, prezes Academia Christiana, w wywiadzie z listopada 2023 r. udzielonym portalowi Remix News wyjaśniał, że wszystkie te zarzuty bazują na manipulacji. „Akademia Christiana ma rzeczywiście raczej konserwatywne inspiracje. W pewnym sensie znajdujemy się w sytuacji, w której »postępowe myślenie« wydaje się prawem, o którego łamanie jesteśmy oskarżani z powodu



naszego konserwatywnego dyskursu”. Ten dyskurs to dla postępców „mysłobrodnia”.

Aubert wskazał również na podwójne standardy: gdy młody człowiek rozwinie banner krytykujący masową imigrację, trafia do więzienia, a ci, którzy popełniają brutalne przestępstwa, są bardzo szybko zwalniani przez sądy lub niemal natychmiast po zatrzymaniu wypuszczani na wolność przez policję. „Te sprawy się nawarstwiają i młodzi ludzie mogą ulegać pokusie stosowania przemocy, by wyrazić swój gniew, a stowarzyszenia takie jak Academia Christiana pomagają kanalizować złość i przemieniać ją w coś innego [...]. Nie zachęcamy do przemocy. Wręcz przeciwnie, zachęcamy młodych, by się angażowali, by myśleli długotermi-

nowo, zadając sobie pytanie: »Co mogę zrobić dla mojego upadającego kraju«?».

Zarzuty w sprawie katolickiego stowarzyszenia okazały się tak trudne do uwiarygodnienia, że do dziś, pomimo ciągłych pogroźek ze strony ministra Darmanina, decyzja o jego delegalizacji nie zapadła. Wszystkie organizacje rozwiązane przez centralne władze w ramach tzw. walki z przemocą i mową nienawiści starają się o unieważnienie tych decyzji, składając skargę do Rady Stanu (Conseil d'État), najwyższego francuskiego sądu administracyjnego. Cóż z tego, gdy sędziowie Rady Stanu są całkowicie podporządkowani władzy wykonawczej, a za „właściwie” wykonywaną pracę sędziów administracyjnych nagradzani są po upływie sędziowskiej

kadencji wysokimi stanowiskami w ministerstwach? Jedyną organizacją, która w ostatnich latach uzyskała w tym trybie unieważnienie decyzji o rozwiązaniu, była skrajnie lewicowa grupa aktywistów ekologicznych Les Soulèvements de la Terre, którym udowodniono nielegalne, brutalne działania protestacyjne – takiej decyzji Rady Stanu prawdopodobnie życzyła sobie władza wykonawcza chcąc zachować pozory, że uderza także w organizacje lewicowe.

W pierwszej połowie kwietnia podczas ulicznego festiwalu w Besançon młode aktywistki z konserwatywnej organizacji feministycznej Némésis (zwanej „ultraprawicową” w państwowych mediach) przeszły ulicami miasta z hasłami: „Zagraniczni gwałciciele won” i „Uwolnijcie nas od imigracji”. Chciały w ten sposób zaprotestować przeciwko bezwoli władzy wobec narastającego problemu aktów agresji wobec francuskich kobiet popełnianych przez mężczyzn ze środowisk imigranckich. Jedna z nich została zatrzymana, a dom jej rodziców został przeszukany. Grozi jej rok więzienia, choć poprzez swoją demonstrację chciała po prostu zwrócić uwagę opinii publicznej, że to francuska władza sama nie stosuje stanowionego przez siebie prawa, a zagraniczni przestępcy nie są wydaleni z Francji, do czego wielokrotnie zobowiązywał się rząd. Tylko w 2023 r. odnotowano aż 46 gwałtów popełnionych przez imigranckich recydywistów, wobec których wydano wcześniej – bezskutecznie – nakaz opuszczenia kraju. Dlaczego nadal przebywali we Francji i dlaczego byli na wolności?

To pytania, z którymi rząd Macrona nie chce się mierzyć. Rzeczywistość jest dla wszystkich bolesna, a dla elit niewygodna, dlatego, kurczowo trzymając się władzy i widząc realne ryzyko jej utraty, systematycznie i coraz dotkliwiej prześladowają one tych, którzy jawią się dla nich jako największe zagrożenie, gdyż o prawdziwych chorobach trawiących dziś Francję mają wciąż odwagę mówić publicznie. Czy to usztywnienie się francuskich elit jest, jak to już w historii bywało, oznaką wyczerpania się liberalnego francuskiego modelu władzy, zwiastunem końca pewnej epoki, a może nawet przyczynkiem do rewolty zniecierpliwionych i lekceważonych zachodnich społeczeństw?

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Piotr Włoczyk

Wrak zatopionego w XVIII w. u wybrzeży Kolumbii hiszpańskiego galeonu skrywa z swoich ładowniach skarb wart być może nawet 20 mld dol. Kto ostatecznie będzie miał prawo wyciągnąć go na powierzchnię?

Dowódca „San José” bardzo nie chciał wypływać z bezpiecznego portu w Portobelo (dzisiejsza Panama). José Fernández de Santillán doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że na skarby, które przewoził, polują Brytyjczycy, którzy dysponowali na Morzu Karaibskim potężnymi siłami. De Santillán nie miał jednak wyboru, ponieważ wielkimi krokami zbliżał się sezon huraganów i czekająca na niego w Hawanie eskorta atlantycka nie mogła dłużej czekać i musiała jak najszybciej wyruszyć do Hiszpanii. 28 maja 1708 r. „San José” wypłynął więc z Portobelo w kierunku Cartageny – miasta portowego znajdującej się na terenie Nowego Królestwa Granady (dzisiejsza Kolumbia). W Europie trwała właśnie wojna o sukcesję hiszpańską. Brytyjczycy koniecznie chcieli odciąć swoich przeciwników od bogactw, które sprowadzali oni z Nowego Świata. Skarby przewożone przez okręty de Santillána w niebagatelny sposób podreperowałyby budżet jednej ze stron tego konfliktu...

W hiszpańskim konwoju płynęło w sumie 18 jednostek, w tym trzy potężne i bardzo nowoczesne galeony. Obok uzbrojonego w 64 działa „San José” płynął bliźniaczy „San Joaquín”. Trzeci galeon, „Santa Cruz”, miał na pokładzie 44 działa. 8 czerwca Hiszpanie wpadli w zasadzkę niedaleko Cartageny. Cztery brytyjskie okręty pod dowództwem Charlesa Wagera dysponowały jeszcze większą siłą ognia, swoje robił też element zaskoczenia. Brytyjczycy wiedzieli, że największy łup czeka na nich w ładowniach „San José”. Ich główna jednostka, „Expedition” z 70 działami, wziął na cel najważniejszy hiszpański galeon. Brytyjczycy ostrzelali

wroga i szykowali się już do abordażu, gdy niespodziewanie „San José” wyleciał z powietrze i momentalnie zatonął. Z jego 600-osobowej załogi przeżyło tylko 11 ludzi. Brytyjczycy skupili się następnie na „San Joaquín”, ale jego kapitan zręcznie wymknął się obławie i uciekł do bezpiecznego portu w Cartagenie. W ręce ludzi Wagera wpadł „Santa Cruz”, ale w jego ładowniach znajdował się jedynie ułamek bogactw przewożonych na dwóch bliźniaczych galeonach.

SKOMPLIKOWANA GRA

„San José” zyskał z czasem miano „Świętego Graala wśród wraków”. Historycy nie znają drugiej spoczywającej na dnie morskim jednostki, która przewoziłaby większe bogactwa. W maju tego roku, 316 lat po zatonięciu „San José”, władze Kolumbii ogłosili, że przystępują do badania szczątków galeonu, ustanawiając wokół niego specjalnie chroniony obszar archeologiczny. Jest to wyjątkowo trudna operacja, ponieważ „San José” znajduje się na głębokości kilkuset metrów. Prezydent Kolumbii Gustavo Petro bardzo chce

jednak do 2026 r., gdy kończy się jego kadencja, wydobyć choć część zatopionych skarbów.

Tym samym rozpędu nabiera walka o prawa do ładunku, który przewoził galeon. Sytuacja jest tu jednak niezwykle skomplikowana. Wprawdzie jednostka spoczywa u wybrzeży Kolumbii, ale o swoje prawa dopominają się też rząd Hiszpanii, społeczności indiańskie, które twierdzą, że skarby z ładowni „San José” to owoc niewolniczej pracy ich przodków, a także amerykańska firma zajmująca się poszukiwaniem cennych wraków, która uważa, że jako pierwsza odnalazła galeon.

Sea Search Armada (SSA, wcześniej znana jako Glocca Morra) twierdzi, że zlokalizowała wrak „San José” już w 1981 r. i przekazała kolumbijskim władzom dane na ten temat. W 1984 r. miało nawet dojść do porozumienia między amerykańską firmą a Bogotą, na którego mocy odkrywcy mieli otrzymać prawa do 35 proc. skarbów z galeonu. SSA twierdzi jednak, że kolumbijskie władze złamały umowę, uniemożliwiając firmie próbę wydobywania kosztowności. Amerykanie walczą



Miliardy na

Galeon „San José” zatonął w 1708 r.

FOT. PRESIDENCIA DE COLOMBIA/EAST NEWS

dnie

z rządem Kolumbii przed tamtejszymi sądami o prawa do części skarbu wartego być może nawet 20 mld dol. W jego skład wchodzi nie tylko złote i srebrne monety, lecz także kamienie szlachetne.

Hiszpania stoi natomiast na stanowisku, że wrak „San José”, okrętu hiszpańskiej marynarki wojennej, ma pozostać nietknięty. „Kolumbia i Hiszpania mają obecnie świetne relacje i powinny dołożyć wszelkich starań, by ich interesy były zbieżne w tej kwestii” – zakomunikowało niedawno hiszpańskie ministerstwo kultury. Władze Hiszpanii nazywają wrak galeonu swoim „zatopionym bogactwem”.

Do gry weszły też społeczności indiańskie, m.in. Carangas i Chichas, z Boliwii, które twierdzą, że złoto i srebro z „San José” zostało wyrwane przez Hiszpanów przemocą z ziemi ich przodków.

José María Lancho, adwokat reprezentujący rdzenne grupy z Boliwii, domaga się w ich imieniu od Kolumbii i Hiszpanii praw do części skarbu w przypadku wydobycia go na powierzchnię.

„Nasze rdzenne społeczności uważają każde działanie polegające na jednostron-

nym zawłaszczeniu galeonu, bez konsultacji z nami i bez uznania jego wspólnego charakteru, jako grabież i neokolonializm” – napisali przedstawiciele wspomnianych rdzennych grup w liście do UNESCO i władz Hiszpanii, uderzając w tony, które stawiają zachodnie elity „na baczność”.

MERCEDES NA DNI

Władze Kolumbii przekonują, że dopiero w 2015 r. udało się odnaleźć wrak tamtejszej marynarki wojennej kilka kilometrów od miejsca wskazanego przez Amerykanów. A skoro tak, to nie mają oni żadnych praw do zawartości ładowni „San José”. Wiadomo, że szczątki galeonu spoczywają na głębokości kilkuset metrów, ale dokładne informacje na ten temat zostały utajnione. Na podwodnych zdjęciach z tamtego miejsca widać porzucane armaty, porcelanowe kubki, kadłub i wysypujące się z niego złote i srebrne monety...

SSA próbowała dochodzić swoich roszczeń przed amerykańskim sądem, jednak ta ścieżka nie okazała się zbyt szczęśliwa – sędzia uznał w 2011 r., że z powodu

lokalizacji wraku przy wybrzeżu Kolumbii „San José” pozostaje własnością tamtejszych władz. SSA jednak nie składa broni i wciąż walczy przed kolumbijskimi sądami o swoje. Jak twierdzi, władze Kolumbii groziły firmie użyciem wojska, jeżeli będzie próbowała zbliżyć się do wraku. „To ta sama mentalność, co w przypadku konkwistadorów” – kwitował Jack Harbeston, dyrektor zarządzający SSA.

Znalazca nie zawsze ma w takich sprawach mocne karty, co pokazuje historia procesów o skarby z zatopionych wraków. W 2007 r. inna amerykańska firma, Odyssey Marine Exploration (OME), natrafiła u południowych wybrzeży Portugalii, na głębokości ok. 1100 m, na szczątki hiszpańskiej fregaty „Nuestra Señora de las Mercedes”, która została zatopiona w 1804 r., również przez Brytyjczyków. Podwodne pojazdy OME wydobyły w niedługim czasie pół miliona srebrnych i złotych monet, wartych ok. 500 mln dol. OME chwaliła się wówczas, że jest to prawdopodobnie największy w historii odnaleziony podwodny skarb. Radość znalców była jednak przedwczesna. Sprawa trafiła przed amerykański sąd, który musiał zważyć racje trzech stron: Hiszpanii, znalców oraz Peru (tamtejsze władze podnosiły, że podwodny skarb to złoto i srebro zrabowane Inkom). Sędzia uznał ostatecznie, że ponieważ „Nuestra Señora de las Mercedes” była hiszpańskim okrętem, który został zatopiony, gdy pełnił misję państwową, prawa do wraku należą się w całości rządowi w Madrycie. Peru nie miało praw do monet, ponieważ – jak stwierdził sędzia – na początku XIX w. nie było takiego państwa i była to jedynie kolonia Hiszpanii. Rządzący wówczas w Palacio de la Moncloa socjalistyczny premier José Luis Rodríguez Zapatero mówił jednym głosem z prawicą, domagając się jak najszybszego powrotu wydobytych przez OME monet. Hiszpańskie władze wysłały w tym celu na Florydę, gdzie firma ma swoją siedzibę, dwa samoloty Hercules, które wróciły obciążone skarbem. Następnie zawartość ładowni „Nuestra Señora de las Mercedes” była dumnie prezentowana na wystawie w Madrycie. Wrak „San José” skrywa o wiele większy skarb, więc wszystko wskazuje na to, że walka o niego będzie dużo bardziej zacięta i emocjonująca.



NIEGRZECZNY BEZ NAGRODY

Robert De Niro pojawił się przed sądem na Manhattanie, w którym trwał proces Donalda Trumpa. Osiemdziesięcioletni aktor zaatakował zgromadzonych tam zwolenników byłego prezydenta. Przekonywał, że jeśli Trump wygra kolejne wybory, to „już nigdy nie odejdzie” oraz że jest „dyktatorem”. Jego zwolenników zwyzywał od „bandytów”. Po takim występie Amerykański Narodowy Związek Nadawców poinformował, że wycofuje przyznaną właśnie De Niro nagrodę Leadership Foundation's Service to America Award.

FOT. YUKIIMURA/BLOMBERG/GETTY IMAGES

USUWANIE KSIĄŻEK „AGENTÓW”

W rosyjskiej Dumie jeszcze nie przegłosowano nowej ustawy, która nakazuje usunięcie bibliotekom książek „agentów zagranicznych”, a biblioteki już są gotowe do wypełnienia zadania. Według doniesień prasy w Kraju Permskim w kilkunastu bibliotekach zdjęto już z półek pisarzy, którzy przez resort sprawiedliwości zostali uznani za agentów – czyli np. ośmielili się skrytykować Putina.

ZAKAZANE PIOSENKI

Włoski wiceminister kultury postanowił wydać wojnę twórcom piosenek z nieestosownymi tekstami o kobietach. Zdaniem Gianmarca Mazziego raperzy tworzą dziś utwory „przyprawiające o dreszcze”. Chodziło o teksty zawierające agresywne wypowiedzi o kobietach lub nawiązujące do narkotyków. Wiceminister zaproponował utworzenie Stałego Stołu Muzycznego.

Ma to być pozarządowy organ, który będzie rozstrzygał, jakie teksty mogą pojawić się w piosenkach.

KOLEJNY ATAK NA DZIEŁO SZTUKI

Działaczka organizacji Food Response weszła do galerii Musée d'Orsay w Paryżu i przykleiła plakat na obrazie Claude'a Moneta. „Ten koszmarny obraz nas czeka, jeśli nie zostanie wdrożona żadna alternatywa” – mówiła o czerwonej naklejce, którą zasłoniła „Pole maków”. Na szczęście obraz chroniony był szkłem.

WSZYSCY CHCĄ RZĄDZIĆ

We włoskiej wiosce Ingria koło Turynu mieszka 46 osób. W zbliżających się wyborach samorządowych o stanowisko sołtysa i radnych walczyć będzie większość z nich – bo kandydatów jest aż 30. Głosować będzie jednak trochę więcej, bo prawo do oddania głosu ma jeszcze 26 osób, które przebywają za granicą. ©

Łukasz Zboralski

GLOBALNE OCHŁODZENIE



JACEK PRZYBYLSKI

Akcje w dół o 99,97 proc.?

Początek ubiegłego tygodnia na Nowojorskiej Giełdzie Papierów Wartościowych (NYSE) – drugiej co do wielkości obrotów giełdzie świata – był świetnym sprawdzianem, który inwestorzy potrafią zachować chłodną głowę, gdy nagle wartość akcji spada na łeb na szyję. To, co się tym razem wydarzyło, mogło jednak zaszkodzić nie tylko głowie, lecz także sercu. Akcje spółki Berkshire Hathaway – słynnego wehikułu inwestycyjnego kierowanego przez 93-letniego multimiliardera Warrena Buffetta – stały się bowiem niespodziewanie

niemal o 100 proc. z 626 tys. dol. do 185,1 dol.

Podobnie było z kursami innych spółek notowanych na nowojorskim parkiecie, jak choćby Barrick Gold, Bank of Montreal czy NuScale Power. W sumie usterka wpłynęła na notowania kilkudziesięciu akcji, które szybko zawieszono.

Według oficjalnego komunikatu wbrew podejrzewaniu niektórych internautów za nagłymi spadkami nie stali hakerzy, którzy dokonali cyberataku. Przyczyną miała być techniczna awaria wewnętrznego systemu komputerowego, którego celem jest... „łagodzenie nadzwyczajnej zmienności rynku i ekstremalnych ruchów cen poszczególnych papierów wartościowych”.

Usunięto ją jeszcze tego samego dnia i akcje wróciły do obrotu. Kurs spółki Warrena Buffetta na koniec dnia ostatecznie podskoczył nawet o 0,6 proc. do 631 tys. dol. za sztukę.

Podobne awarie na nowojorskiej giełdzie są rzadkie, ale się zdarzają. Na przykład w 2023 r. błąd doprowadził do gwałtownych wahań cen, które dotknęły ponad 250 spółek. W czasach szybko rozwijającej się sztucznej inteligencji dobrze wiedzieć, że kontrolę nadal mają jednak ludzie.

Od 4 czerwca widzowie Telewizji Republika mogą oglądać swoją ulubioną stację przez satelitę w jakości HD. Nasz program w wysokiej rozdzielczości dostępny jest już także w większości polskich kablówek.



Zmieniamy się dla Was i dzięki Waszemu wsparciu!



RepublikaTV



@RepublikaTV



Telewizja Republika



@RepublikaTV

Telewizję Republika oglądać można drogą satelitarną, przez sieci kablowe oraz w lokalnych multipleksach naziemnych MUX w: Katowicach, Warszawie, Trójmieście, Wrocławiu, Częstochowie, Tomaszowie Mazowieckim, Jeleniej Górze, Legnicy, Głogowie, na Śląsku i w części woj. opolskiego i małopolskiego. Aktualna lista MUX dostępna jest na serwisie www.tvrepublika.pl – gdzie także obejrzysz TV Republika na żywo. Wszystkie programy znajdziesz na kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

Ekspersi od lat ostrzegali, że Europa siedzi na demograficznej bombie z opóźnionym zapłonem. Politycy różnych partii – jak na polityków przysłało – zrobili wiele, aby wykorzystać temat do zwiększenia popularności wśród swoich wyborców, ale o wiele zbyt mało, aby problem rzeczywiście rozwiązać. Tymczasem wielkie wymieranie zarówno Europejczyków, jak i mieszkańców szeroko rozumianego Zachodu nie jest już wcale pieśnią przyszłości, ale smutną rzeczywistością.

NIECHŁUBNY REKORD CORAZ BLIŻEJ

Polski Instytut Ekonomiczny (PIE) zauważył, że najnowsze badania waszyngtońskiego Institute for Health Metrics and Evaluation wskazują, iż globalna populacja osiągnie szczyt w 2061 r., czyli dwie dekady wcześniej, niż pierwotnie prognozowała to ONZ. Według tych analiz do 2050 r. dzietność spadnie poniżej poziomu zastępowalności pokoleń aż w 155 badanych państwach z 204, a tylko w sześciu krajach (czyli w 3 proc.) uda się utrzymać liczbę urodzeń na poziomie gwarantującym stabilną liczbę ludności do 2100 r.

To nie koniec złych wiadomości. Ekspersi zauważają bowiem, że według niektórych analiz wskaźniki dzietności w poszczególnych krajach spadają szybciej, niż zakładały wcześniejsze prognozy, a globalny wskaźnik dzietności może już teraz być poniżej poziomu zastępowalności. W 2017 r. według ONZ globalny wskaźnik dzietności wynosił 2,5 i przewidywano, że spadnie on do 2,4 do końca trzeciej dekady obecnego stulecia. Tymczasem już w 2021 r. wyniósł on zaledwie 2,3.

Jak czytamy w analizie Polskiego Instytutu Ekonomicznego, eksperci ONZ nie doszacowali również skali spadku urodzeń w Polsce. O ile dla 2022 r. różnica między prognozowaną i faktyczną liczbą urodzeń wyniosła ok. 14 proc., o tyle w 2023 r. urodziło się w Polsce aż o 36 proc. mniej dzieci, niż przewidywały prognozy! „Poziom 272 tys. urodzeń, który odnotowano w Polsce w ubiegłym roku, przewidywano dopiero na w 2055 r.” – zauważyła ekspertka PIE dr Agnieszka Wincewicz-Price.

Najnowsze dane GUS nie pozostawiają złudzeń: w marcu 2024 r. w całej Polsce urodziło się 20 tys. dzieci. W ciągu ostatnich 12 miesięcy na świat przyszło

Wielkie wymieranie zachodniego świata



Jacek Przybylski

Na świat przychodzi rekordowo mało dzieci. Nie tylko w Polsce, gdzie liczba urodzeń może być w tym roku najniższa od końca drugiej wojny światowej. Ekspersi szacują, że do 2050 r. tylko 24 proc. państw uda się utrzymać zastępowalność pokoleń. W 2100 r. spokojne o stabilną liczbę ludności będą mogły być rządy tylko 3 proc. krajów



FOT. ADRIAN STOK

265,4 tys. małych Polaków. Na razie to wprawdzie drugi najgorszy wynik w historii naszego kraju, ale do historycznie najgorszego grudnia 2023 r. brakuje już bardzo niewiele (wówczas na świat przyszło 19,1 tys. dzieci).

Nie jest to niespodzianka, bo trend jest stały od ponad trzech dekad. W 1990 r. na świat przyszło niemal 550 tys. dzieci. W 2010 r. odnotowano 412 tys. urodzeń, a w roku 2022 już tylko 305 tys.

Demograf Łukasz Łukomski, autor książki „Demografia jest przyszłością”, zwrócił w niej uwagę, że transformacja ustrojowa „całkowicie zmieniła warunki formowania się rodzin i posiadania dzieci”. Nie było więc kolejnego wyżu („echa echa” wyżu powojennego).

Autorzy dokumentu „Sytuacja społeczno-gospodarcza kraju w pierwszym kwartale 2024 r.”, który opublikował GUS, zauważyli, że ze wstępnych szacunków wynika, iż liczba ludności Polski w końcu marca obecnego roku była niższa o 7 tys. niż rok wcześniej. I chociaż jednocześnie zarejestrowano mniej zgonów (spadek o 4 tys.), to i tak więcej Polaków zmarło, niż przyszło na świat. Efekt: przyrost naturalny pozostał ujemny, a liczba ludności naszego kraju zmniejszyła się w ciągu roku o 133 tys. do 37,6 mln osób. Już niedługo nie będziemy się jednak mogli chwalić tym, że mieszkamy w 30-milionowym kraju. Według prognoz w pesymistycznej wersji – i wiele wskazuje na to, że najbardziej realistycznej – w roku 2060 Polska będzie liczyć zaledwie 27 mln mieszkańców, a w roku 2100 tylko 17 mln osób.

MROczne PROGNOZY

Według najnowszych danych w ciągu ostatnich 12 miesięcy urodziło się w Polsce 265,4 tys. dzieci, czyli o 37 tys. mniej niż rok wcześniej (spadek o 12,1 proc. rok do roku). Jeśli ta tendencja się utrzyma, a wiele na to wskazuje, to cały rok 2024 zapisze się w historii demografii jako rekordowo zły. A dokładniej jako najgorszy od końca drugiej wojny światowej.

Te dane nie zaskakują ekspertów, którzy od lat ostrzegali i alarmują nadal, że jednocześnie spada w Polsce zarówno liczba Polek w wieku rozrodczym (15–49 lat), jak i współczynnik dzietności informujący o tym, ile urodzonych dzieci przypada średnio na jedną kobietę. Aby mieszkańców danego kraju nie ubywało,

współczynnik ten powinien wynosić 2,1. Wprawdzie po wprowadzeniu „500+” dzietność wzrosła na chwilę do niemal 1,5, jednak w ostatnich latach wskaźnik ten oscylował wokół 1,3–1,4, w 2022 r. wyniósł 1,26, a w roku ubiegłym zmalał do poziomu wynoszącego zaledwie 1,17–1,18. Z takim wynikiem o jakiegokolwiek nadziei na zastępowalność pokoleń można więc zapomnieć.

Biorąc pod uwagę liczbę kobiet w wieku rozrodczym i spadający współczynnik dzietności, stosunkowo łatwo było więc przewidzieć katastrofę demograficzną oraz to, że liczba dzieci w Polsce będzie spadać coraz szybciej. W okresie reprodukcyjnym wchodziło mało liczne roczniki. Kobiety w wieku rozrodczym jest więc coraz mniej, a do tego Polki coraz później decydują się na pierwsze dziecko. To zaś sprawia, że nawet gdy w końcu chcą rodzic, mogą mieć problemy z zajściem w ciążę.

17 mln

**ZALEDWIE TYLU MIESZKAŃCÓW MOŻE LICZYĆ
POLSKA W ROKU 2100**

Jak zauważa Mateusz Łukomski w książce „Demografia jest przyszłością”, „o ile w roku 1950 liczba kobiet w wieku 20–40 lat wynosiła 4,2 mln, o tyle do roku 1987 odnotowano już 6,2 mln. Po okresie spadku, który osiągnął swoje minimum w roku 1999, ponownie 6,2 mln odnotowano w roku 2011. Począwszy od tego roku, dostrzec można zauważalne spadki, które w związku z niską liczbą urodzeń w ostatnim dwudziestolecu będą kontynuowane, by osiągnąć 3,9 mln w roku 2041”. Łukomski wymienia także bariery hamujące polski przyrost naturalny, wśród których znajdują się choćby różnice edukacyjne między kobietami a mężczyznami, plaga umów na czas określony, mała dostępność ofert pracy na część etatu, niska dostępność mieszkań czy... nadmierne użytkowanie Internetu i smartfona.

Skutek zaniedbań rządzących w likwidacji tego typu barier jest taki, że w skali kraju sytuacja już teraz wygląda źle, ale w skali niektórych gmin czy regio-

nów jest wręcz tragiczna. Na przykład w Podlaskiem urodzeń jest najmniej od co najmniej pięciu lat (8,2 tys. w całym 2023 r.), a do tego więcej osób opuszcza to województwo, niż się do niego wprowadza. Skutek? Podlaskie szybko traci mieszkańców. Według szacunków GUS w niektórych miejscowościach, np. w Krynkach czy Dubiczach Cerkiewnych, liczba ludności w ciągu sześciu lat zmniejszy się aż o jedną czwartą.

NAPRAWDĘ STARY KONTYNET

Statystyczny Polak staje się coraz starszy. Już teraz ma ponad 40 lat. W Polsce liczba osób powyżej 65. roku życia zwiększyła się w zeszłym roku o 197 tys. do ponad 7,5 mln.

Katastrofa demograficzna, a zwłaszcza ogromny deficyt ludzi młodych przy bardzo dużej nadwyżce osób będących już w wieku poprodukcyjnym, to ogromny problem geopolityczny, a także gospodarczy czy społeczny. Rynek pracy w Polsce już teraz cierpi na brak pracowników. Według danych KMPG aż 62 proc. firm z branży łańcucha dostaw przewiduje niedobory personelu w ciągu najbliższego 1–1,5 roku, a obecny poziom produktywności przedsiębiorcom ma – według ekspertów z C.H. Robinson – pozwolić utrzymać generatywną sztuczną inteligencję.

Tragiczne prognozy demograficzne dotyczą nie tylko Polski, lecz także innych krajów Europy. Jak zauważył w ubiegłym tygodniu portal Pravda.sk, Słowacja wymiera w coraz szybszym tempie. Ten południowy sąsiad Polski, liczący w 2022 r. 5,432 mln mieszkańców, według prognoz Komisji Europejskiej w 2070 r. będzie zamieszkaany przez niecałe 4,8 mln osób. Liczba osób w wieku ponad 65 lat wzrośnie zaś wówczas z 900 tys. do niemal 1,5 mln. Podobny los czeka też Czechów, Węgrów, Austriaków etc.

Źle jest także na innych kontynentach. W Japonii w 2023 r. urodziło się bowiem zaledwie 758,6 tys. dzieci, co było najgorszym wynikiem od XIX w. Jedną z tamtejszych firm ogłosiła w tym roku, że przestanie już produkować pieluchy dla dzieci i skupi się na pieluchach dla dorosłych. Podobny trend widoczny jest również w Korei Południowej, gdzie również sprzedaż pieluch dla osób starszych przewyższa obecnie liczbę sprzedanych pieluch dla dzieci... © Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Kto się boi poboru?

Jak się wydaje, minister obrony narodowej Władysław Kosiniak-Kamysz (z PSL) boi się przywrócenia obowiązkowego poboru do wojska tak samo mocno, jak bał się minister obrony narodowej Mariusz Błaszczak (z PiS). Pierwszy z nich nie chce – podobnie jak drugi z nich nie chciał, gdy sprawował urząd szefa MON – podjąć tej, jak się zdaje, koniecznej dla bezpieczeństwa Polski decyzji o przywróceniu obowiązkowego poboru do wojska zapewne z tych samych powodów – ze strachu o spadek notowań partii własnej i koalicyjnych. Innymi słowy – w Polsce do tej pory nie przywrócono zawieszonego w 2009 r. obowiązkowego poboru do wojska z obawy o spadek notowań trzech partii, czyli teraz PSL i Platformy, a do niedawna PiS.

I to właśnie z tego powodu słyszymy wciąż te same, serwowane nam w kółko bajki. Powtarzane nam do niedawna przez szefa MON Błaszczaka – o tym, że do zapewnienia Polsce bezpieczeństwa wystarczy podniesienie liczebności stałej armii zawodowej do 300 tys. żołnierzy, a w ogóle to najlepszym panaceum na kłopoty Polski są Wojska Obrony Terytorialnej, czyli WOT. Oraz bajki powtarzane nam teraz do znudzenia przez szefa MON Kosiniaka-Kamysza – o tym, jak to polska młodzież masowo garnie się do wojska i dlatego nie trzeba przywracać obowiązkowego poboru do wojska, a wystar-

czy organizować dla uczniów lekcje z wojskowości oraz zachęcać absolwentów szkół do wakacyjnego szkolenia wojskowego i wyszkolić w ten sposób w tym roku... 30 tys. ochotników.

Nie wiem, kto te bajki bierze za dobrą monetę w Polsce i poza nią, wszelako nie mam cienia wątpliwości, że na Kremlu z pewnością trzymają kciuki za utrzymanie przez szefa MON Kosiniaka-Kamysza twardego oporu przeciw przywróceniu w Polsce poboru do wojska, tak jak trzymali w tej samej sprawie do niedawna kciuki za szefa MON Błaszczaka.

Jakimże to bowiem cudem nasza nawet 300-tysięczna armia zawodowa, gdyby jakimś cudem (ale jakim?) udało się nam ją zbudować, a potem utrzymywać, i nawet gdyby wspierały ją wielkie siły WOT, miałyby zatrzymać pochód zasilanej setkami tysięcy regularnie szkolonych poborowych armii Rosji, gdyby do takiej inwazji kiedykolwiek doszło? A przypominam, że np. fińska armia rezerwowa liczy dziś 900 tys. żołnierzy, a Finów jest zaledwie 5,5 mln wobec ponad 37 mln nas, Polaków.

I jeśli się w scenariusz takiej inwazji Rosji na Polskę wierzy – a nie słyszałem, żeby ministrowie Błaszczak i Kosiniak-Kamysz byli w tej sprawie sceptyczni – to jak bardzo trzeba przedkładać interes własnej partii, żeby do tej pory nie przywrócić w Polsce obowiązkowego poboru do wojska? ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Wymazywanie na Kanale Zero

Systemowe wymazywanie określonych poglądów i argumentów z debaty i w ogóle ze sfery publicznej – znane także pod angielskim terminem „cancel culture” – ma z punktu widzenia zwolenników takich działań duży sens. Jeżeli jakiegoś poglądu w sferze publicznej nie ma, to odbiorcy nabierają przekonania, że on po prostu nie istnieje, a ich pole widzenia

oczywiście natychmiast obity przez zwolenników miękkiej cenzury i tropicieli „ruskich onuc”. Po jednym dniu Stanowski położył uszy po sobie i ogłosił, że sprawę przeanalizował i wycofuje się z pomysłu. Debata nie będzie, bo jeszcze ktoś mógłby zacząć samodzielnie zastanawiać się nad usłyszczanymi argumentami.

W głównych kwestiach – możliwość „dogadania się” z Rosją czy jej postawa wobec Zachodu – kompletnie nie podzielam poglądów Sykulskiego. Oddzielam jednak wyraźnie moją odmienną opinię na tematy, o których Sykułski mówi, od jego prawa do wypowiedzania swojego zdania publicznie. Zwłaszcza że nie ciąży na nim żadne zarzuty, nie ściga go ABW, nie jest podejrzany o działalność na szkodę Rzeczypospolitej.

Stanowski jako prywatny przedsiębiorca medialny ma oczywiście prawo zapraszać – i nie zapraszać – do swojej stacji, kogo chce. Jednak zapowiedzenie debaty, a potem jej odwołanie wygląda bardzo słabo. Zwłaszcza w kanale, który w założeniu miał się modzie na wymazywanie „niesłusznych” poglądów przeciwstawiać.

A przy tym – czy naprawę Krzysztof Stanowski ma o swoich widzach tak niskie mniemanie, żeby sądzić, że jeden występ Sykulskiego uczyni z nich wielbicieli Władimira Putina? ©©

Czy naprawdę Krzysztof Stanowski ma o swoich widzach tak niskie mniemanie, żeby sądzić, że jeden występ Sykulskiego uczyni z nich wielbicieli Putina?

się zawęży. To również jest przesuwanie okna Overtona. Znamienne, że jednymi z największych zwolenników kasowania poglądów stali się ci, którzy deklarują się jako liberałowie i wielbicieli „demokracji liberalnej”.

Wubiegłym tygodniu Krzysztof Stanowski, właściciel Kanalu Zero, ogłosił debatę pomiędzy dr. Jackiem Bartosiakiem a dr. Leszkiem Sykułskim na temat rosyjskich wpływów w Polsce. Został za to

HISTORIA
DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



ZATRUTE OWOCE '68

Szał na ulicach Paryża – Zrewoltowani studenci domagali się odrzucenia „starego świata” i wszelkich autorytetów. Ich postulaty w ogromnej mierze trafiły po latach do mainstreamu

Czerwone pacyfki – W czasie zimnej wojny „obrońcy pokoju” na Zachodzie dużo chętniej krytykowali militarystykę amerykańską niż sowiecką

Rewolwer zamiast megafonu – Fala czerwonej przemocy zalała Niemcy i Włochy. Lewaccy terroryści wzięli tam na celownik wielki biznes i instytucje państwowe

Holenderski oprawca Rzeczypospolitej – Ogromny wpływ na gospodarczy, a w konsekwencji również polityczny upadek państwa Polaków i Litwinów miały Niemcy

Niewolnicy Waszyngtona – Pierwszy prezydent Stanów Zjednoczonych był plantatorem i właścicielem kilkuset Murzynów. Czy zostanie strącony z cokołów?

Zatruty puchar królowej – Bona zgromadziła w czasie pobytu w Polsce wielki majątek. Bogactwo sprowadziło na nią ostatecznie nieszczęście

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

Pop up, sklep tymczasowy, to efekt genialnego w swoim sprycie i prostocie marketingowego konceptu: otworzyć sklep na tydzień czy na miesiąc, a potem zamknąć. Ma to stworzyć wrażenie niedostępności, podkreślić zainteresowanie marką, wywołać sensację. Warszawa przerabiała taki eksperyment kilka razy, dotąd z markami z wyższej półki, choćby ekskluzywną Comme des Garçons. Ostatnio pop up zastosowała japońska sieć Uniqlo, otwierając jesienią ubiegłego roku próbny sklep w centrum Warszawy. To była przymiarka do czegoś większego. Japończycy byli zadowoleni z wyników, jesienią otworzą w Warszawie stały sklep tej popularnej na świecie sieciówki z prostymi ubraniami niezłej jakości i w przystępnych cenach.

W wypadku Sheina sensacji nie było. Tylko długa kolejka przed otwarciem w odległej od centrum Warszawy Galerii Młociny, potem kolejki do kas. Wystrój sklepu elegancki i nowoczesny, ale rzut oka na metki i materiały wskazuje, że towar na wieszakach jest mniej ekskluzywny niż można by sądzić po miejscu sprzedaży. Szok cenowy: bluzka za 12 zł, spodnie za 40, sukienka za 60.

Sklep tymczasowy zamknięto po pięciu dniach, ale sieć działa w najlepsze, tak samo jak na całym świecie. W apetycie na modę nie różnimy się od innych nacji. Argument, że Warszawa to prowincja i tylko nie każdą nowinkę z Zachodu, łatwo zbić. W eleganckim Paryżu otwarciu sklepu stacjonarnego zgromadziło tłumy. Stały olbrzymie kolejki, okolica była sparaliżowana. Francja jest jednym z największych konsumentów sieci Shein.

PARADOKS POKOLENIA Z

Może starszym rocznikom tak, ale pokoleniu Z, nasto- i dwudziestoparolatkom tej marki przedstawiać nie trzeba. Zetki to tak żarłocznicy konsumenci mody, że nawet nie potrzebują sklepu stacjonarnego. Aplikacja im całkowicie wystarcza – parę kliknięć na smartfonie i kupione.

Paradoks, bo właśnie spośród młodych ludzi pokolenia Z wywodzą się wrażliwi społecznie i kwestionujący zastany porządek młodzi ludzie, często aktywiści z ruchów anti- i alterglobalistycznych. Więc jak to? Jest się zielo-



Kup teraz. Zaraz wyrzucić



Joanna Bojańczyk

Bluzka za 12 zł, spodnie za 40, sukienka za 60. To tylko kilka cen ze sklepu Shein, który działał w Warszawie od 17 do 22 maja. Ultraszybka, tania moda teraz u nas

nym, ale można lekceważyć europejskie normy, prawa pracownicze, certyfikaty, pozwolenia, oznaczenia? Bezwstydne kopiowanie, oszukiwanie na ciach? Widać przymyka się na to oko, gdy spodoba się modna sukienka za 50 zł.

Powiedzieć o Shein fast fashion, to mało. To ultrafast fashion.

Firmę założył w roku 2012 w Chinach Chris Xu, chiński przedsiębiorca urodzony w Stanach Zjednoczonych. Obecnie prezes występuje pod nazwiskiem Xu Yangtian,

a stworzony przez niego mastodont mody rezyduje w Singapurze.

Rozwój firmy zapiera dech: internetowy gigant w roku

2023 osiągnął za-
wrotny przychód
1,8 mld euro.

Tym samym
wyprowadził H&M
– 700 mln, ale

wciąż daleko mu do
Inditexu, właściciela

Zary, Massimo Dutti,
Berschki (5,4 mld euro).

Według informacji zebranych przez „Financial Times”

łączna wartość towarów sprzedawanych na portalu Shein sięga astronomicznej kwoty 42 mld euro.

Jest to więc spektakularny sukces, jednak oparty na modelu gospodarczym mocno krytykowanym w krajach zachodnich. Bo Shein bardzo daleko posunął się z założeniami „szybkiej mody”: bardzo niskie ceny, ciągłe odnawianie kolekcji. Na stałe firma zatrudnia 250 projektantów, do tego dziesiątki współpracujących. Codziennie do kolekcji dodaje się średnio 7,2 tys. nowych modeli, w serwisie dostępne są setki tysiące ubrań. Francuska organizacja pozarządowa Les Amis de la Terre obliczyła, że w czasie rzeczywistym w Shein dostępnych jest 470 tys. modeli. Pośrednikami i reklamodawcami są setki influencerów w sieciach społecznościowych.

Shein przedstawia się jako innowator z dochodowym modelem biznesowym, zwolennik różnorodności i inkluzywności. Aby nikogo nie pominąć, stara się pozyskać zróżnicowane grono projektantów, którzy mają być ambasadami różnych krajów, ras i regionów. Firma twierdzi, że nie zbiera informacji demograficznych na temat projektantów, ale według rzeczniczki pochodzą oni z wielu środowisk, podobnie jak klienci. W pewnej sprzeczności z tym pozostaje to, że Shein, podobnie jak Zara czy H&M, jest oskarżany o korzystanie ze źle opłacanych podwykonawców i o pracę w warsztatach w chińskim regionie Xinjiang.

Menedżerowie starają się, jak mogą, żeby podnieść prestiż marki kojarzonej z tandetą. Temu mają zapewne służyć

spotkania/panele z projektantami haute couture. Współpraca z influencerami zdrowia i urody także rozszerza horyzonty i sprawia, że Shein postrzegany jest nie tylko jako producent jednorazowych szmat, lecz także instytucja na styku popkultury i mody. 1,7 mln followersów na Instagramie jest zapewne ciekawych nowych pomysłów i chętnie sprawdzi je, naciskając ikonkę „kup teraz”.

WIĘCEJ I WIĘCEJ

Przy tym modelu biznesowym nie sposób uniknąć oskarżeń o propagowanie nadmiernej konsumpcji. We Francji Shein jest jednym z graczy, których ma objąć ustawa antyszybkiej mody, przyjęta przez Zgromadzenie Narodowe w połowie marca – musi ona jeszcze zostać rozpatrzona przez Senat. Ustawa przewiduje m.in. kary na najmniej przyjazne dla środowiska wyroby włókiennicze.

Przy tym modelu biznesowym nie sposób uniknąć oskarżeń o propagowanie nadmiernej konsumpcji

Dane finansowe marki Shein publikuje „Financial Times” i są one szczegółowo analizowane przez branżę. Sam Shein nie publikuje wyników finansowych. Nie ma takiego obowiązku, gdyż nie jest notowany na giełdzie. Ale to może się zmienić. Chińska marka jest w trakcie przygotowań do planowanego na ten rok wejścia na giełdę. Jak donosi „Wall Street Journal”, w listopadzie ubiegłego roku spółka poufnie złożyła wniosek o pierwszą ofertę publiczną w Stanach Zjednoczonych. Teraz czeka na zielone światło od regulatora. Jednak prasa amerykańska jest pesymistyczna co do możliwości wejścia chińskiego giganta na giełdę nowojorską. Jeśli to się nie uda, to Shein będzie próbował szczęścia na giełdzie londyńskiej.

Ataki na firmę nie ustają. Prezes Donald Tang usiłuje się bronić przed płynącymi ze wszystkich stron zarzutami. – Nasza zła opinia bierze się z niezrozumienia – twierdzi. W odpowiedzi na zarzuty o kopiowanie tłumaczy, że Shein

uruchomił program współpracy z niezależnymi projektantami, że zapewnia im budżet, pokrywa koszty produkcji i sprzedaje produkty na stronie Shein.

– Projektanci otrzymują albo prowizję od sprzedaży, albo udział w zyskach, co jest rozwiązaniem zwykle zarezerwowanym dla projektantów, którzy mają podpisaną umowę licencyjną ze sprzedawcą detalicznym. Około 3 tys. uczestników otrzymało łącznie 5 mln dol. prowizji – powiedział pan Tang podczas szesściennego szczytu w Los Angeles.

– Chcą zarobić więcej pieniędzy, a teraz widzą, że posiadanie bardziej zróżnicowanego składu etnicznego projektantów wygeneruje dla nich miliony i miliardy zysków z marży brutto – odpowiedział na to Shawn Grain Carter, profesor zarządzania w Fashion Institute of Technology. – To nie jest altruistyczne przedsięwzięcie. To przedsięwzięcie o charakterze finansowym.

Prawo przygotowywane we Francji ma zapobiec negatywnym skutkom masowej produkcji jednorazowych ubrań z poliestru, które wyrzuca się po kilku użyciach.

– To nieprawda, że wszystkie nasze ubrania uszyte są z poliestru – broni się prezes. Tylko trochę więcej niż połowa. Jak podają źródła, poliestr stanowi 64 proc. produkcji Sheina; w H&M jest to 21 proc. Jednak znamienne, że w swoim sklepie internetowym w opisie produktów nie podaje takiej informacji, jaką jest skład materiału. Informacje takie znajdują się zarówno w H&M, jak i w Zarze, są standardem w sklepach internetowych.

Firma próbuje pewnego sposobu, którym jest połączanie francuskiej próżności i dumy. „Francuzi są szczególnie uzdolnieni w dziedzinie stylu i innowacji. Chcą także być w czołówce nadążających za zieloną ekonomią, odpowiedzialnością i cyrkularną konsumpcją”. Trudno nie oprzeć się wrażeniu, że są to puste frazesy, tzw. greenwashing.

O warunkach pracy w Chinach informacji się nie podaje.

Także wycieczka zorganizowana dla wpływowych osób do niektórych magazynów w Chinach została szeroko oceniona w mediach społecznościowych jako niewypał.

A tymczasem sukienki letnie idą jak woda.

VOLVO XC 90 B5

Największy SUV w ofercie szwedzkiej marki w wersji B5 Diesel to auto wyjątkowe jak na dzisiejsze czasy. Miękka hybryda połączona z wysokoprężnym silnikiem sprawia, że ogromne volvo jest nie tylko komfortowe czy bezpieczne, ale przede wszystkim oferuje niesamowity wręcz zasięg: na jednym tankowaniu można nim przejechać ponad tysiąc kilometrów. To zaś oszczędza czas i daje dużo spokoju podczas dalekich rodzinnych wojaży.

Model XC90 to jeden z najbardziej udanych flagowców szwedzkiej marki. Testowany wariant ma pod maską silnik wysokoprężny o mocy 235 KM, który współpracuje z jednostką elektryczną o mocy 14 koników. Dzięki temu producent może się pochwalić niższą emisją spalin, bo hybryda sprawnie odzyskuje energię wytworzoną podczas hamowania, a kierowca może cieszyć się wyższą dynamiką jazdy samochodem, który mierzy niemal 5 m długości i 1,8 m szerokości.

Spalanie zależy rzecz jasna od stylu jazdy. Zejście do 6,5 l/100 km podczas jazdy krajówkami nie jest trudne. Średnia na autostradzie, drogach krajowych i na zatłoczonych ulicach Warszawy wyniosła podczas testu 7,9 km/100 km.

Elegancki, olbrzymi i przestronny SUV w wersji B5 to nie rakieta wyścigowa, a raczej luksusowy salon na kołach. Panoramiczny dach pozwala podziwiać otoczenie i rozświetla kabinę, w której za jakości dźwięku odpowiada opcjonalny system audio Bowers & Wilkins o mocy 1410 W, składający się z 19 głośników hi-fi. Jeśli ktoś jak ja lubi nawet

po zaparkowaniu auta dokończyć słuchanie danego utworu, to powinien docenić zarówno czysty dźwięk, jak i możliwość wyboru akustyki stylizowanej na salę koncertową, klub jazzowy, studio czy też scenę.

Za czyste powietrze w kabinie odpowiada system klimatyzacji z filtrem powietrza (na ekranie komputera pokładowego można podejrzeć, jak zanieczyszczone jest otoczenie, przez które się akurat przejeżdża). Wygodne, pokryte skórą fotele wyposażone są zaś w opcję podgrzewania, wentylowania, a nawet w funkcję 10-punktowego masażu pleców. Wisienką na tym ekskluzywnym torcie jest kryształowa dźwignia zmiany biegów wykonana ręcznie z prawdziwego kryształu. Kto bogatemu zabroni?

Pojemność bagażnika wynosi niemal 700 l. Ten model może być też autem siedmioosobowym

(ostatni rząd dwóch siedzeń schowany jest w podłodze, choć oczywiście w tej konfiguracji bagażnik maleje o ponad połowę).

Wady? Układ kierowniczy jest niezły, ale mógłby być lepiej wyczuwalny przez kierowcę. Poza tym system infotainment traci nieco myśkłą. Minusem jest też zmuszenie kierowcy do obsługi systemu klimatyzacji za pomocą ekranu systemu multimedialnego, co nie jest ani wygodne, ani bezpieczne. Na szczęście XC90 uzbrojone jest w liczne systemy bezpieczeństwa, które wykrywają pieszych i rowerzystów, a także w razie ryzyka wypadku uruchamiają hamowanie awaryjne.

Za Volvo XC90 w wersji B5 Diesel AWD trzeba zapłacić co najmniej ok. 320 tys. zł. Dodatkowe wyposażenie może jednak wywindować cenę do ponad 450 tys. ☹☹



FOT. PAP

SŁUCHAWKI STEELSERIES ARCTIS NOVA PRO WIRELESS

Stylowy design, wciągające brzmienie, aktywna redukcja szumów, wysoka jakość wykonania, dwa akumulatory w zestawie, wygoda użytkowania oraz intuicyjna obsługa – to największe zalety najnowszego bezprzewodowego wariantu jednych z najlepszych nausznych słuchawek gamingowych firmy SteelSeries.

Dzięki neodymowym przetwornikom magnetycznym dźwięk jest tu naprawdę bardzo dobry. Mamy więc tu zarówno głęboki bas, jak i czyste wysokie tony. Brzmienie jest neutralne i pełne detali. Między innymi dzięki temu testowany model – choć zaprojektowany z myślą o konsolach do gier i wyposażonych komputerach PC – jest bardzo uniwersalny i z powodzeniem sprawi się w roli słuchawek do codziennego podróżowania do biura/szkoły i z powrotem. Sprawdzi się też w biurze (przyzwyczajony mikrofon powinien dać radę podczas wideokonferencji). Na upartego można tych słuchawek używać podczas uprawiania sportów (nawet tych prawdziwych, związanych z koniecznością odłożenia pały i wstania z kanapy).

Nie można narzekać na kłopoty ze źródłem dźwięku. Słuchawki oferują połączenie bezprzewodowe za pośrednictwem Bluetooth 5.0, drogą radiową



(2,4 Ghz) lub za pomocą portu jack 3,5 mm. Dzięki temu można godzinami grać i jednocześnie odbierać telefony od narzeczonej/zony/szefa etc.

Arctis Nova Pro Wireless ma także na pokładzie ANC, czyli całkiem niezłe działający system aktywnego redukcji szumów. Na pochwałę zasługuje również komfort użytkowania nawet podczas wielogodzinnych sesji przy konsoli.

Producent reklamuje nowy model jako słuchawki bezprzewodowe o nieograniczonym czasie pracy na baterii. I trzeba przyznać, że wcale nie trzeba tego sloganu wrzucać między marketingowe bajki – w pudełku znajdują się bowiem dwa litowo-jonowe akumulatory, które łącznie mogą zapewnić do 44 godzin pracy. Oczywiście, gdy z jednego się akurat korzysta, drugi może się ładować i w ten sposób bezprzewodowe słuchawki mają nieograniczony czas pracy. Samo ładowanie jest szybkie i jeśli do rozegrania została „jeszcze tylko jedna bitwa”, to wystarczy 10–15 minut, żeby zyskać kilka godzin dźwięku podczas grania.

Wady? Wysoka cena. Minusem była również tuż po premierze spora – bo aż kilkusetzłotowa – różnica między słuchawkami w kolorze czarnym i dostępnym od niedawna kolorze białym. Na szczęście rynek szybko przywrócił sprzedawcom rozsądek i wersja biała kosztuje teraz 1469 zł, a czarna 1328 zł. ☹☹

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ JACEK PRZYBYLSKI

DO RZECZY TYGODNIK LIŚCICKIEGO



JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Awantura o Trubczewsk

Trubczewsk, położony dziś w Rosji, stał się w 1644 r. przedmiotem sporu i awantury sejmowej pomiędzy posłami litewskimi, miejscową szlachtą a królem. A w szczególności między Wielkim Księstwem i Koroną. Miasteczko i okoliczne włości tworzące małe „księstwo trubeckie” należały od 1609 r. do Rzeczypospolitej, natomiast w 1644 r. zostały niespodziewanie przekazane Moskwie. Władysław IV Waza prowadził wówczas rozmowy na temat przyszłego sojuszu przeciwko Turcji i Chanatowi Krymskiemu. Tymczasem carowi doniesiono, że w Rzeczypospolitej ukrywa się samozwaniec – niejaki Jan Faustyn Łuba, podający się za Iwana Dymitrowicza, cudownie ocalonego syna Dymitra Samozwańca i Maryny

Mniszchówny. Moskale, którzy od czasu dwóch fałszywych pretendentów do tronu wpadali we wściekłość, słysząc jakąkolwiek wzmiankę o kolejnych, zagrozili zerwaniem rozmów, zażądali też wydania szalbierza. Król nie

zgodził się na przekazanie im szlachcica. Aby jednak załagodzić sprawę i skłonić wroga do współpracy, postanowił w ramach ustaleń komisji granicznej oddać Trubczewsk i Wiaz na Litwie. Decyzja podjęta jednostronnie przez władzę wywołała oburzenie posłów na sejmie w 1645 r. Co więcej, budziła ogromny opór miejscowej szlachty, która choć prawosławna, wcale nie chciała przechodzić pod władzę cara, a z kolei niezłożenie przysięgi księciu moskiewskiemu oznaczało utratę majątków w Księstwie Trubczewskim. Senatorowie litewscy wystąpili na sejmie z żądaniem, aby

Korona zadośćuczyniła Litwie za oddane terytoria własnymi ziemiami. Wywołało to z kolei sprzeciw dygnitarzy koronnych, z trudem udało się go załagodzić.

Awantura przeradzała się w skandal. Wszak król samowolnie oddał część terenów Rzeczypospolitej jej śmiertelnemu wrogowi! Marszałek orszański, książę Jan Drucki-Sokoliński, nie chciał wydać zamku Moskwie, która z kolei zatrzymała posła królewskiego. To Władysław uznał za podstawę do nieprzekazania carskim urzędnikom Trubczewska. Wysłał jednak Samuela Osińskiego, oboźnego litewskiego i dowódcę gwardii, do Sokolińskiego z listem, aby nie przeszkadzał w wydaniu miasteczka. Kłopot w tym, że marszałek był dziadkiem i opiekunem małoletniego dziedzica Trubczewska – Jerzego Wigunta Trubeckiego, działał więc w obronie majątku małoletniego wnuka i sieroty. Ostatecznie, mimo jego oporów, w październiku 1645 r. Osiński przejął Trubczewsk i z rozkazu królewskiego przekazał go Moskwie.

Wtedy marszałek pozwał do trybunału litewskiego komisarzy królewskich i – jak podaje Albrycht Stanisław Radziwiłł – za odstąpienie części terenów Wielkiego Księstwa oraz utratę włości uzyskał na nich dekret skazujący na utratę gardła i zapłacenie odszkodowania 600 tys. zł. Wyroku jednak nie wykonano, bo zależało to od starostów pozostających pod wpływem króla. Sprawa Trubczewska wróciła zaś na kolejnym sejmie, w 1646 r., kiedy sam małoletni Jerzy Wigunt Trubecki złożył na ręce marszałka sejmowi prośbę o odzyskanie miasteczka. Ujął się za nim także Kotowski, poseł starodubowski, który wprost oświadczył, że zablokuje obrady, jeśli wspomniane dobra nie zostaną

zwrócone sierocie. Ostatecznie po długich deliberacjach, w listopadzie 1646 r., posłowie uchwalili wypłatę dwóch odszkodowań – jednego dla Jerzego Trubeckiego i miejscowej szlachty za utracone dobra, w wysokości 180 tys. zł, a drugiego dla Litwy – w zamian przyłączono do niej dwa starostwa koronne: Lubecz i Łojów.

Awantura, chociaż zakończona na jesieni 1646 r., pokazała kilka słabości ustrojowych Rzeczypospolitej, była jak ostrzeżenie przed nadchodzącą burzą. Pierwsze – że nie mają sensu żadne ustępstwa wobec Moskwy. Król Władysław wydał jej Trubczewsk, aby skłonić do przyszłego współdziałania przeciwko Turcji i Tatarom, do czego jednak nie doszło. W zamian za to car wystąpił sześć lat później przeciwko Rzeczypospolitej, biorąc pod protekcję Ukrainę zajęta przez zbuntowanych kozaków Chmielnickiego. Skandal pokazywał też, że mieszkańcy ziem odzyskanych od Moskwy po układzie w Dywilinie i pokoju w Polanowie wcale nie chcieli wrócić pod panowanie carskie. Wreszcie wyraźnie widać już było, że niektórzy posłowie są w stanie zablokować i skomplikować pracę sejmu w wypadku niezadowolenia ich lokalnych interesów.

Wszystko to wróżyło późniejsze nieszczęścia Rzeczypospolitej. Swoją drogą, nie wiadomo, czy nie byłoby lepiej, gdyby z powodu Łuby i Trubczewska nie wybuchła już wówczas wojna. Konflikt spacyfikowałyby Kozaków, którzy zapewne pociągnęliby na Moskwę, a z powodu śmierci wielkiego księcia Michała Romanowa walki mogły zakończyć się większym sukcesem niż walki z przeważającym przeciwnikiem w 1654 r. ©



PKS 00A



SIOSTRY GOTUJĄ

ANNA POPEK Z D. CHRUIK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUIK

Nadzwyczajne właściwości pokrzywy

To już ostatnia chwila, aby skosztować cudownych właściwości młodej pokrzywy. Zanim zacznie przekwitać, zdążymy przygotować wiosenną zupę z jej młodych liści. Jest oryginalna w smaku i zdrowa.

Pokrzywa uznawana jest przez znawców ziołolecznictwa za absolutny fenomen, a spośród licznych dobroczynnych właściwości możemy wymienić przede wszystkim jej krwiotwórcze działanie. Zawiera dużo żelaza, dzięki temu zwiększa poziom hemoglobiny we krwi, oprócz tego jest bogata w białko, flawonoidy, minerały i witaminy C, K, B2 oraz wiele innych. Jej zastosowanie w codziennej diecie wspiera oczyszczanie organizmu z produktów przemiany materii, a z drugiej strony minerały i witaminy w niej zawarte uzupełniają niedobory.

Pokrzywa jest doskonałym wsparciem dla osób cierpiących na artretyzm i reumatyzm, już w starożytnym Rzymie leczono w ten sposób chorych. Doskonale pamiętam, jak nasza mama opowiadała historie naszej prababci, która tak cierpiała na bóle reumatyczne, że kazała zrywać naręcza pokrzywy i w takich stosach zerwanych pokryw leżała, aż ból trochę zelżał.

W kuchni pradawnej oraz obecnie pokrzywę możemy przyrządzać w formie zup czy na ciepło duszoną, możemy dodawać ją do koktajli warzywno-owocowych czy do sałatek. Naszą ulubioną jest zupa z liści młodej pokrzywy, taką właśnie miałyśmy okazję zjeść w Kazimierzu Dolnym.



FOT. ADRIAN STOK

Wzmacniająca zupa z pokrzywy

- ok. 3 szklanek listków pokrzywy, najlepiej wybrać te szczytowe na samej górze.
- 1 duża łyżka masła
- 1 cebula
- 2 marchewki
- 1 pietruszka
- 1 litr bulionu warzywnego
- 2 ząbki czosnku
- 3 duże ziemniaki
- 1/2 kubeczka kwaśnej, gęstej śmietany
- Liść laurowy, ziele angielskie
- przyprawy: sól, pieprz, majeranek do smaku
- koperek lub świeże zioła

Zaczynamy od przepłukania pokrzywy. W garnku podgrzewamy masło, dodajemy posiekaną cebulę, pokrojoną w kostkę marchewkę i pietruszkę. Przeciętny czosnek oraz posiekaną pokrzywę podduszamy ok. 15 min, zalewamy bulionem warzywnym, dodajemy majeranek, ziele angielskie i listek laurowy oraz pokrojone ziemniaki. Wszystko razem gotujemy do miękkości warzyw. Na koniec możemy zblendować zupę, podbijamy śmietaną. Posypujemy świeżymi ziołami. © ©



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Muzyka lasu

Kiedyś do lasu chodziło się na grzyby. Dziś, chociaż grzyby nadal aktualne, chodzi się na kąpiele leśne, warsztaty leśne, na forest therapy albo żeby wykrzyczeć frustrację. Ciekawa jestem, co na to wszystko fauna leśna. Może lepiej, że nie może się wypowiedzieć.

Większość ludzi jednak chodzi do lasu, bo lubi leśną ciszę i śpiew ptaków, zwłaszcza jeśli rzecz odbywa się w maju lub czerwcu. Są i tacy, którzy lubią posłuchać czegoś mocniejszego. Nie chodzi bynajmniej o „Symfonię Pastoralną”.

W czasie ostatniego weekendu w Lesie Kabackim nadziałam się na pikniku-jące towarzystwo, które przyniosło ze sobą głośnik o wymiarach 80 x 40 cm i popijając piwko, wsłuchiwało się w upojne dźwięki rapu. Na cały regulator oczywiście, w dużym poważaniu mając zakaz słuchania głośnej muzyki obowiązujący w całym rezerwacie, którym jest Las Kabacki.

W temacie udźwiękowienia ci państwo nie byli osamotnieni. Obserwując (pole do obserwacji mam systematyczne, bo w lesie jestem codziennie) ludność, która po lesie spaceruje, chodzi z kijami, biega, jeździ na rowerze, zastanawiam się, czy poruszający się bez sprzętu grającego/mówiącego nie są już mniejszością.

Widok jest taki: biegacz podłączony do słuchawek, rowerzysta okablowany roz-

mawiający przez niewidoczne słuchawki. Dopóki nie poznałam tego urządzenia, dopóty myślałam, że coraz więcej osób gada do siebie... Młody tata z wózkiem wygnany na spacer w sobotnie przedpołudnie (w domu sprzątanie): okablowany i zasłuchany. Jakby dziecko się odezwało, toby nie słyszał. Pewną nowością są głośniki przymocowane do roweru, dzięki czemu jadący udostępnia koncert całej trasie. Przy czym znowu dodam, że nie chodzi o Beethovena.

Są też stacjonarni: siedzący w szalasach i słuchający muzyki z przenośnych głośników. Starsi spacerowicze na ławeczkach przeszukujący Internet, raczej bezgłośnie. W każdym razie z komórkami w rękach. Na polanie z ogniskami dźwięki rozbrzmiewają w tylu punktach, ile szalasów i ognisk.

Gdy się wjedzie, wejdzie w głąb lasu, jest lepiej. Zaludnienie się rozrzedza, muzyki nie słychać. Jest nawet szansa na całkiem prawdziwą sarnę, która zapomniała, że znajduje się w miejscu publicznym. Na koniec krzepiąca wiadomość z frontu porządkowego: przejeżdżając na rowerze Las Kabacki przez całą jego długość (albo szerokość, zależy, jak mierzyć), nie zauważyłam ani jednego śmiecia! Nieliczne chusteczki do nosa zgubione na trawie. Żadnych butelek, żadnego plastiku. Turystów jest dużo, hałasują, ale nie śmieją, to zawsze coś! © ©



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Słowo
na niedzielę

I jak tu nie wierzyć w nieuchronność karzącej ręki sprawiedliwości? Okazało się, że były minister (jak mówi poseł Braun – jednej choroby) usłyszał zarzuty i grozi mu do trzech lat więzienia. Jeżeli tak jest z powodu tropienia i karania pisowców w wykonaniu nowej władzy, to może to i jedyny dobry aspekt tej nagonki. Nawet jak ręka karząca przytroczona jest do tułowia uśmiechniętej (przez zaciśnięte zęby) Polski.

W sierpniu zeszłego roku, kiedy jeszcze rządził minister Niedzielski, wywiązała się dyskusja na temat nowych regulacji Ministerstwa Zdrowia dotyczących przepisywania leków psychotropowych. Lekarze narzekali, że to bardzo utrudnia im pracę, nawet jeden się poskarżył, że nie może wypisywać recept. Wtedy minister Niedzielski napisał na portalu X, że to nieprawda, bo właśnie rzeczonemu lekarz sam sobie wypisał takie lekarstwo. Było to karykaturalne złamanie tajemnicy w jednej osobie i lekarza, i pacjenta, co dodatkowo naraziło zdemaskowanego medyka na podejrzenia, że ten pracuje na psychotropach. Po kilku tygodniach od tego zamieszania minister podał się do dymisji, teraz zaś uśmiechnięta sprawiedliwość go dopadła.

W moim ulubionym filmie „Czas apokalipsy” jest taka scena, gdy bohater

mówi: „Cholera, oskarżać faceta o morderstwo tutaj? To jak wlepić mandaty za przekroczenie prędkości na wyścigach Indy 500!”. Trzeba na to popatrzeć w podobny sposób. Postawiono zarzuty przekroczenia uprawnień i naruszenia prywatności lekarza facetowi, który przewodził całej covidowej machinie losującej, która wyrzuciła z siebie ok. 200 tys. ponadnormatywnych zgonów. O kwestii naruszeń prywatności całego społeczeństwa, a nie jednego lekarza, wspomnę już tylko dla porządku. Przecież za COVID-19 nasza prywatność, której filarem jest (była?) tajemnica co do naszego stanu zdrowia i terapii, którym się poddajemy, stała się rozporządzeniami pana ministra sprawą publiczną. Byle kelnerzyna kazał nam się określić, czy jesteśmy chorzy (okazanie testów) albo czy i czym się leczymy (paszporty szczepionkowe).

I dzisiaj takiego gościa ściga się za jakiegoś pojedynczego lekarza. Potwierdza się więc prawda o sprawiedliwości okrutnej dla małych i pobłażliwej dla mocarnych. Wyprawienie na tamten świat tysięcy ludzi to przedmiot zapomnienia, za to upublicznienie danych o paracetamolu to już delikt kryminalny. I co, mamy się cieszyć, że na covidowym bezrybiu sprawiedliwości to i oskarżony minister dobry (sic!) jak rak? ©©



JAN POSPIESZAŃSKI

#WARTO

Tęczowy
Lewiatan

Dzięki Instytutowi Ordo Iuris dowiedzieliśmy się, że rozporządzenie zakazujące w stolicy eksponowania krzyży i nakazujące używania nowych zaimków zostało opracowane przez Instytut Miast Praw Człowieka. Za przygotowanie dokumentu miasto zapłaciło 130 tys. zł. Tak poznajemy specyficzne powiązania lewicowych organizacji trzeciego sektora, korzystających obficie nie tylko ze wsparcia stołecznego samorządu.

Niedawno z kolei ogłoszony został wyrok w trwającym kilka lat procesie, wytoczonym przez Fundację na rzecz Różnorodności Społecznej domagającej się przeprosin i zadośćuczynienia od Stowarzyszenia Rodzin Wielodzietnych Warszawy i Mazowsza za naruszenie dóbr osobistych. Stowarzyszenie w 2016 r. rozesłało do 20 tys. szkół list i ulotkę informacyjną z ostrzeżeniem o tym, czym naprawdę jest tzw. edukacja równościowa lub edukacja antydyskryminacyjna. Ponieważ zajęcia te prowadzone są w szkołach zwykle przez aktywistów politycznego ruchu homoseksualnego, na ulotce były informacje o ich zaangażowaniu np. w parady równości, zdjęcia z ich profili społecznościowych i z parad. Przytoczono też programowe deklaracje z książek aktywisty dr. Jacka Kochanowskiego oraz statystyki i badania dotyczące zagrożeń zdrowotnych i społecznych występujących w gejowskich subkulturach.

Sąd uznał zasadność roszczeń, nakazał przeprosiny i wysłanie ponownie do tych szkół listów poleconych, odwołujących poprzednie treści. Koszt takiej operacji i obciążenia procesowe to kwota ok. 170 tys. zł. Ponieważ kilka wymienionych w liście z 2016 r. podmiotów także poczuło się urażonych, Stowarzyszenie przegrało już pięć procesów z kolejnymi organizacjami.

Sytuacja ta pokazuje, że do polskich szkół tęczowi radykałowie ze swoim ideologicznym, choć kamuflowanym przekazem mogą wchodzić, a katolicy rodzice nie mogą się nawet przed tym bronić. Istotne są również kwestie finansowe. Roczny budżet Stowarzyszenia rodziców to kwota 50 tys. zł, a naprzeciw nich stoją potężne podmioty, które na swoich stronach chwalać się całą gamą partnerów finansowych, wśród których prym wiodą zagraniczne, w tym niemieckie, fundacje. Oczywiście większość obficie korzysta też ze środków publicznych i ze wsparcia warszawskiego ratusza. Idąc tropem nazwisk poszczególnych tęczowych aktywistów, widać rozbudowaną sieć powiązań, fundacji, stowarzyszeń, a rozszyfrowanie istoty programów i policzenie kwot to zadanie, które – jak widać na przykładzie afery ratuszowej – proste nie jest, ale jest wykonalne. Uzyskanie w miarę pełnego obrazu to ważne zadanie, które ciągle jest przed nami. ©©

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Wiec się odbył

Ze źródeł fatalnie poinformowanych dowiadujemy się o gigantycznym przetargu szykowanym przez MON. Stop. Rzecz dotyczy Kredek Bojowych, w które mają być wyposażeni nasi żołnierze. Stop. Po aresztowaniu żołnierzy, którzy strzegąc granicy, użyli broni, kredki wydają się optymalną opcją, oczywiście razem z kursem pisania „Welcome serdecznie”. Stop. O przetargu, jak zwykle, poinformuje CBA. Stop.

Niejaki Wacław Kroczek (to prawdziwe dane) poinformował na platformie X: „Byłem asystentem Kohuta. Zostałem nim, bo startował z Wiosny Roberta Biedronia”. Stop. Potem, że Kohut zdradził, bo przeszedł do PO, i żeby na niego nie głosować, bo stał się bardzo radykalny. Stop. Kohut chyba stał się radykalny zaraz po urodzeniu, ale nie o to chodzi. Chodzi o to, że jak się zmienia ugrupowanie, to asystentów czy nawet asystentki dobrze jest zabrać ze sobą.

W Warszawie podobno mają być trzy parady równości, a organizatorom zdarza się donosić na konkurencję. Stop. Podobno chodzi o pieniądze. Stop. Pieniądze to też wartości, bez wątpienia. Stop. O wartości warto walczyć.

Podobnie, ale inaczej w Filadelfii. Stop. Tam pobiły się dwie parady. Stop. Okazuje się, że jedna parada była za Palestyną, a druga przeciw. Stop. Polityka potrafi skłócić najbardziej tolerancyjnych...

4 czerwca na placu Zamkowym odbył się wiec ogarni-

zowany przez Donalda Tuska. Stop. Zamyśl był taki, żeby ten wiec, ta obecność zwolenników rządzącego ugrupowania, mobilizował przed wyborami do Parlamentu Europejskiego. Stop. Na jednym z portali przeczytałem syntetyczne podsumowanie, zawierające najważniejsze składniki spotkania, którym pragnę się z państwem podzielić: „Wiec się obył”. Stop.

Anna Żukowska z Lewicy zdenerwowała się na koalicjantów, bo nie realizują programu wyborczego tego ugrupowania nic a nic. Stop. Zagroziła nawet wyjściem z koalicji, jeśli w tej sprawie nic się nie zmieni. Stop. Z okolic ul. Złotej, gdzie mieści się siedziba Lewicy, wiemy, że działacze nieco uspokajają panią Annę. Stop. Dobrze bowiem jest być ministrem, wiceministrem, sekretarzem stanu, natomiast nie będąc w koalicji, nie można być ministrem, wiceministrem, sekretarzem stanu, a to już trochę mniej ekskluzywnie... Stop.

Zgody na podsłuchy Pegasusem wydawali tzw. starzy sędziowie, którym zdarza się krytykować PiS, że podsłuchiwał ludzi. Stop. Widzę tu pewną logiczną niespójność. Ale może ja nie mam racji?

Marcina Mastalerka namawiają do startu w wyborach prezydenckich, tak twierdzi sam zainteresowany. Stop. Cóż, raczej nie może liczyć na głos Jarosława Kaczyńskiego...

© ©

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

DARIUSZ
WIERONIECZNY

SPODE ŁBA

Rozmnożenie Zielonych Ładów

Ciekawym odkryciem podzielił się z wyborcami Jarosław Kaczyński na spotkaniu w położonej nieopodal Radomia wiosce Klwatka Królewska. Prezes PiS oświadczył rolnikom, że „Zielonych Ładów” było w Unii Europejskiej kilka. „Jest taki wielki plan UE, który się nazywa Zielonym Ładem, a tak dokładnie Nowym Zielonym Ładem. Był bowiem wcześniej Zielony Ład, który mówił o dopłatach przy dobrostanie zwierząt, on nie był zły, chodziło o np. 500 zł za świnię czy 1 tys. zł za krowę. A teraz jest Nowy Zielony Ład, który oznacza w gruncie rzeczy zniszczenie rolnictwa w Polsce i Europie”.

Można się tylko domyślać, że poprzedni premier Mateusz Morawiecki, podpisując się pod europejskim Zielonym Ładem, miał na myśli ten stary, a niecni eurokraci podsunęli mu nowy. Przy takim natłoku ładów o pomocy nie trudno. Co prawda, o „Starym Zielonym Ładzie”, który tak drastycznie różnił się od „Nowego”, nie sposób się czegokolwiek dowiedzieć. Można tylko przypuszczać, że spotkał go los ogłaszanego przez PiS Nowego Polskiego Ładu, który z początku był doskonale przygotowany, a po niedługim czasie okazał się buble.

Nowowy Polski Ład niepostrzeżenie zastąpił Ład Jeszcze Nowszy, a o poprzednim słuch zaginął. Wypadki zbiorowej amnezji przytrafiają się

w kierownictwie PiS zdumiewająco często. Dlaczego na spotkaniu w Klwatce Królewskiej ani razu nie pochwalił się prezes Kaczyński swoim programem „piątka dla zwierząt”? Zapewne i ten dobroczynny dla rolników pomysł podmienili mu skrycie perfidni eurokraci.

Równie ciekawie opowiadał Kaczyński rolnikom o naturze zmian klimatycznych: „Wiecie, jakie ma znaczenie działalność człowieka w skali globalnej na klimat? Takie, jak zapalenie zapalki w hali sportowej. Czyli żadne”. Wypada spytać, dlaczego mądrościami tymi nie podzielił się w stosownym czasie ze swoimi współpracownikami?

Premier Mateusz Morawiecki wielokrotnie dowodził konieczności gruntownej transformacji gospodarczej, mającej służyć walce z ociepleniem klimatu. Głosił takie poglądy na zorganizowanym w Katowicach globalnym szczycie klimatycznym, na który ówczesny minister Kurtyka zaprosił Gretę Thunberg. Dziś natomiast Jarosław Kaczyński nazywa dziecięcą aktywistką „częścią ideologicznego szaleństwa”, w którym wyznaczono jej do zagrania „specjalną rolę”. „To jest stara metoda, używana nieraz” – powiedział o takich zabiegach prezes PiS. Odwracanie kota ogonem i wypieranie się własnych czynów także nie jest metodą szczególnie oryginalną. © ©



KRYSZTOF KRATYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Odważne, silne, **niezależne**

Trwa miesiąc dumy czegoś tam, zorganizowany w trakcie tradycyjnego miesiąca Serca Jezusowego. Wszystkie bezczelne próby podminowania nam tradycji i kultury są już nudne, szczególnie dla felietonisty. Ile razy można bowiem pisać o barbarzyństwie, przypominać, że tu jest Polska, że to nie po naszem, apelować, żeby się odczepili, przekonywać rodaków, by nie dali się porwać zwodnemu urokowi złe rozumianej tolerancji.

Zastanawiałem się nad tym, obserwując zgromadzonych w kazachskiej wiosce katolików krocących w procesji Bożego Ciała. Szli wokół maleńkiego kościółka w Szortandach. Nie znają zachod-

Istnieje bowiem pewna kulturowa podmiana, o której po naszej stronie wciąż pisze się stosunkowo niewiele. Otóż słyszymy dziś sporo o „wyzwoleniu kobiet”. O ich „odwadze” (wtedy, kiedy fotografują się nago), o ich sile (wtedy, kiedy nie zakładają rodzin i wybierają rozwiązy tryb życia), o ich niezależności (wtedy, kiedy zabijają nie-narodzone dziecko lub zmieniają sobie płeć) oraz o kruszeniu przez nie posad bryły świata, gdy w każdym większym medium rytualnie narzekają na instytucję już nie tylko małżeństwa czy monogamicznego związku, lecz także macierzyństwa. Tak właśnie wyglądać mają kobiety, które rzekomo „sprzeciwiały się światu”. Buntowniczkini.

serdecznie, dlatego na koniec nie zdziwiliśmy się, gdy siostry poprosiły o wspólne zdjęcie. My, przy zastawionym przez siostry stole, one za wspomnianymi grubymi kratami. Uśmiechnięte od ucha do ucha, pełne czystej, Bożej radości.

Pokazałem to zdjęcie w Polsce. Natychmiast spotkałem się z komentarzami: Jak to wygląda?! Jakie to dziwne! Jakie to nieludzkie! Przecież to okropne! Siostry za kratami, my przy stole! Nie byłem zaskoczony tą reakcją, ale zaskoczony byłem własną odpowiedzią, a raczej jej prędkością – gdyż nad ripostą nie zastanawiałem się ani chwili. Odparłem więc, że przecież to właśnie te zakonnice, właśnie te dzielne kobiety, są prawdziwymi buntowniczkami przeciwko światu!

To one są naprawdę silne, bo zapewne każdą z nich ich rodziny z płaczem próbowały odwieść od zamiaru zniknięcia za murami, hen na końcu świata.

To one są prawdziwie niezależne, bo przecież nikt nie zmusza ich do trwania w zamknięciu, do poświęcenia się w całości Bogu, wszak w każdej chwili mogą wstać i wrócić do świata. A ten przyjąłby je z otwartymi ramionami, o ich rzekomym uciemnieniu powstałyby filmy i napisano by książki. Jednak one wybrały takie właśnie życie, niezależne.

To w końcu one są naprawdę odważne, bo przecież życie pośrodku stepu, przy temperaturze sięgającej –47 st. C, monotonna i nużąca codzienność pociągają mało kogo. Służba Niewidzialnemu jest wykpiwana. Ich wiara bywa deptana.

A jednak trwają. Naprawdę odważne, rzeczywiście silne i prawdziwie niezależne kobiety. ©

Cóż to za bunt, który wspiera całe otoczenie? Cóż to za rebelia, którą popierają największe korporacje, promują najbardziej kasowe produkcje kinowe, której przyklaskują najpopularniejsze kolorowe magazyny?

nich dewiacji, trwają w nielicznej wspólnocie, wielbiąc prawdziwego Boga w miejscu, w którym dominuje islam, szczególnie w tej wersji, w której nie ma obowiązku ścinania głów „niewiernym”.

Czterysta kilometrów na północ leży inna wieś, Oziornoje, o której wcześniej wiedziałem niewiele – pobieżnie tylko znałem niesamowitą historię nagłego pojawienia się pośrodku stepu jeziora, które na początku lat 40. nakarmiło rybami zesłanych na „nieludzką ziemię” Polaków, wrogów ludu i komunizmu. Mam nadzieję, że o tej historii więcej opowiem państwu wkrótce, a teraz powrócę do refleksji dotyczącej wspomnianych na początku „podmianek” tradycji i kultury.

Też coś! A coż to za bunt, który wspiera całe otoczenie? Cóż to za rebelia, którą popierają największe korporacje, promują najbardziej kasowe produkcje kinowe, której przyklaskują najpopularniejsze kolorowe magazyny i portale?

Ja widziałem prawdziwy bunt. Prawdziwą rebelię kobiet przeciwko światu. Widziałem go już nieraz w Polsce, ale musiałem przypomnieć sobie o nim hen daleko, pośrodku kazachskiego stepu.

Odwiedziłem bowiem Karmel w Oziornoje. Spotkałem sześć zakonnic oddzielonych od świata wysokim murem, a grubymi kratami od wpuszczanych okazjonalnie gości. Rozmawialiśmy

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Dawno temu pracowałem w stadninie koni w Szwecji. Latem zatrudnialiśmy dodatkowo młode dziewczyny do doglądania żrebaków. Jesienią dziewczyny wracały do szkoły, a żrebaki były już na tyle odchowane, że nie potrzebowały opieki.

Mieliśmy dla tych dziewczyn stare volvo, którym dojeżdżały na pastwiska. Nie były doświadczonymi kierowcami, więc gdy któraś nie wyrobiła w bramie, musiałem wymienić rozwalony słuppek. Robiłem to po kilka razy w roku. Stare volvo pogromca słupków.

Właściciel stadniny postanowił kupić nowe, bo mniej pali. Dziewczyny nadal nie wyrabiały w bramie, ale ja już nie musiałem wymienić słupków – szef musiał wymienić maskę. Po kilku razach sprzedał nowe volvo i wróciliśmy do tego starego, pancernego. Wychodziło taniej, mimo że paliło więcej.

Rozwój gospodarczy polega na akumulacji, czyli na powiększaniu zasobów. I nie może to być jedynie akumulacja kapitału, bo kapitał to w ostatecznym rozrachunku NIC – papierki, zapisy bankowe – a rozwój jest wtedy, gdy pojawiają się jakieś konkretne przedmioty, sprzęty, maszyny, budynki i w dodatku muszą to być rzeczy trwałe. Bez tego nie ma rozwoju.

Domowa akumulacja polega na tym, że kiedyś kupiłeś pianino, ono jest trwałe i ma zawsze jakąś wartość. To samo powinno dotyczyć każdego sprzętu, który kupujesz. Wiertarka czy drukarka komputerowa powinny być



FOT. W. CEJROWSKI / LUDJANISAW.SUSNICKI

zrobione tak, aby służyły przez wiele lat – wtedy i tylko wtedy można mówić o akumulacji i o rozwoju. Oba te przedmioty to urządzenia proste i nie wymagają ciągłej wymiany na lepszy model. Wiertarka ma wiercić, a drukarka drukować. Żaden nowszy model wiertarki nie wnosi nic nowego, więc lepiej, by ta wiertarka służyła ci bezawaryjnie przez całe dekady. Wtedy mamy do czynienia z akumulacją kapitału – kupiłeś raz, już cię ten sprzęt więcej nie kosztuje, zapracował na zwrot kosztu, a teraz na siebie zarabia. (Powiedzmy, że jesteś złota rączka i masz firmę jednoosobową, gdzie wiertarka zarabia).

Obecnie produkowane wiertarki są beznadziejne i co chwila trzeba kupować nową. To samo dotyczy kosiarek, żarówek, wszystkiego. To prowadzi do sytuacji, w której nie jesteś w stanie dokonać kumulacji kapitału. Nie masz szansy na rozwój, skoro wszystko się stale psuje, i musisz ciągle kupować nowe wiertarki, by się w ogóle utrzymać w biznesie.

MÓGŁBYŚ kumulować kapitał, GDYBYŚ nie musiał stale kupować nowych wiertarek. Gdyby wiertarki były trwałe, wówczas twoja zarobiona forsa mogłaby iść na jakiś rozwój. No ale IM nie zależy na tym, by się ludzie bogacili – IM zależy na tym, by wszyscy biednieli, bo gdy ogromne rzesze ludzi są biedne, łatwiej nimi zarządzać, rzucając ochłapy, dopłaty, 14. emerytury... Biedak nie podskakuje, bo walczy o przetrwanie.

Czterdzieści lat temu dostałem w Szwecji używaną wiertarkę elektryczną. Stara, z solidnej stali, mocna. Trochę ciężka, ale z wiertarkami jak z pistoletami – lepiej, gdy jedno i drugie ma trochę masy własnej, bo ta masa chroni twój nadgarstek, przejmując na siebie część obciążeń. Ta wiertarka ma dziś 50 lat i nadal działa. Zarabia na siebie od dziesięcioleci.

Mój dziadek mawiał: Nie stać mnie na kupowanie rzeczy tanich, bo one się szybko niszczą, a ty stajesz się przez to coraz bardziej biedny.

Kłopot dzisiaj jest taki, że gdybyś nawet kupił najdroższą wiertarkę, znanej firmy, to ta firma robiła solidne rzeczy, ale dawno temu. Dziś korporacja produkuje coraz taniej, coraz częściej w Chinach i chodzi nie o to, by sprzedawać rzeczy dobre, lecz by sprzedawać dużo i tanio. Ma się szybko psuć – wtedy ludzie kupią więcej. W efekcie bieda rośnie razem z kupą śmieci.

I nie ma odważnych, by zakazać handlu z Chinami. Przedmioty made in Poland byłyby dużo droższe niż chiński szmelc, ale byłyby też bardziej solidne i trwałe. Więcej metalu, lepszy plastik, porządny drut miedziany nawinięty na silniku. Gdy rzeczy są trwałe i mocne, wtedy gospodarka jest trwałą i mocną. Dzisiejsza polityka jest taka, by rzeczy były słabe i tanie. W efekcie mamy społeczeństwo słabe finansowo, czyli biedne.

Mam dom w Ameryce i większości żarówek nie wymieniałem jeszcze nigdy. Świecą kilkadziesiąt lat, mimo że tu, na prowincji, prąd często gaśnie, a napięcie skacze. Te żarówki były tu, zanim kupiłem dom, i świecą nadal.

W sklepach widuję zachęty, bym kupił sobie nowoczesne LED-owe, które żrą 10 razy mniej prądu. Nie wymieniam!!! Tak jak nikt mnie nie skusi na wymianę tej szwedzkiej wiertarki starej i ciężkiej. Ona ma tę zaletę, że zawsze działa i nigdy się nie psuje. Pralka, która u mnie stoi, też jest stara. Gdy wymieniam uszczelki, mechanik zawsze mi proponuje, bym kupił coś nowego. A ja mu na to, że nowa pralka zepsuje się w ciągu 24 miesięcy.

Ktoś zły to ZAPLANOWAŁ tak, aby bogate kraje robiły się coraz bardziej biedne oraz aby uniemożliwić rozwój. Jesteśmy wiecznie zadłużonymi klientami tych złych ludzi sprzedających nam coraz gorszy szmelc.

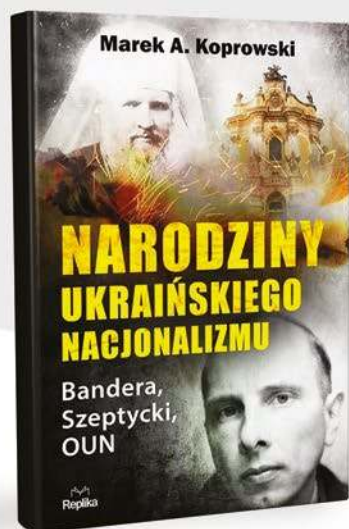
Europa się zwiija gospodarczo, zamiast rozwijać. Unia Europejska to 450 mln obywateli. USA to 330 mln. Pod względem siły ekonomicznej powinny być sobie równe – jedni mają więcej ludzi, drudzy więcej ziemi, a rozwój technologiczny w obu przypadkach bardzo podobny. W roku 2008 gospodarka UE stanowiła ponad 90 proc. amerykańskiej, ale Unia się od tamtego czasu zwinęła, zbiedniała i obecnie produkuje ledwie połowę tego co USA. Na liście 20 największych firm technologicznych na świecie nie ma ani jednej firmy z Europy. Unia Europejska ma system gospodarczy prowadzący do biedy, czyli ciągną Polskę w dół. Wniosek: polexit albo narastająca bieda. Wybieraj. ©©

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA DO RZECZY I MIESIĘCZNIKA HISTORIA DO RZECZY



W PREZENCIE

KSIĄŻKA

MAREK A. KOPROWSKI:
„NARODZINY UKRAIŃSKIEGO
NACJONALIZMU”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA



~~1353~~zł

420,00zł

OSZCZĘDNOŚĆ 933zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

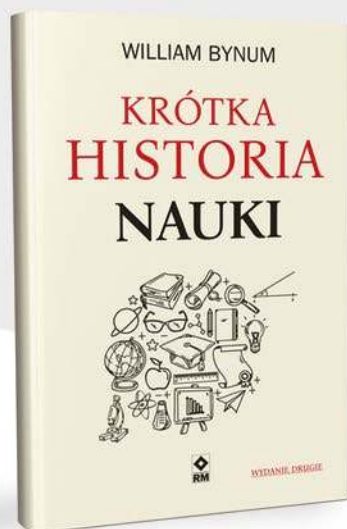
WIĘCEJ INFORMACJI | E-MAIL: prenumerata@mpg.pl | TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) | INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl e26a418f43

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA DO RZECZY



~~854~~ ZŁ

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

WILLIAM BYNUM:
„KRÓTKA HISTORIA NAUKI”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

403,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 451 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI

E-MAIL: prenumerata@mpg.pl

TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)

INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl e26a418f43